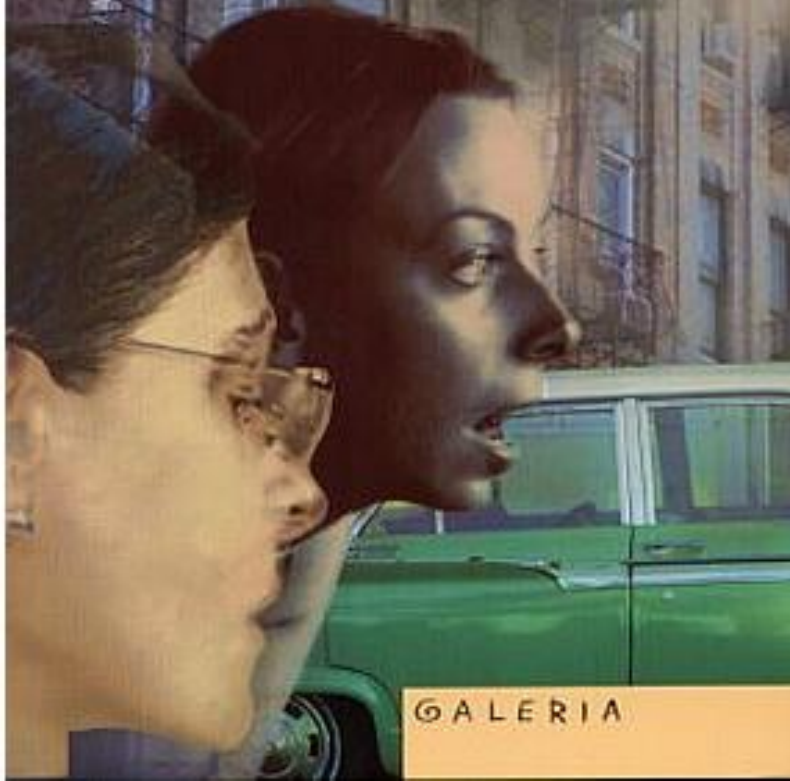


GALERIA

**LAURA
JACOBS**

**KOBIETY
Z WIELKIEGO
MIASTA**



GALERIA

Jacobs Laura

Kobiety z wielkiego miasta

Jeżeli po siedmiu latach małżeństwa twój mąż znika z dnia na dzień, żeby szukać szmaragdów, a potem wysyła tylko kartkę z Tanzanii ze słowami "Przebacz mi"... Jeżeli twój uroczy chłopak coraz wyraźniej nalega na ślub, a ty nie wiadomo czemu wciąż słyszysz w głowie irytujący głos: "To nie to"... Jeżeli jesteś kobietą, która chce coś osiągnąć, nie rezygnując z kobiecych słabostek, miłości do drogich sandałków, eleganckich torebek, luksusowych kosmetyków, z marzeń o małżeństwie, dzieciach, domku na przedmieściu... Twoją jedyną szansą jest wielkie miasto.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kurz

Iris Biddle zmagala się właśnie z sześcioma abażurka-mi od kinkietu zamówionymi przez pewną arogancką brokerkę z Bleecker Street. Próbowala odtworzyć grę światel z lampy, która znalazła kiedyś na pchlim targu. Tamten jedwab miał kolor beżowy - ciemny beż klubu dla mężczyzn - ale żarówka rozświetlała go bursztynowo z uroczą różowawą poświatą, choć w tkaninie nie było ani jednej różowej nitki. Iris wiedziała, że tak głęboki kolor materiał osiąga z wiekiem - dobre czterdzieści lat w pomieszczeniu pełnym dymu papierosów, alkoholu, wilgoci, kurzu, namiętych chwil, pewnie miłości (pocałunki przy zasłonie; może i więcej po północy na skórzanym chesterfieldzie). Naśladowanie starości na nic się nie zda, tak jak na nic jest naśladowanie młodości - bez względu na to, co kremy, balsamy i odżywki obiecują kobietom na całym świecie. Zresztą starość jest znacznie bardziej interesująca.

W swoim mieszkaniu, na drugim piętrze przy Gramercy Park, Iris miała dość kurzu. Każda kobieta musi się z nim zmierzyć, choć mężczyźni chyba w ogóle go nie zauważają: kurz na parapecie, kurz w nosie, kurz skryty w mankietach spodni (jak zdołał się tam dostać?). W pokoju pełnym drogiego jedwabiu Iris musiała uważać na najmniejszy

pyłek. Trzeba było pamiętać o starannym przykryciu wszystkiego na noc. Gdy dmuchała delikatnie na abażury, chcąc pozbyć się świeżego kurzu, musiała uważać na swój oddech, żeby nie było w nim wilgoci. Nawet jedna mała kropelka wody mogłaby stać się plamą.

Zastanawiała się czasami, czy aby praca z tak delikatnym materiałem była dla niej odpowiednia. Czy nie prowadziła do nadmiernej drobiazgowości? Och, oczywiście - tak jak i jej znajomi projektanci lubiła starocie, przedmioty, z których złaźła już farba, poplamione, prawie gnijące ze starości, wiekowe ozdobne chwosty rozsypujące się w rękach czy ramy do obrazu z obtłuczonymi złotymi listkami. Na pchlim targu zdobywała skrawki starego jedwabiu, postrzępionego i wyblakłego od porannego słońca, które zaglądało w okna przez dziesięciolecia. Te wyciszone jedwabie wydawały jej się równie romantyczne jak ruiny na obrazie. Bywało, że na krawędzi lub w rogu pozostał paseczek oryginalnego odcienia - intrygujący dodatek, który ujawniał to, czego dokonały słońce i czas. Iris nie umiała jednak wybaczyć sobie, jeżeli przypadkiem przyłożyła rękę do ruiny. Jeśli jeszcze bardziej obtłukła ramę lub postrzępiła tkaninę, ganiła siebie za tę nieostrożność, za to, że była złym strażnikiem. Nienawidziła błędów, bo sprawiały, że wszystko się zmieniało i musiało być naprawiane, o ile to było w ogóle możliwe. I nawet jeśli nikt nie mógł dojrzeć łatki, Iris znała tajemnicę i nie dawało jej to spokoju. Ten niepokój, niezbyt rozsądny - z czym sama by się zgodziła - krążył wokół niej od dzieciństwa jak przedziwny drugi księżyc. Ale w końcu była, jak mówiono, typową Panną.

Nie mogła na przykład zapomnieć o ołówkach rozdanych pierwszego dnia w szkole, po dwa dla każdego ucznia. To było takie dorosłe - dwa idealne, długie ołówki

- takie ekscytujące, dopóki nie zobaczyła, że nie mają gu-

mek! „Nie - powiedziała im wtedy nauczycielka - nie dostaniecie gumek do ścierania, aż do drugiej klasy. Musicie się nauczyć starannie pisać". Kazano im przekreślać własne błędy, ale Iris próbowała je zmazywać, trąc kartkę mokrym palcem, co zostawiało wściekłą szarą smugę, a niekiedy wręcz dziurę. Doskonale pamiętała tę nauczycielkę o wyglądzie zasuszonego patyczaka. Pewnego dnia na lekcji kaligrafii stanęła nad Iris, wyrwała jej zeszyt i powiewając nim, naigrawała się: „Iris myśli, że jest od nas lepsza i nie robi błędów. Ale spójrzcie na to". Wszyscy wiedzieli, że to tylko Podła Stara Mrs. Brown. Jednak Iris była zdruzgotana.

Albo pierwsze miesiące menstruacji. Dostała miesiączki dopiero, gdy miała piętnaście lat, ale nie śpieszyło jej się, gdy widziała koleżanki zwijające się z bólu w szatni sali gimnastycznej, rozcierające skurcze i jęczące: „niedysponowana". Kiedy w końcu stało się, czuła, jakby ją zarzynano. I te podpaski, których wtedy używały, grube na cal, przyczepiało się agrafką do bielizny albo gorzej - do elastycznego pasa, coś jakby pas do podwiązek, który trzymał tę pieluchę blisko ciała, gdzie stawała się ciepła i lepka. Przypominało jej to rodzinną pudelkę Sadie, która nosiła podobne ustrojstwo, kiedy miała cieczkę. Dopiero na pierwszym roku w college'u Iris odważyła się użyć tamponów i przestała czuć się jak Sadie.

Zmieniałam te podpaski co pół godziny, myślała Iris, natychmiast gdy pojawiała się kropla krwi. Piętnastoletnia Iris wierzyła, że jeśli uda jej się utrzymać podpaskę w czystości, zatrzyma upływ krwi. Ale oczywiście przekonała się jak wszyscy, że krew, kurz, dym i czas nie dają się zatrzymać.

Teraz potrzebowała nieskazitelnie białej bluzki. Zdawało się, że wiecznie potrzebowała nieskazitelnie białej bluzki. Iris miała w szafie trzy, ale nie takie, jak trzeba. Ta od

Romeo Gigli, z szeroko osadzonym kołnierzem, wciąż miała styl, ale prawie nie nadawała się do noszenia. Zsuwała się z ramienia jak poluzowana uprzęż lub za duża aureola. Uroczy biały kitel malarski był już zbyt uroczy, a może zbyt artystowski - w każdym razie był „zbyt”. Obszerna męska bluza czekała świeżutka i gotowa do włożenia, ale Iris rzadko bywała w nastroju „wybieram się na golfa” - za dużo krochmalu, zbyt przeciętna. Na widok tych trzech białych bluzek wiszących jedna obok drugiej Iris odwracała się z rozczarowaniem, które kobieta często czuje, gdy przegląda swoje ubrania. Znów zawiedziona znalezieniem tylko tego, co zaledwie rok temu było jeszcze odpowiednie i ciekawe, a dziś wydawało się odziedziczone po kimś bez gustu.

- Czemu się stąd nie wyniesiesz? - spytała tę męską, gdy ostatnio sprawdzała, czy nie jest poplamiona, ale wiedziała, że nastanie dzień, w którym będzie chciała, będzie musiała ją włożyć i że będzie jej wtedy wdzięczna za cierpliwość. Odwiesiła ją, wyciągnęła kitel i wcisnęła go do torby na zakupy. Miała zwyczaj przeglądać od czasu do czasu swoje ciuchy. Wyrzucanie ich bywało przyjemniejsze niż przynoszenie nowych. Nie jestem tym, nie jestem tamtym. Czym jestem?

Po powrocie na Manhattan trzydziestokilkuletnia Iris spędzała długie godziny „na szmatach”. Z jakichś powodów tu nie przeszkadzał jej ani smród kurzu i pleśni, ani zapach wełny złamany naftaliną - tymi saszetkami śmierci. Pochłaniało ją polowanie, potajemny ratunek pięknych dzieł, które tylko ona doceniała. Wypatrywała czegoś od Charlesa Jamesa bez metki, butów od Rogera Viviera, czegokolwiek od Geoffreya Beene'a. Darzyła też wielkim szacunkiem ręczną robotę, a szczególną sympatią wspinałe dziurki na guziki - dziergane dziurki.

- Nikt - oświadczała nieraz Iris, jakby na Sądzie Ostatecznym - nikt już nie dzierga dziurek na guziki.

Było to niezwykle wysublimowane wykończenie, podstępny sposób na zacieranie własnych śladów. Można było wpatrywać się w taką dziurkę bez końca, a ona wpatrywała się w ciebie - zmrużona dolna i górna powieka materiału, przez które guzik prześlizgnie się z łatwością. I nie można było dociec, jak są zbudowane, dopóki nie oderwało się powiek od szwów, a tego barbarzyństwa Iris dopuściła się raz jeden i żałowała. W dzisiejszych czasach każda dziergana dziurka jest cenna. Są one tak czasochłonne, że nawet w Paryżu już ich nie robią.

A potem stało się. Przechodziła obok ciuchlandu prowadzonego przez pomarszczone wdowy o ostrych głosach i zajrzała tam z przyzwyczajenia. Była w złym humorze, przybita swoją nieciekawą sytuacją finansową, zastraszona przez superbogatyh klientów, którzy nie umieli nie traktować jej jak zwykłego wyrobnika. A przecież przychodzili do niej tylko dlatego, że była artystką. Niedługo miała skończyć czterdzieści lat i nagle uderzył ją smród i charakterystyczne metki sklepu z taniochą. Jestem tu razem z bezdomnymi - doszło do niej. Nigdy już nie przekroczyła progu takiego sklepu, nie licząc chwil, kiedy szła tam oddać swoje stare ciuchy.

A zresztą zaczynała już widzieć coś więcej niż sterty ubrań na stojakach i w koszach, zaczynała - można powiedzieć - wróżyć z fusów i odczytywać losy poprzednich perfekjonistek. Trafiła raz na sześć brokatowych sukienek, wszystkie od tego samego krawca z Hongkongu, w tym samym stylu empire, z taką samą stójką, taką samą zakładką na trzy cale. Żadna nie wyglądała na noszoną ani tym bardziej na znoszoną. Iris nie mogła wymazać z pamięci tych sześciu królewskich sukien, robionych na

zamówienie, nietkniętych. Czy właścicielkę spotkała nagła śmierć? A może to tylko strach przed życiem z jego plamami i plamkami, wylanymi szampanami, nieuniknionym półksiężycem, który pojawia się pod pachą? Ale czy ten strach przed nieporządkiem nie był swego rodzaju śmiercią? Czy tamta właścicielka miała zwyczaj sięgać po suknie do szafy, dotykać ich i decydować, że nie, bo ważniejsze są dla niej takie nietknięte, jako symbol obfitości? Czasami w smutnych koszach, gdzie trzymano buty - czubki zadarte, obcasys spuszczone na kwintę - Iris znajdowała kolekcję jakiejś matrony ze słabością do Saksa czy Delmana, nienaganne pantofelki z obcasami na dwa cale, coś od Fentona, tu satynowa kokardka, tam klamerka ze strasów - wariacje na temat „dostojnej powściągliwości”. Dla tych, którym się zdawało, że dobry smak i staranne utrzymanie znaczą coś wobec śmierci, wyprawa do sklepu z ciuchami była dobrą lekcją.

„Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną”. Ten werset zapamiętała Iris ze szkółki niedzielnej. Ewangelia według św. Mateusza 6,19. Podkreśliła go w swojej Biblii i czytała w domu, w swoim pokoju, często, łapczywie, czując, że całe jej jestestwo koncentruje się na tych słowach. Ale czemu tak kochała ten werset? Iris nie umiała powiedzieć. Skarby i mole? Bajka Ezopa tkwiąca w Apostołach? Jako dziecko Iris przeczytała wszystkie bajki Ezopa i znała wszystkie morały. Jej ulubioną była ta o psie ogrodnika i po dziś dzień, gdy trafiło jej się coś wspaniałego od Bergdorfa lub Saksa, coś tak przecenionego, że robiła się zachłanna, choć nie było to właściwie w jej stylu, myślała sobie: „Nie pozbawiaj innych tego, czego sama nie potrzebujesz” i zostawiała w nadziei, że trafi w ręce odpowiedniego człowieka.

A święty Mateusz? Czy słowo „niszcza” było aż tak przerażające, że hipnotyzowało? Czy już jako dwunastolatka знаła prawdę, która tkwiła w tym słowie, że siły rozkładu są wszędzie, osaczają nas jak niewidoczne żmije. Jej dorastanie otaczała mgiełka niewinności, ale nigdy nie była nieświadoma swojego szczęścia. Dzieciństwo pod kloszem, bezpieczny świat stworzony przez rodziców, którym to sprawiało radość. Ludzie sukcesu, oboje cieszący się z tego, że im się udaje. Dr i Mrs. Saroyan: jej ojciec - energiczny brunet, matka - blondynka o węgierskich korzeniach i włosach puszystych jak wata cukrowa. Pełni życia dorośli otaczali dziecięcy świat jak dostojne drzewa, za wysokie, żeby się na nie wspinać. Iris obserwowała, jak inne dzieciństwa - jej przyjaciółki Leslie czy tej milczącej dziewczynki ze stajni, Kathy - zrywały się jak pajęczyny, gdy złapie się w nie owad zbyt duży i agresywny. Czowała wyraźnie, że w porównaniu z nią jej koleżanki mają tak niewiele. I kiedy ona była wciąż nieśmiałą, nieporadną nastolatką, a one kwitły wokół niej śmiało i zarumienione, Iris była przekonana, że im się to należy w zamian za chłodnych ojców, pijące matki, rodziców, którzy byli, jakby ich nie było. Gdy miała dwadzieścia trzy lata, zmarł jej ojciec - rak zabrał go beztrako w ciągu dziesięciu miesięcy, pozostawiając oszołomioną rodzinę pogrążoną w rozpacz. Iris nawet wtedy nie pozwoliła sobie uważać tego za tragedię. Tragedia to osunięcie się ziemi w Bangladeszu. To szkolny autobus spadający z mostu. A nie czyjś pięćdziesięcioletni ojciec, szanowany w pracy, podziwiany przez wszystkich, przycinający cygaro Dunhilla swoimi schludnymi palcami chirurga i spierający się ze swoją starszą córką o estetykę, docinający jej, prowokujący do coraz ambitniejszych działań, swoją dziewczynkę z Swarthmore w czarnym golfie, która wyrosła na kobietę o gęstych rzęsach,

zgrabnym nosie i cerze bladej jak wybielany pergamin na tle ciemnych włosów i która chciała go cieszyć i imponować mu, choć może nie w tej kolejności. Śmierć doktora w wieku pięćdziesięciu trzech lat to nieszczęście, nawet cios, ale nie tragedia - po prostu życie. Poza tym byli i tak szczęśliwcami, że go znali.

Właśnie w zeszłym tygodniu wróciło do Iris wspomnienie tego wersetu z Mateusza. Osaczona przez sześć abażur-ków od kinkietu i ich napastliwą właścicielkę, zaczęła poddawać się wszelkim impulsom. Nudne czarne spodnie skróciła aż powyżej kostki. Zamówiła bilet za pięćdziesiąt dolarów (czyli dużo za dużo) na nową sztukę Toma Stopparda. Zrobiła porządek w szufladzie z szalami, a potem wyjęła swój ulubiony, kaszmirowy, owinęła go wokół szyi i poszła do Gramercy Park, gdzie oprócz niej były tylko nianie z zielonymi kartami opiekujące się dziećmi ludzi, którzy mają platynowe. Był ostatni dzień sierpnia, szary i wyjątkowo chłodny. Silny wiatr hulał między starymi drzewami małego prywatnego parku (jak znaczek pocztowy, mówiła o nim, gdy opisywała go swoim przyjaciółom spoza miasta, ale tak naprawdę uważała go za szmaragd w wiktoriańskiej szkatułce). Obok szopy dozorca z wdziękiem kołysała się mała płacząca wierzba. Jak srebrna ławica ryb, które nie mogą się zdecydować, gdzie teraz płynąć, myślała Iris. Przyglądała się pogrążonym w plotkach nianiom - ich włosom na wietrze i trzepoczącym bluzkom. Wydały jej się takie beztroskie, jakby zupełnie nie zauważały zbliżającej się burzy. Iris odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała w górę, zatracając się w tym szaleństwie wiatru i liści, a drzewa szumiały jak wielkie damy w zielonej tafcie. Zatrzymała wzrok na jednym z nich - umierało. Bezlistne konary, nagie, nieledwie drżące na wietrze. Jak to możliwe, że nigdy wcześniej go nie zauważyła? Delikat-

na siatka konarów, gałęzi i powietrza sprawiła, że nagle zaczęła współczuć z tym nagim drzewem, że sama poczuła się jak jakieś nagie drzewo samotne w powietrzu i zapagnęła mieć je na własność, osiąść to piękno zaklęte w gałęziach. Ale jak?

Wróciła do swojego mieszkania. Starannie złożyła szal, podziwiając prążki koloru kości słoniowej na seledynowym tle i z rozpaczą odkryła dziurki wygryzione przez mole tuż przy frędzelkach. Nawet przełożony kawałeczkami cedru nie był w szufladzie bezpieczny. Podeszła do szafy. Gdzieś tu musi być Biblia. Chciała jeszcze raz zobaczyć ten fragment z Mateusza - nie pamiętała, jak się kończył. Znalazła księgę schowaną na najwyższej półce i zdmuchnęła z okładki szarą warstewkę kurzu. Kartki o pozłacanych brzegach były cieniutkie i śliskie, szeleściły jak papier, którego używało się w college'u, pelur.

„Gromadźcie swoje skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną. Bo gdzie jest skarb twój, tam będzie i serce twoje”.

Iris wiedziała, że „skarb” oznacza miłość do Boga i że dopiero z niej wypływa każda inna miłość. Oczywiście nie odważyłaby się nie zgodzić z Mateuszem. A jednak nie była pewna, czy może się w pełni zgodzić.

Przedmioty mają swego rodzaju duszę, mają swoje znaczenie. Są echem ludzkich pragnień. Nigdy nie zapomni, jak czule spoglądał pewien młody milioner na abażur „Cecil Beaton” (trzeba przyznać, że było to urocze czarno-białe cacko w stylu belle époque z jedwabnymi czarno-białymi pomponikami). Jego delikatne palce sięgnęły po te pomponiki, kiedy z radością wypisał ostatni czek na pięćset dolarów, ostatnia rata.

Iris zdawała sobie sprawę z tego, że powinna już być mężatką i wychowywać dzieci. Wiedziała, że przyjaciele

martwią się o nią - zaczyna czterdziesty rok życia, zegar tyka, a ona taka zamknięta w sobie. Tak, mogłaby jeszcze mieć dzieci. Ale nie była w stanie nawet o tym myśleć: małe, mokre usta przylepione do jej piersi, mała piąstka zaciśnięta na jej palcu...

Była samotna i ledwo wiązała koniec z końcem. Gdyby miała się zdecydować na dzieci, musiałyby mieć takiego ojca, jakiego miała ona sama. Pod tym względem nie może być kompromisów. Nie. I nie ma się tu nad czym roztkli-wiać. Bo niczego się nie dokona. Iris - mówiła sobie na Madison Avenue, kiedy kątem oka widziała malutkie, słodkie kołnierzyki jak dla Piotrusia Pana - nie masz powodu, by przystawać w tym miejscu. Iris - gdy widziała rodziny zapychające bagażniki jedzeniem na weekendowy wypad za miasto - masz coś do zrobienia. Iris - powiedziała sobie teraz - potrzebna ci biała bluzka.

Tym razem sama ją zaprojektuje. Pójdzie na Czterdziestą Zachodnią po materiał - coś lekkiego, ale mocnego, jak ubite białko. Może jedwabna organdyna lub papierowa tafta. Wyszuka sobie taki materiał i pójdzie do krawca. Nic tak nie porządkuje życia jak nieskazitelnie biała bluzka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Linia Northeast Corridor

Lana Burton wracała pociągiem z Bostonu. Spędziła długi weekend u swojej przyjaciółki Megan, a teraz siedziała wygodnie przy oknie, jadąc na południe, patrząc na wschód. Wzięła sobie pracę na te pięć godzin jazdy w tę i z powrotem - książkę o roli prowincjonalnych miasteczek w amerykańskich musicalach, którą miała zrecenzować dla jednego z tych magazynów do czytania w samolotach. Ale Lana wiedziała już, gdy pakowała książkę, że nie ma szans. W tamtą stronę zamiast niej zgłębiała „Vogue” i „Harper's Bazaar”, magazyny, które rzadko kupuje, chyba tylko do samolotu czy pociągu - dodają podróży blasku, wprawiają w nastrój Elizabeth Taylor i Richarda Burtona z *Ludzi z lotniska* (Czy ktoś, zastanawiała się Lana, wie jeszcze, co w ogóle znaczą te słowa?). A w tę stronę w niedzielne popołudnie płynęła po prostu w dziwnym stanie zawieszenia, pochłaniając świat przez wielkie okno pociągu: kalejdoskop zatok, zatoczek, portów, kończący się długim tunelem na Penn Station. Lana przyglądała się domom, tym bogatym, białym z okiennicami, skośnymi dachami, dobrze utrzymanym. Postawiano je tu i tam na wzgórzach, tak żeby były nad wodą i spoglądały poza horyzont. To dobry symbol, pomyślała Lana, pieniądze poszerzają horyzont, jakby się siedziało na najwyższym poziomie w Metropolitan Opera.

Natomiast bliżej torów domy były w opłakanym stanie - duże pudła jak te na Wielkich Równinach, albo małe bungalowy z podwórkami zapchanymi zardzewiałym złomem, jakby to była wyprzedaż, która nigdy nie nastąpi. Lana uśmiechnęła się, przypominając sobie, co powiedział jej chłopak Sam, gdy po ostatniej podróży na północ opisywała mu te przestrzenie: - Widuję takie podwórka, gdy jadę do Baltimore. Wygląda, jakby te domki zjadły za dużo śmieci i zwymiotowały. - Sam był może cichy w większej grupie, ale przy Lanie stawał się zupełnie inny.

Nie stać mnie nawet na taki żałosny bungalow. Nigdy nie dbała specjalnie o domy, nie w sposób, w jaki robi to wielu - że niby dom świadczy o tym, kim jesteś, jaką masz pozycję etc. Zawsze zakładała, że będzie miała dom; taki jak ocieniony wiązami, kamienny dom jej rodziny w Evanston, w stanie Illinois („Czcigodny” dom, jak nazywali go znajomi, bo jej tata był sędzią federalnym). Jednak zbliżając się do swojej kawalerki na Pięćdziesiątej Piątej Zachodniej, pięćset stóp kwadratowych ciemności i zaduchu zamknięte na cztery spusty, Lana musiała przyznać, że dom, jakikolwiek dom nie jest teraz jej priorytetem. Więc u Megan czuła pewne przygnębienie. To wybór, który odrzuciła, choć wciąż chciała myśleć, że tylko przełożyła na potem.

W starym wiktoriańskim domu, który Megan i jej mąż powoli i pieczołowicie remontowali (kremowozielone okiennice i pół akra lasu), Megan podaje koktajle w jadalni, a czasem, tak jak wczoraj wieczorem, w pierwszych dniach października, obiad na werandzie chronionej jedynie siatką przeciw owadom. Tylko tą siatką! I wszystkie te siatki w drzwiach! Jeśli się nie mieszka w Nowym Jorku, nie docenia się wolności, jaką dają takie drzwi, ich skrzypienie, dźwięk, który należy do ojczyznojęzyka przestronnych przedmieść jako kontrapunkt do krykieta.

I jeszcze pracownia Megan w czymś w rodzaju kwadratowej wieżyczki na poddaszu, gdzie wlewa się światło.

- Właściwie za dużo światła - mówiła Megan, co znaczyło, że może tam pracować tylko w ściśle określonych godzinach, kiedy słońce chowało się między oknami, co właściwie jej pasowało, bo - jak tłumaczyła - dzieci nie pozwalają ci pracować. Trzeba się do nich dopasować. Natchnienie? Koncentracja? Zapomnij o tym.

- Ale wszystko i tak się jakoś kręci - odpowiedziała jej Lana zazdrosna o to pomieszczenie zalane słońcem z pobielonym parkietem upstrzonym pastelowymi śladami pędzli Megan (zanim pojawiły się dzieci, Megan malowała śmierdzącymi olejami, które schły wiekami; odkąd są dzieci, zastąpiła je łatwo zmywalnymi akwarelami). Kiedy Lana pisała teatralne recenzje na zlecenie, robiła to po godzinach w malutkim biurze gazety z repertuarem, w której była starszą redaktorką. Zostawała do późna, a światło jej monitora potęgowały ciemności za oknem. Na obiad chińska zupa z porcją ryżu zamówiona za rogiem. Albo przychodziła w weekendy, a biuro wyglądało jak opuszczony wrak, zagubiony w ciszy. Przyzwyczała się do pisania w biurze.

- Guzik się kręci. - Megan wzruszyła ramionami - To tylko złudzenie. Ale tak nie było. To, nad czym teraz pracowała Megan

- akwarele malowane pędzelkami cienkimi jak do makijażu, delikatne i skomplikowane - było jak zabawy domowej wyobraźni. Jajka sadzone, globus, diafragma, psia miska, zegar etc. Megan układała tego typu rzeczy w spirale, szachownice i plansze podobne do tej od Monopolu, ale nawet jeśli próbowało się zgadywać, jakie są między nimi powiązania, to i tak czuło się coś nieuchwytnego, jakby grę z czasem w zgaduj-zgadula. Megan wkładała w swoje obrazy rytm własnego życia.

- Ujmijmy to w ten sposób - powiedziaia Lana. - Ty masz milion okien, a ja jestem szczęśliwą posiadaczką trzech. Dwa duże i jedno małe. A to małe ma matowe szybki, więc nawet się nie liczy.

- Po co ci okna? Masz Nowy Jork pod samym nosem! Czy ty wiesz, ile czasu spędzam w kuchni?

Właśnie były w kuchni, gdy Megan to mówiła, i nie przesadzała. Lana nie zazdrościła jej tych wszystkich bardzo zdrowych posiłków, które musiała nagotować.

Obie miały teraz po trzydzieści cztery lata. Spotkały się w college'u, na drugim roku - Megan była beztrioską pięknnością (w towarzyskiej punktacji: dziesiątka), Lana - typem cierpliwego powiernika (sama dałaby sobie siedem, może osiem). Nie należały do tych samych kół, ale pewnego popołudnia były obie w świetlicy internatu i usłyszały z korytarza na dole piosenkę Julio Iglesiasa *To All The Girls I've Loved Before*. Jakiś student wszedł do świetlicy, wyjął jogurt z lodówki, stanął, posłuchał, westchnął do sufitu: - Kocham go za to poczucie przyzwoitości - i wyszedł. Lana i Megan spojrzały po sobie i już wiedziały, że są rozbawione i urażone z tych samych powodów i że to jest przyjaźń.

- Ta piosenka jest taka paskudna przez to „before” - oznajmiła Megan.

- Aż się prosi spytać - dodała Lana - „before what?”. Zanim pojawiła się kolejna dziewczyna? Kolejna i kolejna? Chodzi mu o nieletnie fanki?

- Pewnie tak - zgodziła się Megan. - A przecież wiele kobiet wręcz omdlewa przy tej piosence. „Poczucie przyzwoitości”?

- Tak - zrozumiała ją Lana. - Coś jak Hugh Hefner! Wkrótce opuściły się nieco w nauce, bo wymykały się do kafejki dla studentów, gdzie pożerały o wiele za dużo

tlustego sera z grilla, wypijały niezliczone ilości kawy, dyskutowały o facetach, sztuce i życiu, jak francuscy filozofowie, a od czasu do czasu także o tym, czy aby nie są pretensjonalne (zwykle dochodziły do wniosku, że skądże znowu, że są jedynie „żadne wiedzy”, co ich zdaniem doskonale oddawało ich postawę). Od razu narodziła się przyjaźń doskonała, której zasad nigdy nie musiały omawiać. Jeśli jedna miała coś, czego nie miała druga, mówiły sobie o tym w żartach, narzekając albo zwyczajnie wprost. Powiedziane stawało się mało ważne.

- Tak dla porządku - powiedziała Lana, obserwując, jak Megan wyczarowuje jakieś smakowite dodatki w stylu Jacques'a Pepina. - Kiedy ty się nauczyłaś robić porządne posiłki?

Gdy miały dwadzieścia parę lat, mieszkały razem w Chicago - dwupokojowy bałagan, który chłopak Megan, student medycyny (dziś dr mąż) nazywał „babskim królestwem”. Megan знаła wtedy tylko jeden przepis na potrawę, którą serwowała zresztą jako swoją specjalność. Był to kurczak curry krojony jak boeuf Strogonow i jasnopomarańczowy, co sugerowało - fałszywie, jak się zawsze okazywało - delikatną odmianę curry. Było to bardzo smakowite, ale ostre, raczej nie rozpływająca się w ustach ambrozja, jakby się można było spodziewać.

- Ten smak nie pasował zupełnie do koloru - przypomniała sobie Lana, a Megan, która nigdy nie pozwalała, by jej ego wpłynęło na prawdziwość wypowiedzianych słów, przytaknęła:

- Właściwie już tego nie robię. Nie wszystkim smakuje. Zresztą Lana mogła jej dogryzać tylko dlatego, że sama nie miała żadnej specjalności. Była zbyt zajęta bieganiem na różne *eight o'clock*, czyli robiła to, co trzeba robić, żeby zostać krytykiem - bywała wszędzie: teatr w Alei

Lincolna, balet w Auditorium, opera w Lyric, koncerty w Orchestra Hall. W tamtych czasach, kiedy mówiła, że chce zostać krytykiem sztuk pięknych, ludzie patrzyli na nią zakłopotani. - Jak się tym zostaje? - pytali. - Jest jakaś specjalna szkoła? - Nie - odpowiadała. - Po prostu oglądasz, co możesz, i piszesz recenzje (wtedy pisała je dla bezpłatnego tygodnika miejskiego „Chicago Reader” za marne trzydzieści pięć dolarów za sztukę, ale warto było, żeby w ogóle zaistnieć). W ciągu dnia Lana była asystentką redaktora w popularnej gazetce z repertuarem teatralnym rozdawanym w każdym teatrze. Mały, rodzinny interes, ale dawali jej sporo darmowych biletów i o dziwo mieli swój oddział w Nowym Jorku! Mój czas kształcenia osobowości, dumiała Lana. Pociąg zwolnił, wjeżdżając do Mystic, w stanie Connecticut, gdzie Lana zawsze przypominała sobie o filmie *Mystic Pizza*, jednym z tych filmów o dorastaniu i o tym, kto zostaje w mieście, a kto nie.

To nie Lana miała mieszkać w Nowym Jorku. To Livia, starsza siostra Lany. Ale czy nie często się tak dziwnie układa? Marzenia tych, których podziwiamy, stają się jakoś naszymi marzeniami. I nie zrobiła tego nawet celowo. Lana nigdy nie próbowała współzawodniczyć z siostrą. Livia była jednym z tych czarujących stworzeń jak z obrazka, jak z reklamy szamponów Brecka - brunetka o jedwabnych włosach, otoczona przez przyjaciół, ale w głębi duszy wrażliwa i delikatna. Może to wynikało z tego, że była bliźniakiem. Zawsze byli Tom i Olivia, nigdy Livia i Tom. Nie można marzyć o wspanialszym starszym rodzeństwie - dużo starszym, o sześć lat. (Pewnego dnia, kiedy Lana miała grypę i była tak znudzona, że postanowiła schować się na schodach, żeby podsłuchiwać mamę grającą w brydża, usłyszała swoje imię, a potem głos mamy po efek-

townej chwili ciszy: - Cóż mam wam powiedzieć? William przybił swoim młotkiem dłuuuuuugą sprawę... - Chichot pozostałych pań. To zdecydowanie nie była ta historia, którą zawsze słyszała Lana:

„chcieliśmy jeszcze raz wypróbować kołyskę”). Mimo tak dużej różnicy wieku brat i siostra starali się nie zapominać o Lanie. Ona zaś spoglądała na nich z podziwem i ze swojej perspektywy widziała, że Tom był tak beztroski, jak Livia wrażliwa.

Była więc bardzo ostrożna przy Livii. Przez rok miały wspólny pokój i Lana widziała, że nie jest łatwo trzynastolatce dzielić pokój z siedmioletnią smarkulą. Pamiętała nocne słuchanie musicali w ciemności, każda z sióstr w swoim łóżku, czujne uszy, między nimi cztery stopy odległości, ale obie tak samo skupione na klik, brzęk, pyk, cisza i tarcie igły po płycie, a potem radosne pierwsze takty kolejnej uwertury, takiej jak *Oklahoma!*, wznoszącej się „tak wysoko, jak oko słonia” lub rozkwitającej jak *My Fair Lady*. I zachwyty Lany, gdy Livia śpiewa „*AUI want is a room somewhere*” z surowym akcentem cockney, a Lana stara się być jak najciszej, bo tak wspaniale jest słuchać starszej siostry. Była szczęśliwa, przysłuchując się jedynie, ale mogłaby też z chęcią zaśpiewać, bo tak cudownie było czuć się częścią życia Livii.

Zarówno Tom, jak i Livia mieli piękne głosy odziedziczone po ojcu, którego głęboki baryton zawstydział Lanę w kościele. Wydawał jej się wokalnym odpowiednikiem jego niedzielnego płynu po goleniu. Lana - tak jak jej matka - miała dobry słuch, ale słaby głos, więc zajęła się baletem. Niema sztuka dla samodzielnych. Nigdy jednak nie zaproszono jej do pierwszego rzędu, gdzie przyszłe baleriny hipnotyzowały lustra. Gdy bliźniaki poszły do liceum, brały udział w wiosennych przedstawieniach i zamieniały salon w miejsce prób, a Lana z widowni

awansowała na trenera i musiała skupić się na najmniejszych szczegółach ich występów. Tom był zawsze taki sam - kołysał słuchaczy swoim tenorem i nadrabiał charyzmą. („W każdym liceum znajdzie się jeden taki” - lubi dziś tak to przedstawiać). Livia zawsze zatrzymywała się, by zacząć od początku, oddać nie tylko każdą nutę, ale i uczucie, chciała stać się daną postacią. Doprowadzała tym wszystkich do rozpacz, ale nawet wtedy Lana wiedziała, że talent Livii jest ciekawszy, bardziej nieuchwytny, pociągający. Byli jak Mickey Rooney i Judy Garland z tych starych filmów o rozśpiewanych farmerach, jak bąk i ćma, myślała sobie po cichu.

Pewnego dnia rodzice akurat byli w salonie, gdy dziesięcioletnia Lana wydała następujący werdykt: - Tom, może gdybyś nie był taki dobry w tej piosence, byłoby lepiej. - Ojciec spojrzał na nią uważnie i powiedział: - Lana to nasz mały Salomon, a matka przytaknęła: - Ma wiele wyczucia. - Lana, dumna jak paw, przyjęła te komplementy jak swój los. Tymczasem Livia zrobiła w końcu to, co zrobiło przed nią tak wiele nieroztropnych kobiet: swoje marzenia o Broadwayu zamieniła na małżeństwo, mały domek w Kenilworth i marzenia swoich dzieci. I wydawało się, że nigdy nie żałowała - ona, która jako dziewczynka płakała przez tydzień, gdy w ostatniej klasie liceum nie dostała roli Marii w *West Side Story*. Musiała grać wtedy Anitę tylko dlatego, że Tom był jedynym kandydatem do roli Tony'ego, a nauczyciel nie mógł przecież obsadzić rodzeństwa w rolach kochanków.

Okazało się jednak, że scena będzie należeć do Lany. Nie w sposób, w jaki oni ją zdobywali, nie poprzez bycie na scenie. Lana pokochała świat ukryty za kurtynami, świat wielkich wejść, monologów, snów, kulminacji, epilogów i tej ciszy przed oklaskami (dziś coraz częściej za-

głuszonej przez ludzi klaszczących zbyt pośpiesznie, jakby nie wiedzieli, że milczenie jest ostatnim akordem sztuki). Każde przedstawienie było tajemnicą, którą należało odkryć. Nie wystarczyło jedynie uznać je za udane lub nie. Trzeba było dociec, jak to się stało, że przedstawienie było udane, dlaczego stało się porażką, trzeba było szukać Prawdy.

Przycupnięta nad klawiaturą, przy lampce Lana dawała swoją odpowiedź i swoje przedstawienie

- na papierze. Wygrywała własne monologi, kody i pełnym głosem wydawała osąd. Było w tym coś przerażającego. I zabawnego. Lana wiedziała, że ma to „coś”, co pozwala dobrze pisać. I oczywiście dużo dobrych chęci. Zrozumiała też, że ludzie nie lubią, gdy ktoś krytykuje ich ulubione przedstawienie. Kiedy ktoś opowiadał jej o filmie czy sztuce, której nie mogła ścierpieć, Lana starała się tylko pytać. Co ci się najbardziej podobało? Czy widziałeś coś wcześniejszego tego reżysera? Czowała się jak kameleon przyczajony na pniaku, ale nie chciała ranić cudzych uczuć, a tym bardziej kogoś rozżłościć. W głębi duszy zawsze wiedziała, że skończy w Nowym Jorku

- mieście, w którym ludzie kłócą się na temat sztuki. A krytycy są w cenie.

Na razie Lana nie należała do tych ostatnich. W Chicago mówiono o niej, że się dobrze zapowiada, w Nowym Jorku była tylko kolejnym wolnym strzelcem czekającym na swoje pięć minut. Pociąg zwalniał. New Haven. To przypominało jej zawsze o Cole'u Porterze w Yale - zespole *Whiffenpoofs* i swetrach z wyszytymi inicjałami. W New Haven pociąg będzie stał dwadzieścia minut. Zmiana lokomotywy. Czy Lana powinna zjeść teraz kanapkę, którą Megan dała jej na drogę, czy raczej poczekać, aż ruszą? Nie wiadomo, dlaczego wydaje się, że bardziej odpowiednie jest jedzenie, gdy się jedzie. Powinna umieć to jakoś

wytłumaczyć, powiedziała sobie, ale nie była pewna, czy dałaby radę. Może, gdy pociąg się toczy, nastrój jest bardziej odświętny, jak na pikniku. Może, kiedy stoimy na stacji, życie wydaje się trochę podejrzane, jakby łamało zasady bon tonu. To żałosne. A jednak Lana umierała już z głodu. Nie jadła nic od śniadania (tost z kawą), potem tylko jeszcze jedna kawa w pociągu, a teraz było już koło drugiej. Gdy tylko pociąg ruszył, wypakowała kanapkę - kurczak z musztardą, chleb na zakwasie. Nie ma to jak prawdziwy przyjaciel. Nie zapomni o najmniejszych szczegółach - o musztardzie - o której nie pamięta nawet twoja własna matka. - Chcesz z majonezem? - pytała mama Lany, a Lana nie wierzyła własnym uszom: - Też pytanie! Nigdy, przenigdy nie wzięłam do ust niczego z majonezem. - Mama jest mądrą kobietą, ale trochę nieprzytomną. Trzeba by się jakoś odezwać. - Lana zadzwoni dziś wieczorem do domu.

Za oknem jesień. Błękitne, zimne niebo, złote liście na drzewach, niektóre już marszczą się i wpadają w brąz, brąz papierowych torebek na zakupy. To pogoda powrotu do domu. Lana ma wciąż w pamięci Toma i Livię opowiadających po raz pierwszy o powrocie. Byli wtedy w pierwszej klasie liceum. Nigdy przedtem nie słyszała, by ktoś mówił o jakimś powrocie w tak ekscytujący sposób. To było wielkie wydarzenie, coś bardzo ważnego. Nagle dom zatrzęsł się od hucznych uroczystości, zabawy i tańca, a Lana tak jak inni przejęła się powrotem, choć nie do końca rozumiała, o co chodzi. Kto właściwie wracał do domu? Poszła z rodzicami na paradę, stanęła w tłumie na krawężniku i wypatrywała Toma i Livii oraz platformy wiozącej pierwszaki. Liście tańczyły w powietrzu i opadały na ulicę. Cheerleaderki maszerowały w swoich krótkich, niebieskich spódniczkach, z zaróżowionymi od zimna ko-

lanami, migająca biała, plisowana wełna. Lana miała uszy pełne nosowego ryku szkolnej orkiestry (wtedy wszystkie szkolne orkiestry wydawały z siebie ton zaziębionego osła). Ale kto właściwie wraca? - zastanawiała się. Wyglądało przecież na to, że wszyscy są na miejscu.

Lana uśmiechnęła się, myśląc o Samie. Jakie to będzie zabawne opowiedzieć mu dziś wieczorem o swoich rozterkach dotyczących powrotu, jakie to wszystko, jak się dziś o tym pomyśli, było absurdalne. Dzwoniła do niego co wieczór na jego koszt. Siadywała w kuchni Megan, gdy już wszyscy spali, i śmiała się, ścisząc głos o tyle, o ile to było możliwe. Przeciągała kabel telefonu przez całą tę ciemność aż do okna, żeby widzieć księżyc, ten sam, który on też przecież widział. Nie rozmawiali długo, bo zwykle było już późno, a zresztą te nocne rozmowy budziły w Lanie poczucie winy, że nie poświęca Megan całej swej uwagi, jakby zdradzała ich przyjaźń. Wiedziała oczywiście, że tak nie jest. Ale po tylu latach spotykania się z kimś w Chicago, co omal nie skończyło się małżeństwem, Sam był pierwszym mężczyzną, z którym Lana mogła porozmawiać tak jak z Megan. Zupełne porozumienie. Był wszystkim tym, o czym marzyła od lat. Mijali teraz Stamford. Zaczynała się najgorsza część podróży. Lana czuła paskudne mrowienie od zbyt długiego siedzenia, chciała już być w mieszkaniu, ale jednocześnie czuła niepokój, bo kończył się weekend. Wyciągnęła kalendarz. I tak dobrze wiedziała, co w nim jest, ale chciała się na to wszystko przygotować. Poniedziałek: puste kratki, więc może popracować nad recenzją. Wtorek: o piątej konferencja/koktajl w Carnegie Hall. Naje się *hors d'oeuvres* zamiast obiadu. Potem pędzi z Dwightem Davisem na występ Marthy Graham. Dwight

jest krytykiem tańca nieustannie wiercącym jej dziurę w brzuchu, żeby zaczęła pisać o balecie. - Naprawdę znasz się na tym - przekonywał ją, a potem dorzucił przez ramię - każdy głupi może pisać o teatrze. - Może ma rację, myślała Lana, a może potrzeba mu tylko towarzystwa w antraktach. Wszyscy wiedzą, że krytycy tańca w Nowym Jorku to podstępne małpy. Środa: nowa sztuka Davida Mameta, jeden bilet - Lana nigdy nie miała nic przeciwko samotnemu chodzeniu do teatru.

Czwartek: Brooklyn Academy of Music - niemiecki eks-presjonizm - upojne godziny w metrze. Nie cierpi tam jeździć.

Piątek: wpół do czwartej herbata z Sylvie Moore, The Stanhope, a potem Sam.

Zapowiadał się ciężki tydzień. I nie spotka się z Samem aż do piątku, choć przecież wraca już dziś. Herbatka z Sylvie będzie doskonałym sposobem, żeby się wyciszyć (o ile Sylvie nie zacznie smęcić, co ostatnio zdarzało jej się coraz częściej). Ta srebrno-zielona sala wychodząca na Piątą Aleję, te małe pluszowe kanapki, dające ci poczucie takiej akuracności, jakbyś była z powrotem gdzieś w latach pięćdziesiątych XX wieku (Sylvie, sama srebrzysta i dość wysoka, była jakby za duża na te małe kanapy). I herbata, a po niej lampka wina przenosiły cię powoli w piątkowy wieczór. Potem powrót do mieszkania, które - małe czy nie - Lana jednak kochała. Położy się na pół godzinki. To było jedno z jej ulubionych zajęć, szczególnie w piątek przed randką - leżeć na łóżku i patrzeć, jak pokój znika w ciemnościach, w szumie lodówki. Tę ciszę uważała za fenomen „preteatralny”, czas między szóstą a ósmą, magiczna melancholia, która nachodziła ją tylko na Manhattanie. W pewnym sensie był to miejski odpowiednik siatki

w drzwiach, coś pomiędzy, jednocześnie otwarte i zamknięte, szybkie i powolne, wieczne sito miasta. Musisz przez nie przejść, pomyślała Lana, a pociąg wjechał w ciemności. Własne odbicie w szybie: krótkie włosy odgarnięte za uszy, oczy szeroko otwarte.

- Bardzo rzadko mrugasz - zauważył kiedyś Sam.
Miał rację, rzadko. Żeby niczego nie przeoczyć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Klej

Kiedy Iris oklejała tasiemką abażur z Langham, w połowie pracy zauważyła, że ma za mało światła. Już jesień. Październik. A dopiero trzecia.

Z tasiemką nie można się śpieszyć. To ostatni krok, kropka nad „i” - nie wolno przerywać tej czynności. To trochę jak łowienie ryb na muchę - myślała Iris, choć sama nigdy nie łowiła, a tylko patrzyła, jak robił to jej ojciec, patrzyła na ten płynny ruch od łokcia, który ćwiczył przed wyprawami na łososie, na które ojciec i matka jeździli do Szkocji. Trzeba stanąć w strumieniu, wzrok skupić na tworzeniu pięknej, szybującej w powietrzu linii. Powietrzne pismo. Wszystko w twoich rękach. Tyle że z tasiemką - wszystko w twoich palcach.

Pokrycie materiałem nagiej, metalowej ramy wymaga ściśle określonej metody: każdy kolejny ruch pozostawia nieobrębioną krawędź, którą należy zakryć w następnym ruchu. Tasiemka - ozdoba, którą Iris uwielbiała, cięższa niż wstążka, bardziej płaska niż kordonek, czasem bardzo wąska, nawet jedna ósma cala, ale zwykle jedna czwarta, może trzy ósme cala, niezliczone barwy i wzory - zakrywała ostatnią nieobrębioną krawędź. Musi wyglądać, jakby tasiemka opadła tu lekko, zalotnie, w niemym zrozumieniu i miłości. Żeby tak wyglądała, trzeba nakładać ją jed-

nym zręcznym ruchem, nie przerywać. Lekki dotyk jest najmocniejszy. Iris uniosła abażur nieco wyżej, żeby móc jeszcze kątem oka łapać znikające światło. Czytała gdzieś, że światło wpadające z boku oka zwiększa skupienie, że niemal wprowadza w trans, czy też stan zen. Nie była właściwie pewna, czym dokładnie jest zen. Tyle się teraz o tym słyszy - zen beztrąsko przyczepiane do wszystkiego, co wschodnie. Odnosiła zresztą wrażenie, że większość ludzi ma o tym równie mgliste pojęcie, co ona.

- Zen - powiedziała na głos, wzięła głęboki oddech i wróciła do tasiemki. Na tym świecie jest tyle rzeczy, które cię ponaglają. Uciekające światło. Zmieniający się kąt. Tak jak zmienił się w zeszłym miesiącu, kiedy skończyła czterdziestkę. Obiecywała sobie, że te urodziny jej nie przestraszą, że nie przerazi się tych liczb mówiących jednoznacznie: wiek średni. Zniosła to z uniesioną dumnie głową, włożyła swoją najlepszą, jedwabną małą czarną, która - choć miała już pięć lat - była ponadczasowa, i wybrała się do New York Philharmonic na *Dziwiątą* Mahlera, bilet w pierwszym rzędzie, gdzie, gdy podnosiła się lekko, by kogoś przepuścić, nagle opadły ją wątpliwości: czy tylko mi się zdaje, czy ta sukienka zrobiła się nieco za krótka? Potem wypity z koleżankami szampana. Każda zwierzała się ze swojego sposobu na czterdziestkę. Wszystkie twierdziły, że nie, nie czują „najmniejszej różnicy”. Ale one oczywiście nie były samotne.

Iris czuła różnicę. Czuła ten ruch, to przejście do czasu czwartej po południu - jeszcze nie koniec dnia, ale wieczór już na wyciągnięcie ręki; to popołudniowe słońce tak niskie latem, tak chłodne zimą; jej nowe królestwo, czwarta po południu. Czuła... nie strach, a igielki paniki. Zaczęła

przedłużać spódnice i sukienki (te, które można było) tuż za kolano. Była dumna ze swoich zgrabnych nóg, ale to jeszcze nie powód, żeby w tym wieku odsłaniać kolana. Tak będzie lepiej, bardziej *soigne*, bardziej odpowiednio na czwartą po południu. To ją uspokoiło. Jeszcze będzie dumna ze swoich czterdziestu lat.

A nawet jeśli nie ponaglało jej słońce, robili to projektanci zlecający jej abażury, wiecznie targujący się o terminy. Oj, czy naprawdę nie da się szybciej? Oj, wiem, że mówiłaś, że w piątek, ale będę akurat w okolicy we wtorek... Oj, Iris, dlaczego nie weźmiesz sobie jakiegoś pomocnika? Dlatego, że to już nie byłyby prawdziwe Iris Originals, prawda? I już byście ich nie chcieli.

Telefon. Trzy dzwonki. Przylepiona tasiemką do abażuru, Iris pozwoliła ręce zawisnąć w powietrzu, gdy sama słuchała głosu nagrywającego się na sekretarkę.

- Ajris? - śpiewny południowy akcent; to Deena. - Założę się, że jesteś tam i wyczyniasz te swoje wygibasy ze szpilek w ustach. - Iris nigdy nie wkłada szpilek do ust.

- Mniejsza o to. Na dziś wieczór mam takie propozycje: *Elizabeth* pięć po ósmej, o królowej Elżbiecie, kiedy była młoda. Pokaz przedpremierowy i w dodatku tuż obok ciebie. To by było fajne - Deena uwielbia widzieć wszystko przed innymi. - Albo *Mrówka Z*. Za dziesięć ósma. Nie jest to niby film Woody'ego Allena, ale Woody tam gra albo raczej jego głos, więc i tak muszę to prędzej czy później zobaczyć - Deena zna Woody'ego Allena. Zdarzało się już, że sprzedawała mieszkania, w których kręcił swoje filmy.

- Zdecydujemy, jak już będę u ciebie. To do szóstej. Hej! Deena była pierwszą osobą, którą Iris poznała po powrocie do Nowego Jorku. Jest pośrednikiem nieruchomości i pomagała Iris znaleźć jej dwupokojowe mieszkanie na Dziewiętnastej Ulicy, tuż przy Gramercy Park. Cóż, spe-

cjaliści tej branży natychmiast wiedzą o tobie wszystko i dla Deeny nie pozostało tajemnicą, że Iris zostawiła za sobą w Filadelfii siedem lat małżeństwa; że jej dochody miały tylko jedną stałą - dwadzieścia tysięcy dolarów na rok zgodnie z ustaleniami rozwodowymi (wszystko to szło teraz na wynajmowanie dwupokojowego mieszkania w kamienicy z czerwonej cegły); że druga sypialnia stanie się pracownią, więc odliczy ją od podatku; że w tym pomieszczeniu Iris będzie spędzać całe dni na samotnej pracy, podtrzymując przy życiu zamierającą sztukę ręcznie wyrabianych abażurów.

Jej Iris Originals były najbardziej eleganckimi i najbardziej poszukiwanymi abażurami w całym Nowym Jorku. I najwyżej cenionymi. Co nie znaczyło wcale, że Iris opływała dzięki nim w dostatki. Wliczając nawet czeki od męża, które Iris przyjmowała z okropnymi wyrzutami sumienia, ale przyjmowała, bo musiała (a jednak nie mogła zmusić się do nazywania tego „alimentami”, tak bardzo wstydziła się tego określenia), ledwo sobie radziła, wciąż jeżdżąc autobusami, gdy marzyły jej się taksówki. Mimo to interes

- malutki i niespecjalnie dochodowy - był jej własny. Jeszcze jako mężatka nauczyła się robić abażury. Zaczęło się od rozłożenia na części pewnego niezwykle pięknego i niezwykle starego abażuru. Rozrywka dla zabicia czasu. Nie przypuszczała wtedy, że ta rozrywka, to hobby, te wyszukane podarunki dla znajomych staną się kiedyś jej sposobem na życie. Wtedy była tylko szczerze zafascynowana ogromem pracy, który ktoś musiał włożyć w to pomarszczone cacko znalezione u teściowej w piwnicy

- stary abażur Biddle'ów, chyba z lat czterdziestych. Mimo że podarty i poplamiony, wciąż zachwycał kształtem, jak rzymski szyszak.

Zdejmowała warstwy jedna po drugiej, zmagając się ze szwami, bo choć jedwab był już zupełnie

martwy i rozsypywał się w pył, to nitki wręcz skamieniały przez te dziesięciolecia wilgoci i ciepła. Każda kolejna warstwa okrywała tajemnicę wykonania. Iris nauczyła się swojej sztuki, idąc wstecz krok po kroku.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powątpiewała Deena, gdy się poznały. - Trudno dziś o dobrego faceta. Trudno dziś o jakiegokolwiek faceta.

Nie była to najlepsza rzecz, jaką można usłyszeć tuż po rozwodzie. Szczególnie od samotnej kobiety tak uroczej jak Deena, z jej głębokimi dołeczkami, rumieńcami, z wyglądem południowej piękności dorastającej w kniejach (na T-shirt w paseczki wciągała błękitny, lniany kombinezon, butikowy odpowiednik tych obszernych rompersów, które noszą maluchy). Uważa mnie za konkurencję, pomyślała Iris. A to ostatnia rzecz, której mi teraz trzeba. Ale myliła się. Z Deeną żadna nie mogła się równać, może z wyjątkiem Audrey Hepburn w *Sabínie* - miały taką samą króciutką grzywkę. Deena twierdziła później, że od razu wiedziała, że Iris jest „nieco sztywna”, ale Deena była po prostu niespokojnym duchem. To prawda - miała wybitny talent do dwuznaczności, które wyłapują tylko kobiety. - Wyglądasz tak młodo! - witała Iris, gdy nie widziały się kilka dni, irytujący komplement, bo sugerował przecież jednak, że zwykle wygląda staro, a Iris wiedziała, że tak nie jest. Z czasem Iris przekonała się jednak, że takie uwagi nie wynikają u Deeny ze złośliwości, a świadczą jedynie o jej nieopanowaniu i impulsywności. To właśnie te impulsy znalazły dla Iris idealne mieszkanie z kluczykiem do Gramercy Park; i to one kazały Deenie deklorować za każdym razem, gdy Iris nie wyrabiała się ze zleceniami: „Pozwól mi zostać swoim pomocnikiem”, choć Deena ledwie umiała nawlec igłę. Bywały dni, kiedy ta szalona wylewność okazywała się naprawdę bezcenna.

Rzadko się widywały. Za to często rozmawiały przez telefon, głównie dlatego, że Deena na ogół zajmowała się prezentowaniem mieszkań aż do wieczora, ale także dlatego, że nie lubiła jeść na mieście, bo nie mogła sobie pozwolić na żadne przypadkowe produkty spożywcze. Ona naprawdę żyła na potrawach z orzechów, jagód, brązowego ryżu i grochu, na produktach obieranych, podgotowywanych i przyrządzanych na parze. Pewnego wieczoru, po obiedzie w mieszkaniu Deenny na Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, gdy pałeczkami wyjadały krewetki ze szczypiorkiem i popijały źródlaną wodą z niebieskich szklanek (niebieski - dobry na trawienie), Deena zwierzyła się, że już jako nastolatka zaczęła się źle czuć, że cierpi na chroniczne zmęczenie czy też przewlekłą alergię, a może jeszcze coś innego - lekarze nie są pewni - i stąd ta dieta. Iris była zszokowana nie tylko dlatego, że nigdy nawet jej do głowy nie przyszło, że przyjaciółka cierpi, ale przede wszystkim dlatego, że Deena zawsze tryskała energią. Jej kombinezon był wciąż w ruchu (w zimie fioletowy, naprawdę uroczy). Wiecznie młoda. W życiu byś nie zgadła, że coś jest nie tak.

Dziś, znając Deenę już od sześciu lat, Iris nie była pewna, czy jest to tylko fizyczny problem. Zastanawiała się nawet, czy owa tajemnicza choroba nie jest sposobem Deeny na samotność, czy nie ma jej jakoś tłumaczyć i chronić. W końcu Deena była rok starsza od Iris. Nigdy nie zameżna. To z pewnością nie było w porządku. A jeśli nie liczyć jej nieustannie migającego notatnika Rolodeksa pełnego świetnych kontaktów (nie wspominając nawet o każdej dobrze sytuowanej nowojorskiej parze z Południa), na jej horyzoncie nie pojawiał się wciąż żaden obiecujący okręt. Tylko szalupy. A każda kobieta wie, że szalupy po czterdziestce wpływają druzgocąco na morale.

- Zamierzam przeskoczyć o jeden poziom wyżej
- Deena zwierzyła się ostatnio Iris. - Od teraz zajmuję się tylko MEGAnieruchomościami i MEGAFacetami. Skoro wszyscy faceci są równie godni zaufania co szczury, równie dobrze mogę wyjść za majątnego szczura.

Niezbyt optymistyczna wizja, pomyślała Iris, ale w końcu z garstki informacji o dzieciństwie Deeny wiedziała, że jej ojciec nie bywał za często w domu. Iris nie czuła w Deenie strachu przed samotnością, a tylko jasnoooki sprzeciw z uroczymi dołeczkami w policzkach. Sprzeciw, by posuwać się naprzód. Wyrastała już przecież ze swojego kwiatu, ale uparcie trzymała się łodyżki, łapała za płatki... To natężenie widać było czasem w ścięgnach na jej nadgarstkach, w napięciu szyi, gdy zauważyła, kto w pokoju zwraca na nią uwagę. Może właśnie to wyczerpywało jej organizm - ten wysiłek, żeby pozostać niespokojnym i nieuchwytnym duchem. W każdym razie dziś wieczorem zamówią do domu coś z Tang Tang z Dwudziestej Ulicy. Deena uwielbia tofu, które tam przyrządzają. A co z filmem? Nikt nie zmusi Iris do oglądania kreskówki o pracowitych mróweczkach, jeśli sama harowała dziś jak całe mrowisko niewolników. Film o młodej królowej Anglii zdecydowanie lepiej wpłynie na nie obydwie.

- Idziemy na *Elizabeth* - oświadczyła abażurowi.

- Ot co.

Teraz należało tylko uciąć tasiemkę. Niecierpliwa, przejęta, jak zawsze, gdy kończyła abażur, Iris trzy razy mierzyła, zanim ucięła. Ostatnia kropla kleju - mała łożka chowająca się w zagłębieniu, które Iris zostawiła tu chwilę wcześniej - i koniec tasiemki wślizguje się do środka.

Przytrzyma go teraz mocno przez pięć minut.

W głębi swej duszy perfekcjonistki Iris czuła, że klej to nie jest najlepsze rozwiązanie, ale szycie po prostu nie

wchodziło w grę. Nie chodzi tylko o czas - choć szycie to co najmniej dwa dni więcej, w przypadku abażuru średniej wielkości - ale przede wszystkim to więcej pracy z igłą, a każde wbicie igły zwiększało ryzyko draśnięcia opuszki, czyli krew na jedwabiu. Nikt nie zapłaci tysiąca dolarów - cena wyjściowa Iris Originals (abażury od kinkietu były trochę tańsze) - za poplamiony abażur. Czyli tydzień pracy w plecy, a dostarczenie abażuru i pieniądze opóźnione. Klej był więc kompromisem, na który Iris szła z przyjemnością, bo w rzeczywistości cieszyło ją klejenie tych tasiemek. Jak lizanie koperty i przyciskanie brzegów. Zgięcie jej dłoni odcisnięte w zakładkach.

ROZDZIAŁ CZWARTY

„Dziennikarstwo bruków”

Sylvie Moore robiła zawsze wielkie wejście. Wysoka - pięć stóp i dziesięć cali wzrostu w płaskich butach, smukła jak topola. Włosy - śnieżnobiały podarunek Olimpu (w rzeczywistości pomyłka fryzjera, błąd chemiczny, który zaskoczył salon, a przemienił Sylvie). Jako była fotomodelka - „Byłam zbyt kluskowata na wybieg” - Sylvie zniżała się do poziomu innych, pochylając się i przyczajając. Chętnie przestawała ze zwykłymi śmiertelnikami (- Ale mamy szczęście - kpił Sam), żeby tylko ktoś wreszcie jej słuchał po całej tej ciszy przed obiektywem. W dobrym humorze, z bladą twarzą rozpaloną jakby w gorączce, błyszczącymi ustami, śnieżnymi włosami Sylvie zachwycała się dosłownie wszystkim i przebywanie z nią było prawdziwą przyjemnością. Jeśli natomiast była w złym humorze, co czasem się zdarzało, pierwszym, co rzucało się w oczy, gdy wchodziła, była blada brew, jak statek widmo zaklęty w lodowej górze. Trzeba ją było rozmrażać. Z Sylwią było tak zawsze: albo Noël Coward, albo Ibsen - i niczego pośredniego.

Dziś jednak był dobry dzień i Sylvie rozbłysła w srebrno-zielonej sali Stanhope Hotel. Nakryto już do herbaty. Jak zwykle to Lana przyszła wcześniej, bo Sylvie przybiegała z kolejnego spotkania czy raczej lunchu z kolejnym autorem. Czasami wyglądała, jakby wracała wprost z wczoraj-

szego wieczoru (koktajl z nowym wydawcą?) i jeszcze była podekscytowana szansą na duże zlecenie, zachwycona tym, że to do niej dzwonią, a nie ona dzwoni. Każdy pisarz na Manhattanie wie, że nie ma nic gorszego, jak zabawa w telemarketing. Nie szukaj, bo cię nie znajdą. Jeśli wydawcy nie chcą do ciebie dzwonić, jedynym ratunkiem jest im-prezowanie, i to jest sztuka. A Sylvie jest w tym mistrzem.

- Hej! Hej! - przywitała się Sylvie, schylając swą łabędzią szyję, by dziobnąć Iris w policzek, po czym opadła na śliwkowe obicie, jakby to był mały staw (włosy gładkie jak białe skrzydło, dokładnie taka długość, żeby można je było odgarniać). Zawsze jedynie unosiła się na meblach, pływała po ich powierzchni zbyt lekka, żeby zrobić najmniejsze wgniecenie. W dodatku miała zwyczaj czasami nie zdejmować płaszcza, jakby przysiadła na tej gałęzi tylko na chwilę, niepewna, czy tu zostanie. Dziś jednak Sylvie zrzuciła z siebie obszerny, czarny moher, który mógłby należeć do mamy Czerwonego Kapturka, gdyby ta wyszła za wilka. W pewnym sensie Sylvie wyszła za wilka. Była bowiem żoną Maksa - partnera jednej z firm prawniczych na Wall Street, osobnika podejrzanego, znanego z wielu podbojów, tak prawnych, jak i lubieżnych (te, zanim nastąpiła Sylvie, oczywiście). Czy tylko on sam o tym pamiętał, czy ktoś spisał te dzieje? Tego nie wiedział nikt, ale Sylvie wyznała kiedyś Lanie, że wyszeptał jej kiedyś w gorących chwilach całą tę listę i - oj, wiem, że nie powinnam tego mówić - mówiła ukrywając dłonią uśmiech - ale to było takie sexy.

Poznały się na przyjęciu pełnym prawników. Sam pracował kiedyś dla Maksa, zanim przeszedł do mniejszej firmy, więc teraz Max wyłowił go z tłumu, a Sylvie przewieszała mu się przez ramię jak srebrna bransoleta. Włosy miała wtedy obcięte na chłopaka, króciutkie jak łabędzi puch. Po wymianie przepisowych co-tam-porabiacie Max

powiedział: - Moja żona też pisuje recenzje. - Lana zamrugła. Ludzie zawsze stawiają cię w takich sytuacjach, skazują cię na towarzystwo kogoś, kto żyje tylko dla sztuki, ale właściwie niczego nie robi. O czym miałyby niby rozmawiać z tym napuszonym łabędziem? Sylvie wyfrunęła wtedy spod skrzydełek męża i powiedziała: - No cóż, pewnie nie jestem Mary McCarthy z jej szkicami o Nabokowie, ale... - Lana roześmiała się. Była modelka czytająca eseje Mary McCarthy o *Bladym ogniu*? Lana była ugotowana. Przegadały trzy kieliszki chardonnay, całe przyjęcie właściwie, a Max i Sam mieli trudności z odciążeniem ich od siebie, kiedy przekrzykiwały się swoimi „zadzwoń” przez śliską, deszczową ulicę SoHo.

- Nie cierpię tych esejów - przyznała Lana, otumaniona białym winem, w taksówce jadącej do Sama.

- No, to jeden z tych nadętych kawałków, prawda?

- Ale że Sylvie w ogóle o tym słyszała? ! Sam, to jest coś.

- Mówiłem ci, że nie jest taka głupia.

- Powiedziała, że wyglądam jak Diana Rigg, tylko jestem niższa. Urocze, nie?

- Niższa, młodsza, masz bardziej okrągłą twarz i większe oczy. Poza tym podobieństwo jest uderzające.

- Ale Sam - uwielbiała wymawiać jego imię. - Czy ona nie jest za bystra dla Maksa?

- Nie bądź naiwna. Ta kobieta to *Blady ogień* na dwóch nogach.

- Dla ciebie też?

- Mnie to ona przeraża. Jest jak olbrzymie drzewo, które może się złamać i cię zgnieść. Strzeż się!

Tydzień później spotkały się na herbacie i świetnie się bawiły. Okazało się, że Sylvie przyjechała do Nowego Jorku, żeby zostać aktorką (Sylvie Moore!), ale skończyła jako wzięta modelka (chyba dzięki tym charakterystycznym,

białym włosom) głównie w reklamach. Była punkową kowbojką w reklamie Coorsa i dziewczyną l'Oréala, zanim zaczęli używać do tego większych sław (- Nawet tę pracę straciłam przez jakieś aktorki! - mówiła gniewnie, ale uśmiechała się). W międzyczasie nie przestawała czytać scenariuszy i chodzić na spektakle, i kiedy wyszła za Maksa, była gotowa pisać.

- Pracuję nad scenariuszem filmowym, ale kto tego nie robi.

Ja na przykład, pomyślała Lana. Pisanie scenariuszy to jak granie na loterii. Takie nierzeczywiste.

- Ale udało mi się też opublikować kilka recenzji teatralnych - tu wymieniła kilka małych, ale znaczących gazet. - I muzycznych też. Wierz mi lub nie, ale w liceum grałam na harfie. - O co chodzi z tymi modelkami i ich dziwacznymi instrumentami? - W każdym razie sędzę, że mogłabym się zabrać za kolorowe magazyny. Max wciąż mnie pyta, czemu właściwie jeszcze tego nie zrobiłam.

Rok później drzwi sezamu stały otworem. Przynajmniej dla Sylvie. Pisała dla najbardziej popularnych magazynów, do których Lana nie miała jeszcze co dzwonić. Lana właściwie nie była zazdrosna. Lubiła pracować w swoim własnym tempie, dając z siebie wszystko w każdym kolejnym eseju. Wierzyła, że w końcu zacznie coś znaczyć. Zdawała sobie też sprawę z głównych, pozaliterackich atutów Sylvie - wzrostu i włosów („białe złoto” na pudełeczku l'Oréal)! A jednak nie mogła nic poradzić na to, że, tylko troszkę i pomijając Dianę Rigg, czuła się jak mały szary wróbelek.

- Nie czekałaś długo, prawda? - świergotała Sylvie, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu szminki. - Nie znoszę siebie, kiedy każę ludziom czekać. Ale ta taksówka... po prostu utknęliśmy za kupą autobusów na Madison. Co za korek! - Znalazła wreszcie szminkę, odkręciła i nie

patrząc w lusterko, nałożyła błyszczący na usta swoim długim, środkowym palcem. Lana wiedziała już, że Sylvie jak zawsze będzie poprawiać usta jeszcze dwa albo trzy razy. Zrobiła się nieco odblaskowa. I jak zawsze z początku, jej rozmiar góry lodowej trochę peszył Lanę.

- Jechałaś z domu? - spytała Lana. Sylvie i Max mieszkali na Murray Hills, przedziwnie pustej części miasta, jak brakujący kawałek w puzzle'u. Było to głupie pytanie, ale trzeba było jakoś wypełnić przerwę na poprawianie ust.

- Nie - zaprzeczyła Sylvie, pochylając się do przodu, jakby to była wielka tajemnica. - Byłam na lunchu z redaktorką „Vogue”. Trafiła gdzieś na mój tekst dla „New York”, no i pamięta mnie jako modelkę. Zadzwoiła do mnie. Rozmawialiśmy nawet o kontrakcie.

Do stolika podeszła kelnerka, prawdziwa herbaciana pani, baryłeczka w koronkach. Obie podniosły wzrok. Lana zamówiła lapsang souchong, a Sylvie earl greya (zwykle jadła angielskie śniadania).

- To wspaniale! - powiedziała Lana. - Właśnie czytałam „Vogue” w zeszłym tygodniu, w pociągu do Bostonu. Szczerze mówiąc, nie pamiętam tam rubryki o sztuce. To coś akurat dla ciebie. I będziesz miała swoje zdjęcie w gazecie!

- Wiem - zgodziła się Sylvie. - Jeszcze nie powiedziałam Maksowi. Będzie myślał, że to takie *cool*. I Lana - tu zniżyła głos - co za pieniądze! Więc Lana też zniżyła głos:

- Ile?

- W umowach o dzieło dają trzy dolary za słowo. Pomyśl tylko, ile może być w kontraktach.

Lana przyłożyła dłoń do piersi, udając, że aż ją serce zabolalo. Sylvie siedziała uszczęśliwiona. Podano herbatę. Najpierw nalano earl greya i aromat wślizgnął się między Lanę a Sylvie.

- Nigdy wcześniej nie brałaś earl greya - powiedziała Lana.
 - No, tak. Ale właśnie piłam go w czasie lunchu i strasznie mi smakował, więc pomyślałam, że czemu nie.
 - A co ci w nim smakuje? Bo wiesz, ten, którego ja kiedyś próbowałam, smakował jak jakaś angielska eau de Cologne. W stylu księcia Karola.
 - Ach, on jest taki uroczy - rozczuliła się Sylvie. - Nie uważasz? Ależ nie wierzę, że nie uważasz, że on jest uroczy! Te wielkie uszy i taka smutna twarz. Di była nieco stuknięta, no wiesz. Mężczyźni są tacy wrażliwi, gdy żenią się z wariatkami. Jak Edward Rochester. A żona w wieży.
 - I tu nastąpił jeden z jej trików: zaśmiała się cichutko, usta zamknięte z miną kotka, który właśnie zjadł myszkę.
- Lana wcale nie uważała, żeby księżę Karol był uroczy
- ten nadęty tradycjonalizm i w końcu oszukiwał Di, prawda? Jednak zgadzała się z Sylvie, jeśli chodzi o pozostałe rzeczy, szczególnie co do biednego Rochester, jednej z jej pierwszych miłości literackich. (I któż mógłby się nie identyfikować z Jane Eyre? No tak, może właśnie Sylvie mogła).
 - Mężczyźni nienawidzą scen - oznajmiła Lana i wydała się sama sobie typową pańcią na herbatce w Stanhope.
 - Wszelkich scen. Nieważnie, czy chodzi o odesłanie zupy, czy o załamanie nerwowe. Na oczach ludzi Sam nie pottrzyma mi nawet torebki, jeśli potrzebuję wolnej ręki. Nawet przez sekundę.
 - Sam jest taki uroczy, rozkoszny misiunio.
 - Ale dla niego potzymanie mi torebki to jak scena. Mamy dziś feminizm trzeciej generacji. Moja przyjaciółka Megan mówi, że dzisiejsze dziewczęta są znacznie odważniejsze, w pełni świadome swoich praw. Patrzy na nie i współczuje chłopcom.
- Podano koreczki.

- To byłby świetny artykuł - zapaliła się Sylvie, nadgryzając kanapeczkę wielkości karty kredytowej. - Powinnaś o tym dla kogoś napisać. Może zadzwoń do „GQ”? Znam tam Lynne Johnson. Spotkałyśmy się na przyjęciu i potem do mnie zadzwoniła. Mogę dać ci jej numer.

- No, nie wiem. - Lana podniosła koreczek z sałatką z jajka, koreczek wielkości srebrnej dolarówki; nie, wielkości ćwierćdolarówki. - Nie jestem pewna, ale te kanapki z jajkiem zrobiły się jakieś mniejsze. A te sprawy związane z płcią to nie moja działka. Pomieszanie socjologii z anegdotami, wszystko takie przewidywalne. Ja kocham myślenie, docieranie do sedna sztuki.

Podeszła baryłeczka, żeby przyjąć zamówienie. Jak zwykle dwie lampki chardonnay, żeby zrównoważyć herbatę.

- Ja też to kocham - upierała się Sylvie. - Ale to się nie opłaca. Ile możesz w najlepszym razie dostać za pisanie do niszowych wydawnictw? Co dostałaś za ten esej dla „Opera News”, ten o Glince?

Glinka, to brzmiało tak żałośnie.

- Tysiąc pięćset słów, tysiąc pięćset dolarów. I wiele tygodni pracy, wszystkie te poszukiwania, Rosja. Swoją drogą Glinka grał na harfie, wiesz? W „Vogue” to zupełnie co innego. Sylvie Moore - wielki głos mody o kulturze wysokiej.

- Właściwie akurat nie to ich interesuje. Mówiłyśmy wstępnie o pisaniu o Hollywood. Podoba im się to, że byłam aktorką. Kruczek polega na tym, że chcą umowy wyłącznej. A potem wszyscy będą dzwonić. - Łyk wina pełen satysfakcji. Może i to nie było przechwalanie się, ale nie był to też szczyt skromności. - Więc czy mam się związać, czy dalej bawić się w randki?

Już się związałaś własnym pisaniem, pomyślała Lana. Czytała wczesne teksty Sylvie. Świeży głos, zielony, jakby

ktoś wysoki szedł na skróty przez pole, zamiast człapać starą, dobrą drogą naokoło. Bez ogródek! To było zawsze dobre. Ale ostatnio Sylvie zaczęła więcej udawać w swoich esejach, dawać redaktorom dokładnie to, czego chcieli

- ostre spojrzenie byłej modelki na życie. Jej teksty stawały się zbyt „szczerze-mówiące”, zbyt „między nami”. Redaktorzy uważali, że to „powalające”. Ale Sylvie stać było na więcej.

- Może powinnam po prostu podpisać ten kontrakt

- ciągnęła Sylvie. - I darować sobie ten scenariusz filmowy. Rzecz w tym, że chyba już się zakochałam w tym dziennikarstwie bruków. Szybkie i brudne. Czysta, pozytywna przesada kontra sterta papieru, która może nigdy nie ujrzy światła dziennego.

- Ależ to nie takie proste - odpowiedziała Lana. Wzięła łyk chardonnay (jak dobrze wyjść w piątek z biura trochę wcześniej). Herbata stała zimna i zapomniana. - Większość redaktorów wcale nie jest szybka, są zupełnie niezdecydowani, jakby każdy tekst to było ich własne résumé. Tobie będzie się zdawało, że mijają wieki, a gazety będą się wahać tydzień lub miesiąc.

Sylvie spojrzała na nią z głębokim namysłem, co kazało Lanie pomyśleć: „Ajaj! powiedziałam to zbyt szorstko”. W międzyczasie koronkowa góra postawiła dwie kolejne lampki wina i zmiotła okruszki. Sylvie brnęła dalej.

- Ależ nie wierzę, że nie lubisz dziennikarstwa bruków. To taka frajda. Anglicy są w tym naprawdę dobrzy. Są mistrzami w łączeniu niskiego z wysokim, sztuki i mas. Tam pisanie to pisanie i kropka. U nas są same snoby: „Och! zajmuję się tylko krytyką. Piszę tylko powieści”. A ty? Poprowadziłabyś rubrykę z plotkami?

Lana nigdy nawet o tym nie myślała, ale nie mogła tak odpowiedzieć, żeby nie obrazić Sylvie.

- Właściwie nikt mi tego nigdy nie proponował, ale pewnie tak. Gdybym lubiła plotki. Czemu nie?

Ale tak naprawdę trudno jej było sobie wyobrazić siebie piszącą:

„Siedziałyśmy sobie z Gwyneth nad filiżankami parującej herbaty, kiedy spytałam Gwyneth, jak to jest być Gwyneth...”. Lana czuła się o wiele pewniej, używając takich słów jak „podświadomość”, „ikonograficzny” czy „imperatyw”. Była właśnie w trakcie pisania recenzji dla „United Airlines”, żywo omawiającej broadwayowski balet snu, gdy narodził się z urbanistycznych obsesji, takich jak surrealizm i psychoanaliza, a potem dostał się nagle w środek prowincjonalnych musicali typu *Oklahoma!* czy *Carousel*. To było fascynujące. W każdym razie dla niej.

- Nad czym teraz pracujesz? - Sylvie zmieniła temat dość raptownie i znacząco. - Musisz mieć masę pracy. Pewnie każdy redaktor chce, żebyś dla niego pisała.

Lana, która pracowała aktualnie tylko nad tym jednym tekstem, czuła się zawsze nieco zagubiona w entuzjastycznej przesadzie Sylvie, ale starała się traktować takie odzywki jako szczere.

- Recenzuję teraz książkę o musicalach rozgrywających się w scenerii małych amerykańskich miasteczek, ale tak naprawdę fascynuje mnie balet snu. To takie freudowskie... znaczy, oczywiście nie było żadnych psychiatrów w Oklahomie w dziewiętnastym wieku. Więc ten balet nie jest ani trochę tak niewinny jak musicale, w które jest włączony. Próbuje przemycić jakiś szkic czy dwa na ten temat.

- Ależ nie wierzę, że nie uważasz tych kawałków o snach za beznadziejne starocie. One są jak Salvador Dali. Kręcone schody aż do nieba.

- No, może są nieco staromodne - przyznała Lana. - Ale ja to lubię. One są takie specyficzne. I uwielbiam

sposób, w jaki posuwają akcję do wnętrza i do przodu jednocześnie.

I co niby jest złego w Salvadorze Dalim? - chciała jeszcze spytać, choć nie była jego wielbicielką. To jest takie niesprawiedliwe, kiedy musisz stawać w obronie czegoś albo kogoś (Dalego!), kto jest ci zupełnie obojętny.

- Jestem pewna, że zrobisz z tego cudo. - Sylvie zdjęła malinę z maleńkiej tarty. - Jesteś po prostu taka dobra w tym, co robisz.

Lana zirytowała się. Nie chodziło o to, czy jest dobra w tym, co robi, czy nie. Jeśli Sylvie chce się kłócić, to niech staje odważnie. Najpierw wyzywa mnie tym swoim „ależ nie wierzę”, a potem wykręca się komplementem. Sylvie była świetna w „ależ-nie-wierzajach”. To była jej specjalność, kolejna przesada, jak jej włosy i wzrost. Lana też miała swoje frazesy. Zawsze mówiła do Sama: - Musisz przyznać, że... - A on mówił: - Niby czemu muszę? A ona mówiła wtedy: - Bo wiesz, że mam rację. - Ale to był tylko żart, tylko między nimi. „Ależ nie wierzę” Sylvie było o wiele podstępniejsze, szczególnie jeśli używała go, żeby podważyć twoją opinię. „Ależ nie wierzę, że podobał ci się *Titanic*”. Niemal otwarty unik. To pozwalało Sylvie ominąć przedmiot dyskusji, zamknąć ją tam, gdzie powinna się zacząć, spychało cię do pozycji defensywnej. Dlaczego każda dyskusja zmieniała się w wymianę ognia? Jakby Sylvie, mimo całego podobieństwa do Walkirii, chwiała się.

- Jak tam Max?

Szybka zmiana tematu. Ale Lana naprawdę uważała, że trzeba zejść na coś lżejszego. Sylvie poprawiła włosy zgrabnym ruchem ręki. Były już dobrze w połowie drugiego kieliszka.

- Chce psa. Chce mieć dom w Santa Fé. Nagle zaczął coś przebąkiwać o dzieciach. Nigdy nie miewał takich

zachcianek. Wykańcza się w pracy, ale jakie ma inne wyjście? Wiesz, żyje, żeby zabijać.

- Jakiego chce psa?

Sylvie zaśmiała się tak konspiracyjnie, jak śmieją się tylko żony mężów za ich plecami:

- Chihuahua! Lana jęknęła.

- To w ogóle jest pies? Kiedy myślę o Maksie, to myślę o... ja wiem... dobrze wyszczotkowanym bokserze.

Jednak dla wiecznie wahającego się Maksa, faceta, któremu udawało się być jednocześnie błyskotliwym i znudzonym, przyjacielskim i nachalnym, paznokcie wypolerowane na błysk, jego weekendowe dzinsy zbyt obcisłe jak na czterdziestopięciolatka, dla takiego faceta, Lana musiała przyznać w duchu, chihuahua, nerwowe, trzęsące się stworzenie wydawało się idealne, mała kpina z normy.

- Wiem, wiem. - Sylvie kiwała głową, jakby usprawiedliwiając ten wybryk (nie ma usprawiedliwienia).

Została im jedna lampka chardonnay na pół. Sylvie nalała Lanie wino do szklanki, mówiąc, że musi zniknąć w ciągu dziesięciu minut:

- Jemy obiad z Mitchem i Shane.

- Shaaaaane - zdziwiła się Lana.

- Jakiś czas temu byliśmy u nich na brunchu. Pokazywali ich mieszkanie w „Elle Décor”. - Sylvie posmutniała. - Takie czyściutkie w porównaniu z mieszkaniem z dziećmi. Nie chcę całego tego zgiełku. I tych żarówiastych plastików. Chcę po prostu pisać. W Nowym Jorku. Prawda, że chcesz tego samego?

Powoli, prawie przepaszając, Lana odpowiedziała:

- Wydaje mi się, że chcę mieć dzieci. - Choć tak naprawdę nie było żadnego „wydaje mi się”. Oczywiście, że będzie miała dzieci, z Samem, taki jest jej plan. Ale po-

nieważ nie wiedziała, dlaczego Sylvie jeszcze nie zdecydowała się na dzieci, nie chciała z tego robić wielkiej sprawy. Sylvie miała dopiero trzydzieści osiem lat, może trzydzieści dziewięć, ale nigdy o tym nie mówiły. Ich znajomość była bardziej związana z pracą.

- Chcę być po prostu dobra w dziennikarstwie bruków - powtórzyła Sylvie.

Ci pretensjonalni dziennikarze z błyszczącymi spinkami do mankietów.

Nagle Lana zobaczyła ich wszystkich. I to słowo „bruk” - „mruk”, „wróg”. Ciężar w końcówce „-uk”, jak cementowe buciory (stuk!). I skąd w ogóle Sylvie wytrzasnęła to sformułowanie? Wymyśliła je czy co?

- Chcę dużo zarabiać - ciągnęła Sylvie. - I to naprawdę jest świetna zabawa.

Spojrzała Lanie prosto w oczy, jakby otwierała drzwi do innego wymiaru:

- Pisałabyś dla „Vogue”, prawda? Gdyby ci zaproponowali, podpisałabyś kontrakt?

Sylvie doskonale wiedziała, że Lana nie chce tego samego co ona, więc czemu przypierała ją do muru? Ile jeszcze chciała się o to spierać? Ile jeszcze zabawy w „zjeść ciasteczko i mieć ciasteczko”? To było żałosne. Albo to, albo to wino.

- Sylvie - spróbowała - nigdy tego nie zrobią. Na co im moje teksty?

- Ach, tak. Ale moje im się przydadzą.

Lana aż przysiadła ogłuszona, ale urażona Sylvie już nie panowała nad sobą:

- Nie podoba ci się „Vogue”. Nigdy byś dla nich nie pisała. Nie są wystarczająco poważnym pismem. Nawet nie wiem, czy ty w ogóle cenisz sobie moje teksty. Nigdy nic nie mówisz. Co się w ogóle z tobą dzieje?

Za dziesięć szósta. Zmierzchało i Sylvie też kryła się w ciemnościach. Naelektryzowany chłód, cisza, ciśnienie

powietrza, które Lana zna z dzieciństwa, z letnich wizyt u kuzynostwa w południowej części Illinois - ta pustka po przejściu tornado, coś wisi w powietrzu. Sylvie zanurkowała w swoją torebkę z czarnej skóry w poszukiwaniu... Czego? Błyszczyka? Płacz? Potem cicho, do siebie: „tak ciężko”, i nagle wyprostowała się, twarz odwrócona, wzrok zwrócony w stronę, gdzie sala herbaciana rozszerza się w marmurowe foyer, jej policzek też jak marmurowy.

Lana czuła, że mogłaby niemal usłyszeć cichą listę oskarżeń Sylvie. Nie wspieram jej, nie doceniam, nie rozumiem. Ale właściwie to Sylvie przekreśliła słowa Lany, celowo jej nie zrozumiała. Trzymała się teraz kurczowo torebki, jakby zaraz ten mały skórzany drobiazg miał wystartować i razem z Sylvie unieść się w przestworza. Lana wzięła oddech, pochyliła się i próbowała ratować sytuację.

- Nie mam absolutnie nic przeciwko takim magazynom. - Nienawidziła tego swojego płaczliwego tonu. - Myślę, że zatrudnienie ciebie jest z ich strony bardzo mądrym posunięciem. I to powiedziałam. I wiesz, że uważam cię za niezwykle utalentowaną pisarkę.

Ale to był tylko wybieg. Lana nie mówiła ostatnio nic o tekstach Sylvie, bo nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć, żeby nie brzmiało jak ścierna. Sciemę się wyczuwa.

Nawet sformułowanie „wiesz, że uważam cię za niezwykle utalentowaną pisarkę” było nieco podejrzanym, bo pomijało milczeniem, co to właściwie znaczy „niezwykły talent”. Jednak Sylvie zmiękła na tyle, by spojrzeć gdzieś nad głową Lany, podzielić rachunek na dwa, zaśmiać się ze swoich zmiennych nastrojów i wyczarować imponujący uśmiech. Wyszły razem, minęły jedną przecnicę i Sylvie znikła, czarny moher zamigotał i wcisnął się w otwartą otchłań taksówki. A Lana szła dalej Piątą Aleją, trochę otumaniona, po raz kolejny odgrywając w myśli tę ostat-

nią scenę i próbując dojść do siebie, ale wciąż nieco wytrącona z równowagi i zagubiona. Nadeszła noc i rozbłysły witryny sklepowe. - Kazała mi się kajać - słyszała swój głos w słuchawce, skarżący się Samowi. Teraz opowiedziała to jak anegdotę. Później spędzą wieczór na rozkładaniu problemu na części pierwsze i poszukiwaniu jakiegoś rozwiązania.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Za trzy tygodnie wiek średni

- Co powiedział Max?

Lana lubiła, gdy Megan używała imion nowojorczyków, choćby ich nigdy w życiu nie spotkała. Wydawało się wtedy, że jest w mieście.

- Twierdził, że Sylvie jest na zakupach, ale że on przekaze jej moją wiadomość. Powiedziałam mu, że ona chyba się na mnie gniewa od tamtej herbaty, a on na to, że jakoś to dziewczyny rozwiążecie.

- Czyli Sylvie jest wściekła. A on gra rolę niezaangażowanego, bezstronnego męża, mimo że jest zaangażowany po same uszy.

Od tragicznej herbatki minęły już dwa tygodnie, a Lana zostawiła dwie wiernopoddańcze wiadomości na automatycznej sekretarce Sylvie - bez odpowiedzi. Kiedy zadzwoniła ostatnim razem, odebrał Max.

- Był przemiły, ale czułam przez skórę, że Sylvie była w pokoju. - Lana usłyszała, jak Megan coś przełyka. - Jak zjawia. Może powinnam była powiedzieć, że wzięłabym taki kontrakt, bo teraz to już koniec tej znajomości. Z kim ja będę chodzić na herbatę? Z Deeną? Będzie rozkładać każdą kanapeczkę na części w poszukiwaniu drobnoustrojów. Powinnam po prostu powiedzieć to, co Sylvie chciała usłyszeć.

- To ciekawe, że tak nie zrobiłaś.
 - Wiesz, czułam się taka... osaczona. Miałam wrażenie, że przyznanie jej racji to jak poddanie się. Jej wszystko się udaje. Wydzwaniają do niej wydawcy, jest o krok od podpisania szałowego kontraktu, ale ciągle jej mało. Mało, bo ja też muszę tego chcieć, jakbyśmy walczyły o miejsce w tej samej drużynie.
 - Piękne kobiety potrzebują aplauzu.
 - Wiem - westchnęła Lana. - Boże broń nas przed pięknymi kobietami, które są niepewne własnej wartości.
- Megan też jest piękną kobietą, ale wychowywała się z trzema braćmi, którzy rzeli jak konie na widok szminki, kazali jej stać na bramce, a raz gdy huścili ją wysoko nad ziemią, jeden z nich niechcący kopnął ją w brodę, a ona w ogóle nie płakała, gdy zakładano jej trzy szwy. Nie była niepewna swojej wartości. Właściwie była niezniszczalna, zawsze gotowa ratować Lanę z depresji.
- Opowiedz mi jeszcze raz o punkcie kulminacyjnym.
 - Powiedziała: „Gdyby ci zaproponowali, podpisałabyś kontrakt?”.
- Spytała o to dwa razy, na dwa różne sposoby. Wtedy ja powiedziałam zgodnie z prawdą, ale też nieco, no, przyznaję, uparcie, że nie, nigdy by mi nie zaproponowali, bo nie chcą tekstów w moim stylu. I wtedy ona rzuciła: „Ach, tak. Ale moje im się przydadzą”.
- Ajaj.
 - Zareagowała w mgnieniu oka, a mnie zatkało.
 - Nie cierpię, kiedy tak się dzieje.
 - A wtedy ona powiedziała to wszystko, co już ci mówiłam. No i teraz mam wyrzuty sumienia, że uparłam się przy takim drobiazgu. Ale, wiesz, wtedy ten drobiazg wydawał mi się taki ważny.
- Lana usłyszała, jak Megan zaciąga się. Megan rzuciła palenie, ale czasem popalała przy telefonie. Z niewiadomych

powodów ludzie myślą, że palenie przy telefonie się nie liczy.

- A co Sam na to?

- Uważa, że to typowo babskie współzawodnictwo z serii „mój wybór jest lepszy niż twój”. Plus chardonnay i histeria gotowa.

- To mi raczej wygląda na rozstaje waszych dróg Sylvie szybko się wspina, ale musi godzić się na kompromisy, a ty jej o tym przypominasz. To, że jesteś młodsza nie polepsza sytuacji. No i... ludzie, którzy łatwo osiągają sukces, nie ufają mu. Potrzebują więcej wsparcia, nie mniej.

- Jak te hollywoodzkie gwiazdeczki z całą swoją świtą. Gwiazda jednego wieczoru nie może być sama.

- Pewnie, sława nie ma własnej wagi. Jest pusta. Więc zaśmiecają pokoje hotelowe.

Obie się roześmiały.

- Tak bardzo starałam się być taktowna.

- Lana, za dużo taktu jest w złym guście.

- Ale nie jestem już tak zachwycona jej tekstami jak dawniej.

- I wiesz, że ona to czuje.

- A więc: czy ta przyjaźń jest do uratowania?

- Pytanie brzmi: czy warto ją ratować? Zrobiłaś już trzy kroki w jej stronę.

W naszym wieku większość nowych znajomości jest krótkoterminowa, po prostu przez chwilę idzie się tą samą drogą. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie byliście ze sobą zbyt blisko.

- Wiem, ale jestem chora, jak kogoś zawiodę. Ja nie zawodzę ludzi.

- Przecież piszesz czasem druzgocące recenzje. To musi być spory zawód dla kogoś, dla dużej ilości ktosiów.

- Tak, ale to nie jest takie osobiste. Oni pakują się na scenę po to, żeby ludzie ich osądzali.

- Myślę, że to znowu bajka o Lanie i Livii. Ona śpiewa, a ty słuchasz. Przyzwyczyłaś się do roli podtrzymującego na duchu. Jak to było w *Cyganie*? Co zawsze krzyczała matka?

- „Wyśpiewaj to, Louise”.

- Właśnie. Wyśpiewaj to, Lano. I idź na zakupy. A tak przy okazji, co chciałabyś na urodziny?

- A co ty byś chciała? Twoje są najpierw.

W grudniu obie skończą trzydzieści pięć lat, ale Megan urodziła się tydzień wcześniej, o czym Lana nie daje jej zapomnieć.

- Iiiiitam - mruknęła Megan. - To ja lecę. Mam tylko godzinę na robotę, a potem muszę odebrać Elspeth. I jeszcze sprzątanie, bo sąsiedzi zapowiedzieli się na siódmą. Na drinka. W tę i we w tę. Więc powiedz mi tylko szybko, czy poza tym wszystko okay?

Lana powiedziała, że tak, i odwiesiła słuchawkę. Była pierwsza, trochę za późno na zakupy, w sklepach będą tłumy. Rozejrzała się po mieszkaniu, które wyglądało, jakby na coś czekało. Nie cierpi, kiedy pokoje są nabrzmiąle ciszą.

Leżąc na łóżku, znów usłyszała samą siebie, jak mówi: „Ja nie zawodzę ludzi”. Brzmiało to dumnie. Ale Lana nie chciała, żeby tak brzmiało. Po prostu od zawsze wiedziała, że jest silniejsza od innych, nie potrzebowała tyle uwagi i troski. Trudno powiedzieć, dlaczego tak było, może to wrodzone. A może to miało coś wspólnego z tą przestrzenią między nią a bliźniakami, jakby miała dwie pary rodziców, dwa nieba nad głową, a cała zielona ziemia należała do niej. A może to było pierwsze rodzinne przykazanie: Nie będziesz dawał fałszywego świadectwa, powracające słowa sędziego Burtona: „Nie buduj niczego na kłamstwie”. Lana zauważyła, że ludzie, którzy potrzebowali dużo uwagi innych, często udawali kogoś, kim nie byli.

Nigdy nie zapomniała wyroku, jaki wydała na nią jedna z jej najlepszych przyjaciółek, gdy były nastolatkami. - Lana, ty jesteś ta rozsądna. - Wtedy to bolało. Chciała być delikatna, romantyczna i urocza. Jak kwiat, jak gwiazda, jak poemat. Nie. Była r-o-z-s-ą-d-n-a jak zasznurowane buty. A jednak wiedziała, że to coś innego, coś więcej niż tylko rozsądna. To był instynkt, empatia. Sprawdziła w słowniku „rozsądny” - „kierujący się rozsądkiem, zdolny do prawidłowego osądu rzeczywistości”. No tak, to brzmiało lepiej. Więc kiedy jej koleżanki kierowały się nerwami, strachem, zachciankami, ona ze swojego rozsądku uczyniła zasadę. Dorosła do spojrzenia i ciszy: spojrzenia, które poznawało jej przyjaciół takich, jakimi byli - z wszystkimi cnotami i słabościami - i ciszy, która oceniała ich słabości tak, że Lana wiedziała, jak delikatnie musi z nimi postępować. W ten sposób nigdy nie oczekiwała więcej, niż oni mogli dać. Uczyniła rozsądek rodzajem wszechwiedzy. Mąż Megan, Jack, przeczytawszy jedną z recenzji Lany, doskonale ją zrozumiał. - To jak wiwisekcja - powiedział - ale zrobiona piórkiem.

Megan miała rację. Lana i Sylvie były już na rozstaju wspólnej drogi. Lanę niemile zdziwiła jednak ta łatwość, z jaką się tam znalazły, niezauważalnie. No i to głupie uczucie, że ktoś już cię nie lubi.

Wstała i podeszła do dużego okna. Widok na wschód, zakryty nieco budynkiem obok, ale poza tym spory skrawek nieba, dachów i dwóch nowych drapaczy chmur na południu. O dziwo w nocy ten skrawek zapierał dech w piersiach, czarny i rozświetlony jak piosenka Franka Sinatry. I wszystko to znalazła dla niej Deena Pepper. Deena, która była jej przyjaciółką już od pierwszych tygodni Lany na Manhattanie, kiedy to Lana zdała sobie sprawę z tego, jakim szczęśliwym jest człowiekiem, skoro tylko połowa jej pensji idzie na czynsz.

- Jesteś moją drugą znajomą dziewczyną z Chicago - cieszyła się Deena. -
Czy znasz Iris Biddle? Ona była pierwsza. Mieszka na Dziewiętnastej,
taki artystyczny typ jak ty.

Deena chciała nawet, żeby się spotkały wszystkie razem, ale Lana
pomyślała: dość Chicago. Choć bardzo kochała swoje rodzinne miasto, to
jednak robiło się tam nieco ciasno, ten długi, wąski pas Alei Michigan, to
jezioro jak ocean skrzące się w słońcu po jednej stronie i jej chłopak
nalegający na małżeństwo, i to ich uczucie - równie ciasne.

Spotykali się nieco niemrawo przez prawie dwa lata. Był bankierem w
Northern Trust. Zgrabny, przystojny mężczyzna, który dobrze wygląda w
garniturze i wykonuje swoją pracę z seksownym namaszczeniem,
palcami muska kalkulator jak Van Cliburn klawisze fortepianu. Tak
naprawdę jego miłością była jednak kuchnia, gdzie krajał, siekał i mieszał
w olbrzymich garach i w kłębach pary. Śmiesznie jest patrzeć, jak ktoś
sieka. To uspokaja. Poza tym kochał restauracje, w których zgadywał,
jakie przyprawy są w zupie. Był takim perfekcjonistą w sprawach
jedzenia, jak Lana w sprawach sztuki. Dla niego niesławny kurczak curry
pozostał nienazwany, bo Peter nie umiał pojąć, jak łączy się ten słodki
wygląd z zabójczym smakiem, forma niezgodna z treścią.

- Smakuje zupełnie inaczej niż wszelkie curry, które kiedykolwiek
miałem w ustach - dziwił się tego wieczoru, gdy Megan przyrządziła to
dla nich czworga, tuż przed ich wyjazdem do Bostonu. - Nie mówię, że
nie jest dobry.

- Gapił się na kurczaka w transie. - Czy mogę zobaczyć przepis?

A kiedy Megan podała mu go, Peter przestudiował zapiski uważnie:

- Czy robisz coś, czego tu nie napisano?

Lana prawie się udusiła, próbując powstrzymać śmiech - kurczak był beznadziejny jak zawsze. Megan podniosła ręce bezradnie. Jack żuł w zamyśleniu. Peter starał się być uprzejmy, ale w taksówce, w drodze do domu, nie mógł przestać o tym mówić. - Ten kurczak. Powinno się go analizować w laboratoriach! - Nie mógł o tym zapomnieć przez całe dni. To był bardzo, bardzo miły chłopiec i w Chicago nie spotkała nigdy nikogo miłszego. Lana często przychodziła do niego po przedstawieniu, a on nakrywał stół do późnej kolacji, słodką i romantyczną. Podawał jej indyka lub kroiety z krewetek (miał bzika na punkcie krokietów) i rozmawiali, a ona jadła, oczarowana takim nocnym *tête-à-tête*, ujęta tą grą w dom; on tak dbający o nią... Mieli taką samą hierarchię wartości i otrzymali podobne wychowanie, co mogło mieć wielkie znaczenie po zbyt wielu randkach z palantami. Ale tak różne zainteresowania, co na początku zdawało się nawet nieco egzotyczne - zabawne samo w sobie - stawały wszystko pod znakiem zapytania, kiedy minął urok nowości. Peter wykazywał się ograniczoną tolerancją dla nikomu nieznanym małych teatrów, składanych krzeselek i przypalonej kawy w antraktach. Mógł co najwyżej pójść w sezonie do eleganckiej Orchestra Hall. Lana, choćby nie wiadomo jak próbowała, nie umiała się zainteresować problemami banku. Peter nie opowiadał o tym często, ale kiedy już mówił, działał wybitnie nasennie. Przecież rozmowy nie mogą wymagać aż tyle wysiłku, olśniło ją pewnego wieczoru w restauracji, gdy przy stoliku obok siedziała przystojna para w podeszłym wieku, podająca sobie solniczkę bez słowa, a Lana właśnie podejmowała rozpaczliwe próby zapobiegnięcia temu, by Peter i ona nie stali się młodszą wersją tych staruszków. Złapała się na tym, że wyciąga ich pierwsze chwile i zabawne wy-

darzenie („ten kurczak”), żeby poczuć jakąś bliskość, ożywienie. A potem, gdy on chciał się zaręczyć, ona chciała... cóż, ekscytowała ją ta wizja, czuła dotyk białej sukni, była już nieco nerwowa, trzydzieści lat i wciąż samotna, a on był w końcu... cóż, gdzie znajdzie lepszą partię? Przyglądała mu się uważnie: schludna koszula z krótkimi rękawami, i próbowała poczuć bicie serca, a nie tę przykrą odpowiedzialność, próbowała nie słyszeć tego irytującego głosiku („to nie to”), naprzykrzającego się refrenu („musisz z nim zerwać”). Cały ten związek był jak krokiet - za dużo mąki i mleka ubite na gładką piankę udającą coś, czym nigdy nie będzie.

Nie zwierzała się ani mamie, ani Livii, ani Megan, bo gdyby to zrobiła, oczekiwałyby, że coś zmieni, a ona nie była jeszcze na to gotowa. Miała w pamięci słowa Megan - zrobiły na niej wrażenie: „Czasem ludzie żenią się tylko dlatego, że nie umieją zerwać”. Po cichu w weekendy zaczęła studiować w „The New York Times” rubrykę o pracy w redakcji. Oczyma wyobraźni widziała już schludne małe biuro w Nowym Jorku, a w nim ona - szykuje niebieski ołówek, odziana w zgrabny, nowy, czarny kostium. Widziała też cudne małe mieszkanie w Upper West Side i siebie, jak maszeruje z notebookiem pod pachą po Broadwayu do Lincoln Center - nowy krytyk w mieście. Zostawała dłużej w pracy, wypisując listy motywacyjne, to skracając, to wydłużając swoje résumé, robiąc niezliczone kopie swoich artykułów powycinanych z gazet i wreszcie wysyłając je, jak wiadomości w butelkach, w głębi duszy przekonana, że to nie jest takie proste, że utkną po prostu na czyimś biurku.

Ale to było takie proste. - Lana, do mnie! - krzyknął jej szef ze swojego biura (tyran bywał w Chicago tylko jeden tydzień w miesiącu, zwykle w raczej dobrym nastroju, bo Chicago było o wiele milsze od Nowego Jorku, a biura

O wiele większe). Redaktor z Nowego Jorku wściekł się i zrezygnował (- Był od pieprzonej włoskiej opery! - ryczał szef Lany, który uwielbiał walkę). Potrzebowali tam kogoś natychmiast. Dubler miał wkroczyć na scenę, *Poranna chwala*, wielka szansa. Nie musiała rozmawiać z Peterem o miłości. Powiedziała tylko: - Jadę do Nowego Jorku.

Było nawet dobrze przyjechać do Nowego Jorku, mając za sobą zerwane narzeczeństwo (choć nigdy tak tego nie nazywała, bo nic nie było oficjalne). Dzielna kobieta z przeszłością. To dawało Lanie siłę do walki, przyjeżdżała z piersią dumnie wypiętą jak Statua Wolności z pochodnią, a w Nowym Jorku naprawdę potrzeba siły, bo to miasto jest pełne atrakcyjnych, błyskotliwych kobiet. Jak te dwudziestokilkuletnie asystentki, brązowiotkie od opalaczy i solarium, towarzyszki kariery, spod rzęs Lancôme wypatrujące pana odpowiedniego. Bez troskie dziewczyny, sezonowy, rytualny dodatek do wszystkich niekończących się przyjęć i koktajli na Manhattanie. Popijają wina pachnące dębowymi beczkami i najdroższe piwo z butelek, są błyszczące i głodne, a ich bezdenna niefrasobliwość może człowieka dobić.

A z drugiej strony były kobiety czterdziestoparoletnie, które nigdy nie wyjdą za mąż. Niegdyś piękności, cudowne dzieci swoich czasów, dziś zaprzędają się młodości, wodom, lekcjom tańca, litanii witamin od A do Z. Dawno temu przybyły do Nowego Jorku z rosą elfów migoczącą w oczach, ale dziś skończyła się już ich baśń i pozostawały koszty utrzymania. Już zmierzcha, ostatnia szansa na złapanie kogoś, zanim przekroczą pięćdziesiątkę, szara codzienność, nieodzownie kojarząca się z Eisenhauerem, gdy te kobiety były w przedszkolu. Tak więc muszą ciężko pracować na tę swoją niefrasobliwość w stylu Holly Go-lightly. Tak ciężko przerażone kosztem na odpadki. Były opowieściami z przestroga i niepokoiły Lanę.

Lana odkryła jednak, że przy bliższym poznaniu te kobiety często okazywały się zupełnie niebanalne pod zaszmykowanym uśmiechem. Deena Pepper to doskonały przykład. Jak dynamo, jedna z tych jasnoookich piękności, taaak śliczna, nigdy niewzburzona. Ale potem widzisz nagle, że Deena jest jak zarysowana płyta: wygląda dobrze, ale coś jest nie tak, czegoś brakuje, nikt właściwie nie wie czego. Nieustannie zmienia lekarzy, próbując nazwać problem po imieniu. Ostatnia teoria: jako dziecko upadła na głowę.

I kobiety pełne złości - te są wszędzie. Mały uśmieszek, ostre spojrzenie, jeśli je przypadkiem potrącisz, spoglądają spod oka obrażone i obraźliwe. Natychmiastowy ruch w ich krzesłach w teatrze, jeśli dotknie je rąbek czyjegoś płaszcza lub ktoś zaśmieje się zbyt głośno.

Czasami Lana myślała sobie - choć wiedziała, że to jest zupełnie wbrew wszelkiej poprawności politycznej - że kobiety naprawdę nie powinny być same po czterdziestce. Stawały się kłębkami nerwów. Lana tak nie skończy. Znała zasadę obowiązującą na Manhattanie, kobiety niezamężne po czterdziestce nie chcą wyjść za mąż - spotykają się tylko z facetami poza ich zasięgiem. Lana nie wiedziała, czy to prawda. Nic nie jest takie proste. Wiedziała tylko, że sama nie chce się znaleźć w takiej sytuacji.

Kiedy poznała Sama, nie mogła uwierzyć, że jest wolny. Spoglądając wstecz, dalej nie może w to uwierzyć. Spotkali się na przyjęciu promującym książki w jednym z tych rozległych mieszkań w Alei West End, które egzystują jakby w innym wymiarze, w świecie spizarek, lokajów, pokojówek i - jak w tym przypadku - bibliotek! Nie w stylu East Side, jaki Lana знаła z „Architectural Digest”. Nie pozłotka na pokaz, nie owoce wysiłków projektantów wnętrz, pieniędzy wyrzuconych na maskaradę. Ale intelektualna nirwana. Chodzisz pomiędzy półkami

i myślisz, gdzie są Trillingowie? Czy nie wejdzie tu zaraz Clement Greenberg? Niby wiesz, że po tobie i twojej kawalerce widać, że nie jesteś w posiadaniu, ale to nie ma znaczenia, bo jest całkiem możliwe, że pewnego dnia też będziesz posiadać. W każdym razie Lana była tam na czymś w rodzaju randki z Joshem, krytykiem filmowym, którego знаła jeszcze z Chicago, inteligentnym, ale tak niedojrzałym, że nie można go było traktować poważnie. Na przyjęciu było ciasno, trudno było się ruszyć. Kiedy Josh zniknął w poszukiwaniu łazienki, Lana wycofała się do kącika, żeby móc w spokoju sączyć znośne chardonnay i obserwować ludzi. Jej wzrok zatrzymał się na mężczyźnie stojącym przy jakiejś odległej półce. Rozmawiał z radosną blondynką - na oko zbyt radosną jak dla niego. Blondynka złapała drinki z mijającej ich tacy i wcisnęła mu w ręce przepełniony bursztynowy kieliszek. Jak kanarek fruujący wokół poczciwego, brązowego labradora (próbował właśnie upić odrobinę drinka bez wylania) chwyciła go nagle za przegub i jego drink chlusnął. Wyszła, pewnie po chusteczkę, a on skończył swoje maraschino cherry, wyjadł wisienkę z kieliszka i rozejrzał się bezradnie z szypułką w ręku, po czym wpakował ją sobie do kieszeni. Typowo po męsku, pomyślała Lana. Wróciła blondynka i odpłynęli razem. Lana zobaczyła jeszcze, że ma powykręcany przedziwnie krawat, jakby należał do tych mężczyzn, którzy zupełnie nie radzą sobie z takimi rzeczami. Dlaczego tak trudno jest spotkać faceta, którego chcesz spotkać?

Josh odnalazł Lanę pół godziny później, gdy wcisnęli się do windy z grupką ludzi; wśród nich facet od wisienki i jego dziewczyna. Gdy zjeżdżali, zapadła cisza, bo było zbyt ciasno, żeby rozmawiać. Przez gąszcz ramion zobaczyła, że ma szaroniebieskie oczy. Kiedy otworzyły się drzwi, a on próbował przepuścić kobiety, Lana szepnęła

„dziękuję”, a jego spojrzenie sprawiło, że serce zabiło jej trochę za mocno. Josh, który przepchał się do przodu, czekał. Pięknie - pomyślała - jestem tu z facetem bez żadnych manier.

I to byłby koniec, jeszcze jeden okręt mijający ją w nocy i nigdy by się nie dowiedziała, że to Sam. Ale tydzień później w Coliseum Books na Pięćdziesiątej Siódmej, gdzie przeglądała ostatnie żurnale krytyczne - „The New Criterion”, „The New Republic”, „The New Leader” - wszedł nie kto inny tylko...! Twarz rozpromieniona uśmiechem, co też było dla niej nowe. Nie uśmiechał się na przyjęciu.

- Dziewczę z windy! Lana była ugotowana.

- Jak się masz? - przywitała go, wariacko kombinując, co powiedzieć. - Dobrze się bawiłeś na przyjęciu?

- Miło jest zobaczyć czasem takie mieszkanie. Ostatnio większość uroczystości promujących książki odbywa się w bardzo dziwnych miejscach, no wiesz, w przestrzeniach alternatywnych. Żeby pokazać, jak trendy jest książka. A tu miało się wrażenie...

- Jakby zaraz mieli wejść Trillingowie!

- Tak - przytaknął. - Tak przytulnie, Nowy Jork w latach pięćdziesiątych. Był absolutnie przystojny. Niebieskie oczy patrzyły surowo, ale uśmiech miał łagodny i ta niezgodność na twarzy pasowała do niego. Lana czuła, że - choć jest w głębi duszy nieśmiały - stara się być otwarty.

- Ależ ciebie wtedy jeszcze nie było na świecie - roześmiała się z rozkoszą.

Znów ten jego uśmiech. Zaczęli wtedy już naprawdę rozmawiać - wymienili swoje imiona, zawody i każde wykonało kilka niebezpiecznych fikołków i tym podobnych - i zdaje się, że od tamtego czasu nie umilkli. Ich pierwsza

randka pięć dni później składała się z posiłku, filmu, cappuccino i dwudziestu pięciu wspólnie miniętych przecznicy, gdy odprowadzał ją do domu (pierwszy pocałunek przy dziesiątej przecznicy, a przy jej drzwiach pocałunek typu Casablanca). W głębi duszy Lana wiedziała już na przyjęciu, że są połówkami tej samej całości.

Słońce schowało się za chmurami. Niebo za oknem stało się ponure. W środku jej ściany białe jak kreda, znak rozpoznawczy wynajmowanych mieszkań. Już od trzech lat zabierała się do pomalowania pokoju, ale z pracą, z dodatkowymi zleceniami, z przedstawieniami, z Samem - nie było czasu nawet na wybranie koloru, o malowaniu nie wspominając. A zresztą prawie jej tam nie było w ciągu dnia, więc nie знаła nudy tego mieszkania w dziennym świetle, nudy miejsca zostawionego na zbyt długą chwilę. W nocy ściany stawały się kremowe.

W sobotę po południu Lana była zwykle poza domem. Tego dnia zawsze zostawała na noc u Sama, a popołudnie było preludium do randki.

Uwielbiała wbiegać do Saksa i przetrząsać kosze z przeceną w poszukiwaniu czegoś nowego na te noce, żeby Sam nie widział jej ciągle w tych samych, starych ciuchach. Czasami leciała jeszcze do muzeum, zwykle na ostatni dzień wystawy w MoMA albo do Met, gdzie razem z tysięcznym tłumem zastanawiała się, dlaczego do cholery nie przyszła wcześniej. I były jeszcze zawsze dzienne przedstawienia - teatr czy balet - choć Lana lubiła je już coraz mniej. Sprawiały, że czuła się stara, poza nurtem życia, wszystkie te dźwięki zatrzaskiwanych portmonetek i wyperfumowane matrony. Z kolei Sam był najzupełniej szczęśliwy na przedstawieniach i filmach w dzień, jak misiek kawaler, który znalazł sobie wygodną jaskinię.

Ponuro na zewnątrz, ponuro w środku. Mogłabym skoczyć do pralni chemicznej, a potem pobuszować po Pięć-

dziesiątej Siódmej, myślała, umoszczona na swojej pomarańczowej sofie, jakby chciała tam zapuścić korzenie. Najchętniej zadzwoniłaby do Sama, ale nie robiła tego nigdy w sobotnie popołudnia. To była swego rodzaju zasada, którą sama sobie narzuciła. Żeby utrzymać swój image kobiety niezależnej. Żeby być pociągającą i świeżutką na sobotni wieczór, a nie starą nudziarą, z którą dopiero co skończył rozmawiać przez telefon. Mogłabym pójść do sklepu i kupić nową zatyczkę do zlewu, myślała bez pośpiechu. Gdy się siedzi samemu w sobotę po południu, człowiek naprawdę czuje się samotny. A niedługo skończy trzydzieści pięć lat. W ankietach nie będzie już więcej w przedziale 25-34. Będzie 35-44. A czy trzydzieści pięć lat to nie jest już wiek amniocen-tezy? I mammografii? Och! Sam - myślała - dlaczego jesteś taki powolny? To był jeden z powodów, dla których Sam był tak długo wolny. Miał swoje obyczaje i czuł się z nimi dobrze. Był typem samotnika, mołem książkowym i zapalonym fotografem amatorem. Był też bardzo dobrym prawnikiem specjalizującym się w sprawach naruszeń praw autorskich, ale też jednym z tych wziętych prawników, którzy najchętniej zajęliby się czymś zgoła innym, w jego przypadku bawieniem się aparatem fotograficznym. I miał swoje małe królestwo na Dwudziestej Wschodniej, zapchana książkami kawalerka z kotem Spiffy. Lana nie wątpiła, że Sam ją kocha. Wierzyła też, że nie chce jej stracić - mówił jej to czasem, szeptał do ucha, gdy zasypiała. Ale wiedziała też, że jego samotnicze nawyki były grubym, zimowym płaszczem, który chronił od chłodu i bólu. Był jak Rochester Jane Eyre - wrażliwy, ale ukrywający to pod szorstkością. Historia z jego poprzednią dziewczyną, o tyle, o ile Lanie udało się ją z niego wydobyć, polegała na tym, że

spróbowali zbyt wcześnie, on zaczął się bronić i rozeszli się, uznając że Sam nadaje się tylko na wiecznego kawalera. Lana, jak sama uważała, była absolutnie zdyscyplinowana w swoim postępowaniu z Samem. Jej umiejętność niewymagania zbyt wiele, jej cierpliwość (nigdy, przenigdy nie wypowiedziała przy nim słowa na „ś”) czyniły Sama szczęśliwym i spokojnym. Ale teraz może stawał się już zbyt spokojny o wszystko. Lanie wydało się, że zbliżają się do rozstajów dróg.

Spotykamy się już półtora roku, liczyła. W maju będą dwa lata. To ostateczny termin. Nie ślub - to by go zabiło. Tylko następny krok, następny bardzo duży krok: zamieszkanie razem. To sprawi, że Sam zobaczy, że daje radę. Tak: albo wprowadzamy się, albo odprowadzamy już na zawsze.

Lana przeszłuchała zestaw kaset do nauki negocjacji, drogi gadżet, który krążył po biurze. Miały pomóc pracownikom w skuteczniejszym rozmawianiu z trudnymi klientami, ale Lana słuchała, myśląc o innym zastosowaniu. Istniały pewne odwieczne reguły gry. Celem było zwycięstwo, etyką - olśniewający, zdrowy rozsądek. Lana uwielbiała nieubłagany refren dudniący przez całe nagranie jak głos sumienia: nie wygrasz negocjacji, jeśli nie jesteś gotowy - w języku tych taśm - odejść od stołu.

Wprowadzamy się albo odprowadzamy. Lana nie chciała stawiać Samowi ultimatum, ale nie chciała też mieć związanych rąk, czekać jak Penelopa na Odysa. Sam musi podjąć decyzję i im mniejsze pole wahania, tym lepiej - dla nich obojga. Jak mówią nagrania, żeby wygrać wszystko, musisz być gotowy przegrać wszystko. Sam był dla niej wszystkim, ale jeśli nie jest zdolny się zaangażować... lepiej znać prawdę jak najwcześniej.

Ale jeśli powie „nie”?

Na samą myśl o życiu bez Sama Lana poczuła się rozdarta, pokój zakołysał się. Wyobraziła sobie siebie: znów samotną, w wieku trzydziestu pięciu lat, w jednej łodzi z innymi niezamężnymi kobietami, zaczynającą od początku z tymi starszymi paniami, które miały w sobie tyle goryczy. I wszystkie te miejskie chodniki prowadzące donikąd (albo do neurozy), sobotnie popołudnia - preludium do niczego, niedzielne, samotne poranki z preclami, i oczywiście kolejna śmierć - kiedy zobaczy go z inną. Lana pozwoliła sobie na uczucie zagubienia.

Jednak nie może się bać. Teraz nie była jeszcze gotowa, ale musi zacząć przygotowywać się, uzbroić, poćwiczyć swoją reakcję na jego „nie”, przyzwyczać się do tej myśli, że będzie bolało. Nauczyć się trzymać rękę nad płomieniem świecy. To będzie jak balet snu - będzie odgrywać wszystko w głowie, aż nauczy się każdego wyskoku i każdej pauzy. Jej uczucia na linie, a ona uśmiechnie się nad złamanym sercem, powie, że jest jej niezmiernie przykro, że nie mogą dłużej być razem, odwróci się i nie spojrzy za siebie - pełna prostoty duma jej pożegnania. W najbliższych miesiącach odegrają tę scenę naprawdę. Kiedy Lana będzie gotowa zaryzykować wszystko. Przecież Sam nie pozwoli jej odejść, prawda?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miejsce stojące

Iris wcale nie prosiła o to zadanie. Byłaby absolutnie szczęśliwa, kończąc kolejny abażur i zaczynając następny, jej kolejna jedwabna piękność, która dołączy do innych płamionych i odkurzanych piórkowymi miotełkami przez wielkie damy z Alei Parkowej i dandysów z Pasażu Ams-tera. Bywało, że lista chętnych na jej ręczną robotę rozciągała się na sześć miesięcy: mogła wykonać tylko jeden abażur tygodniowo (te od kinkietu szły szybciej), no i limit czterech na klienta w roku (lub osiem abażurów kinkietowych). Co robiła więc tu, w tej kolejce?

Jak zwykle pomagała Deenie w realizacji jednego z jej szalonych pomysłów. Tyle że ten nie był taki zupełnie szalony. I nie całkiem należał do Deeny. Jedną z jej nowych koleżanek, młoda kobieta, której Deena znalazła mieszkanie na Dwudziestej Szóstej Ulicy w dzielnicy kwiatów, zakładała magazyn „Petunia” - sztuka, kultura, moda, muzyka, czyli to, co zwykle. Żeby zrobić wrażenie swoimi nowymi stronami o modzie, dziewczę to postanowiło poprosić trzy „kobiety artystyczne” o ocenę kilku pokazów w czasie Tygodnia Mody. I tu krył się kruczek.

- Właściwie to był mój pomysł - twierdziła Deena przez telefon. - Ale w pewnym momencie stał się jej pomysłem.

Zresztą mniejsza z tym. W każdym razie i tak wychodzi na moje, bo w końcu użyje moich przyjaciół, nie?

Nazwisko Iris Biddle było jednym z tych, które wyskoczyły z notatnika Deeny (- Nigdy o tobie nie słyszała - dziwiła się Deena. - Ale zapewniłam ją, że ci, co się znają, znają i ciebie). Czy Iris - pytała dziewczyna od „Petunii” - ta enigmatyczna Iris, wsławiona elitarnymi abażurami poszłaby na kilka pokazów w Bryant Park i wydała swój werdykt?

Właściwie czemu nie. Iris czuła się ostatnio nieco klau-strofobicznie.

Nikt nie wie, ile to kłopotu wykonać abażur bez zarzutu - jak wiele jest malutkich potknięć, które mogą zrujnować cały dzień pracy i kawał drogiego jedwabiu. Nikt nie wie, jak stresujące są te wielkie zlecenia, jakiej koncentracji i jakiego wysiłku wymaga układanie materiału tak, by uzyskać odpowiednią konstrukcję. Rano Iris włączała muzykę - Mozarta, bo jest wspaniały; Bacha, bo narzuca dobre tempo - inspirowała ją i pomagała jej zacząć. Ale najbardziej lubiła pracować popołudniami w ciszy, gdy słońce wkradało się przez rolety. Rozkładała jedwab na ramie o kształcie krzyża, przypinała go pineskami i zaczynała przepinanie, rozciągając jedwab coraz mocniej, wpierw po liniach +, potem na zewnątrz x, potem jeszcze raz, coraz mocniej, i jeszcze. Tkanina poddawała się do czasu, gdy mogła, promieniująca od środka, jakby w takt swojej własnej muzyki - „piękno napiętego łuku” - aż można było na jedwabiu odbić dziesięciocentówkę. Iris nie nanosiła swojego nazwiska na sam abażur. Lubiała widzieć jego kształt, lubiła czyste powierzchnie tkaniny i światło, które nie musi się przedzierać przez niezliczone zakładki. Jej najbardziej niesamowity abażur - fantazyjna chińszczyzna dla nadzianego finansisty z Paryża, misterna pagoda z jedwabiu koloru ostryg, z ciemnozieloną tasiemką i turkusowymi chwościkami (trzy tygodnie pracy, czek

na cztery tysiące dolarów) - nawet ten był tylko zwiniętą, wijącą się ciszą. Pod koniec dobrze przepracowanego dnia Iris czuła się, jakby wylazła z króliczej nory. Pod koniec tygodnia szaleńczo tęskniła za rozmową. Więc tak, powiedziała dziewczynie od „Petunii”, z przyjemnością pójdzie na kilka pokazów, ale może poświęcić na to tylko dwa dni.

Widziała siebie, jak wkracza do salonu, czy raczej namiotu - oto gdzie dziś wystawiają projektanci, w wielkich, cyrkowych namiotach na Czterdziestej Drugiej Ulicy - z nową króciutką fryzurką. A może zrobi sobie fale a la Marcel; zawsze miała na to ochotę, pasowałyby do niej. Wkroczy z ładną fryzurą i wdzięczną postawą - wszyscy będą zachodzić w głowę: „Kto to?” - i zajmie swoje miejsce w pierwszym rzędzie. No, może nie w pierwszym, bo Iris wiedziała wystarczająco dużo, żeby zdawać sobie sprawę, że ten jest zarezerwowany dla guru mody i największych sław. Więc może w trzecim rzędzie.

Ale nikt, ani Deena, ani dziewczyna od „Petunii”, nie przygotował jej na taki koszmar: na głodne oczy walczących o wejście dwudziestokilkulatek (ciemnobrązowy lakier na paznokciach), gotowych wepchnąć się za wszelką cenę. Ani na zuchwałe spojrzenia ich bardziej wymuskanych rówieśniczek, których gustowne posadki pozwalały im wpłynąć do środka. Ani na królewski szyk i firmowe fryzury kobiet po czterdziestce, które bywały tu już od dziesięcioleci i wkraczały otoczone swoją świtą, swoimi dziewczętami - królowe pszczoł obsługiwane przez własne klony na szpilkach Gucciego.

I nikt nie uprzedził Iris, że - by zdobyć miejsce - trzeba będzie podjąć walkę, próbując jednocześnie nie wpaść w pułapkę kabli wijących się na podłodze, wspinając się w obcasach na widownię hali sportowej.

Dziewczyny ze słuchawkami na uszach rzucały okiem na zaproszenie Iris

i bez słowa wskazywały w górę. Za każdym razem był to prawdziwy Everest, ósmy rząd - ostatni - na każdym pokazie. Tam u góry, razem z niechcianymi, myślała. Więc tu siedzą dziennikarze. Iris nigdy nie widziała tak wielu końskich ogonów niedbale spiętych gumkami, tylu ubrań nie do pary, powygniatanych i ukazujących zgrubienia ciała i czarne paski od staników. Kupujący, którzy siedzieli po drugiej stronie wybiegu, odziani w Armaniego i Bial-la Blassa, byli zdecydowanie mniej dzicy, bardziej wykwintni, po prostu w stylu Iris.

Na pierwszym pokazie wyglądało na to, że projektant stworzył kompozycje dla bogatych hippie, choć Iris nie była pewna, czy można tu w ogóle użyć słowa „kompozycje”, skoro nic właściwie do siebie nie pasowało. Jak Woodstock w Disneylandzie - kolory Petera Maksa, obcisłe biodrówki pełne frędzelków, sznureczki i odsłonięte pępki. Szyk przyjęcia-zrzuty, myślała Iris. Ale dla kogo?

Gdybyż tylko projektanci cofnęli się o jedno dziesięciolecie, do Diora i Balenciagi. Iris nigdy nie nosiła ich ubrań - była na to zbyt młoda - ale oglądała ich prace w książkach i chętnie identyfikowała się z ówczesnym poczuciem poprawności. I poprawiania. Ciała nie są idealne i nie można im ufać, id i tak dalej. Francuscy mistrzowie igły nie byli zainteresowani ani grą w ciuciubabkę, ani pępkami. Wszywali cię w świat porządku i aspiracji. Czynie cię hermetycznym i pełnym. Ale jednocześnie, paradoksalnie, gotowym do lotu, dumnie wyprostowanym.

„Zaprzeczenie w każdym ruchu. Niekończąca się praca ludzkiego serca”. Iris uwielbiała to zdanie z Delmore'a Schwartza, ze swoich dni czytania poezji, z czasów prawdy i piękna, gdy była dwudziestolatką. Niezupełnie je wtedy rozumiała, ale teraz była pewna, że już je rozumie. Smutek zmieszany

ze szczęściem. Było jakieś wyszukanie w tej rozpaczy. Uczucie, którego nie mogła nie łączyć ze swoimi abażurami, które zdawały się oddawać jej swoje kości, stalowe ramy w zamian za duszę, lunę światła. Każdy abażur był innym życiem, kawałeczkiem przeszłości. Rittenhouse Square około 1910. Przedwojenny Londyn. Paryski salon Nancy Mitford. Gdy dostojna Sister Parish II, ostatnia wielka nauczycielka projektantów w Nowym Jorku, po raz pierwszy zobaczyła prace Iris, zawyrokowała: - Jesteś ponad miarę poetyczna, ale jednocześnie absolutnie poprawna. To napięcie to twoja siła. Nie strać jej.

- Moja siła - westchnęła Iris, stojąc w ślamazarnej kolejce daleko od wejścia na pokaz Calvina Kleina.

- Przykro mi - powiedziała młoda, ubrana na czarno kobieta za stołem udrapowanym bielą, kiedy Iris poprosiła o swoje miejsce. - Nie ma pani na liście, ale jeśli stanie pani w tej kolejce, ma pani szansę na miejsce stojące.

Mam stać? - Iris zajrzała w płytkie wody niebieskich oczu pod nią i przez moment miała ochotę powiedzieć: Ależ ja jestem tu dla „Petunii”; ale potem pomyślała: Kogo obchodzi „Petunia”? Czy ktoś w ogóle słyszał o jakiejś „Petunii”?

- Miejsce stojące? - powtórzyła.

- Tutaj, proszę. - Wskazała dziewczyna, a jej współczucie blakło w oczach i już zwracała się w stronę następnej ofiary.

„Tutaj” było właśnie tu, gdzie teraz znajdowała się Iris, wśród wyklętych, czekających na pociąg donikąd. Iris czuła się rozdarta między poczuciem obowiązku - obiecała, że pójdzie na ten pokaz - a poczuciem własnej wartości: ja nie mam zwyczaju stać. Ma czterdzieści lat, na litość boską. Mogła stać, gdy miała dwadzieścia parę lat w Met, Covent Garden, w wiedeńskiej Staatsoper. Stanęłaby prawie wszędzie dla dyrygenta Carlo Maria Giulini, dla jego

surowego profilu na okładkach albumu i dla jego majestatycznych symfonii Brahmsa. Ale dla Calvina Kleina, producenta bielizny? Miejsce stojące, kontemplowała Iris. To było coś zgoła innego niż łoża państwa Biddle w Philadelphia Orchestra czy stół państwa Biddle na corocznym Balu Myśliwych. Żadne z nich nie miało już teraz oczywiście znaczenia - kwadratowa łoża, okrągły stół - ale nie da się ukryć, że wtedy było to bardzo ekscytujące: czuć, że jest tam dla ciebie miejsce, czy tego chcesz, czy nie. Zresztą - było, minęło. To mąż Iris był tym Biddle'em z doktoratem z neurofarmakologii, który całkowicie porzucił naukę, sprzeciwił się polityce wyrośniętych chłopców z departamentu zdrowia i wymienił pokładane w nim zaufanie na mrzonki w Tanzanii. Genialny Erich Biddle, zakochany w logice, umiał znaleźć niezbitnie słuszne powody, by nie działać, nie zostawać, nie kochać - mężczyzna, który powiedział kiedyś, że nie pozwoli jej odejść.

Do tłumy kłębiącego się za nylonową wstęgą Iris dołączyła z taką godnością, jaką tylko zdołała z siebie wykrzesać. Gdy mijała te nieszczęśliwe twarze w swojej pielgrzymce na koniec niekończącej się kolejki (no, przynajmniej zdawała się niekończąca, choć stało w niej dopiero osiem osób), starała się wznieść ponad to. Dlaczego właściwie miałyby się przejmować stanem w kolejce? To nie był jej świat. Nie zasłużyła sobie na miejsce w tej hierarchii. A jednak udusi Deenę gołymi rękami.

Pewne pocieszenie stanowił fakt, że wyglądała dobrze, zgrabnie i elegancko w swojej leżącej się marynarce No-rella w kolorze dojrzałych winogron, z wywiniętym kołnierzem, w długiej, prostej spódnicy, w pantoflach Chanel i z błyszczącą czarną torebką z krokodylej skóry. Niezupełnie w modzie, raczej, jak miała nadzieję, poza

nią. Koleżanki były zawsze zachwycone jej sposobem ubierania, nieznaczne zmiany normy, które sprawiały, że się wyróżniała („i na jej kieszeń” - dodawały pewnie już między sobą). Ale może wyróżnianie się w kolejce po miejsca stojące nie było najlepszym pomysłem. Bo kiedy rozpoczął się przelot królowych pszczół, z ich opiekuńczą i miłutką świtą, Iris poczuła na sobie ciekawskie spojrzenia. Nie była dzieckiem znikąd próbującym wepchnąć się do środka z miłości do mody ani *fashion queen*, która chce założyć własny biuletyn. Iris była bez wątpienia kimś. „Ale kim?” - myślały te szybkie spojrzenia przez chwilę, zanim wyrzuciły ją z pamięci. Gdyby była Kimś, nie stałaby.

To nie jest wcale zabawne, myślała Iris, gdy mijające ją kobiety rządzące światem ilustrowanych magazynów spóźniały się bezpardonowo. Oto ta mała, pajakopodobna kreatura z „Vogue” kuli swoje kościste ramiona jakby przed starożytnymi wiatrami, włosy jak u Sfinksa i okulary przeciwsłoneczne w tym ciemnym namiocie, jakby błagała o żarówkę. Iris najchętniej wetknęłaby jej jedną w usta.

A teraz jedna ze strażniczek świętego ognia Diany Vree-land. Ta zczesesała czarne włosy gładko do tyłu i włożyła coś w rodzaju kimona z czesanej wełny, które tworzyło wokół niej zamkniętą, okrągłą przestrzeń. Lepiej by było, żeby nie wkładała tego, myślała Iris, bo wygląda jak czarownica z Makbeta.

- To redaktorka magazynu „Q + A” - szepnął *fashion queen* stojący obok Iris i kiwnął w stronę krępej dziewczyny toczącej się obok nich.

Roześmiał się. - Czy nie wie, że minął już czas grunge'u?

W swoich wielki okularach pilota, zamszowych butach Hush Puppies i nastroszonym moherowym swetrze z lat pięćdziesiątych wyglądała jak wojownicza studentka, któ-

rej wszyscy unikają w świetlicy akademika. Tyle że teraz była osobą wpływową.

- Jest jak Lucy i Pig-Pen - wyszeptała Iris w odpowiedzi. - Dwa w jednym.

Dość tego, pomyślała jednocześnie. Jeśli coś się nie stanie w ciągu pięciu minut, wychodzę. I wtedy zobaczyła, że jest już za późno: największy koszmar jej życia był około dwudziestu jardów od niej.

Iris i Victoria Pines właściwie nie były wrogami. Nie, były tylko współlokatorkami w akademiku, które nie pokochały się od pierwszego wejrzenia. Victoria od razu zabrała się do swojej kariery - radio, telewizja, film - i zaczynając od praktyki po studiach, uczyła się tego jak cennych trufli (w skeczach o Kubusiu Puchatku odgrywanych pośpiesznie w akademiku Vicki realizowała się w roli Prosiaczka trzy lata z rzędu, nie przestając chichotać). Iris skupiła się na angielskiej literaturze na tle wzornictwa użytkowego, napisała wyróżniającą się magisterkę o żyrandolach i skończyła studia jako bezrobotna.

Victoria rozpoczęła swoją wspinaczkę po drabinie prezenterskiej, przeskakując z posadki w Pittsburghu do krajowego kanału o zwierzętach w New England, gdzie zyskała sławę, relacjonując ratowanie zwierzątek domowych, walki

o środowisko naturalne, tragedie zwierząt hodowlanych i dotyczącą ich politykę. W tym czasie Iris zaczynała jako młodsza specjalistka w domu aukcyjnym Christie's, spotykała się z uroczym, starszym panem, który miał urocze, stare obrazy olejne, przedzierała się przez późnego Tolstoja i wczesną Edith Wharton, po czym wyszła za mąż za zuchwałego, odpowiedniego do zamążpójścia, a nawet wywołującego zazdrość jej koleżanek Ericha (ich flirt zaczął się nad starym mikroskopem, dzięki któremu on miał nadzieję się wybić) i wpadła do bocznej kieszonki, czyli do Filadelfii.

Victoria przeprowadziła się do Nowego Jorku i wyszła za tłuściutkiego i bogatego brokera z Wall Street. Iris wróciła do Nowego Jorku - rozwiedziona - by zobaczyć najnowszą przemianę Victorii: teraz była najbardziej znaną prezenterką zajmującą się sztuką w mieście. Sztuką! I tym zajmuje się dziewczę, które wyśmiewało jej lekcje o Nietzschem, rechocząc coś o wielkich widokach na zatrudnienie w drzeworytnictwie japońskim (Ni-Che?). Vicki nie miała pojęcia o tworzeniu, ale była na tyle bezczelna, że umiała zadać każde pytanie bez zmrużenia oka. Spytała Barysznikowa, czyjego perfumy pachną nim „przed” występem czy „po”. Jessye Norman zaś, gdy zbliżała się już do opery - czy naprawdę trzeba mieć takie wielkie gabaryty, żeby mieć wielki głos? Okazało się, że Victoria ma dużą oglądalność wśród antagonistów sztuki lat dziewięćdziesiątych, wśród tej części populacji, która wiedziała, że sztuka jest ważna, ale nie cierpiała wyjątkowej pozycji artystów i lubiła, gdy ktoś ich sprowadzał na ziemię, ściągał z piedestału. Iris nie mogła znieść widoku Vicki i zaczęła się właśnie zastanawiać, czemu przedtem nie przyszło jej do głowy, że ich ścieżki mogą się tu spotkać. Ale postanowiła teraz nie odwracać twarzy ani tym bardziej nie chować się za innych stojących. Pogodziła się z losem - kolejna oznaka jej staroświeckości. Wytrzymała spojrzenie Vicki i uczuła potężną siłę jej błyskawicznej decyzji, by się zbliżyć. Wokół niej krążyli faceci z aparatami, przyczepieni czarnymi kręgami kabli jak jakiś system podtrzymujący życie. Vicki zatrzymała się z pięć stóp od Iris, pochyliła się, ułożyła dłoń nad oczami jak skaut zagląający do ciemnej jaskini i zapiszczała:

- I-ris?

O ironio losu, westchnęła w duchu Iris, wiedząc, że musi się teraz uśmiechnąć i odpowiedzieć (jako współloka

torka z akademika powinna właściwie rzucić się Vicki w ramiona).

- Vicki? - zdziwiła się, jakby wcale nie stała w tej okropnej kolejce, ale wyłoniła się właśnie z różanego ogrodu.

Vicki krok do przodu, przejmuje pałeczkę:

- Co ty tu robisz, u Calvina? - Obejrzała Iris od stóp do głów. - Swoją drogą wyglądasz cudownie. Ale żadna moja współlokatorka nie będzie stać w takiej kolejce. Dają ten pokaz dla mnie, więc chodź.

Iris pokręciła głową:

- Wchodź, wchodź - odpowiedziała, po czym ściszyła głos do szeptu. - Nie mogę tych ludzi teraz tak zostawić. Czekaliśmy tu razem i to nie byłoby fair.

I naprawdę to nie byłoby w porządku, stali tu już zbyt długo. Facet obok spojrzał na nią, jakby postradała zmysły.

- Iris? Z jakiej ty jesteś planety? To nie chodzi o to, czy to fair. Tu chodzi o wejście do środka. Ale jeśli nie chcesz, rób, co ci się żywnie podoba. A przy okazji - pogroziła jej odchodząc, jej faceci ciągnęli jak stado psów - zaczęłabyś łaskawie przychodzić na nasze spotkania. Następne jest u Amy i każe jej zadzwonić do ciebie.

To mówiąc, Vicki pośpieszyła za swoim towarzystwem do namiotu, a Iris i reszta stojących patrzyła, jak znikają, gdy cukierkowy głos fanki Calvina poinformował ich z fałszywą uprzejmością, że niestety nie ma już miejsc stojących (nie ma? a kto je zajął? nikt z nich nie opuścił kolejki!), ale są zaproszeni do śledzenia pokazu na monitorze w korytarzu.

Oglądać telewizję? W prowizorycznym korytarzu?

Tego już było za wiele. Gdy dziewczę Calvina próbowało poradzić sobie jakoś z pytaniami wścieklej, nieruchomej kolejki, Iris odwróciła się na pięcie i trzymając głowę jak najwyżej, wyszła, ślubując w duchu zemstę

Calvinowi Kleinowi, minimalistycznemu gaciorobowi. I dla takiego czegoś, myślała, przerwałam pracę nad abażurem Kravisa, przypiętym i czekającym tylko na umocowanie. A teraz była już godzina szczytu na Grand Central Station, czyli bitwa o każdą taksówkę. Będzie musiała jechać autobusem, który ledwo się toczy po Lex. W nieskończoność. Jeden z tych dni, które ciągną się w nieskończoność z nieskończonymi porażkami. Oto, jakie są skutki wychodzenia z domu...

To była śmieszna myśl: nie wychodzić z domu. Wiedziała, że jeszcze będzie o tym opowiadać ze śmiechem, o tej smutnej kolejce, tych przepychalskich dziewczynach. Każdemu zdarzają się takie dni. Ale tak strasznie chciała już być w domu. W swoim salonie z drzewami zaglądającymi w okna będzie jej dobrze, będzie wolna, zdejmie buty, weźmie kąpiel. Zrobi sobie duże, lodowate martini. W końcu jest piątek. Martini to Atlantyk, letnie przyjęcia, smakołyki w środku nocy. To gwiazdy wylaniające się na nocnym niebie, inne życie. „Hipotermia w szkle” - mówił o martini jej mąż wesoło, kiedyś, na początku. Lubiła to uczucie, racjonowała je sobie, błękitny mróz w małych łyżkach. Pamiętanie, zapominanie. Jasność, bezwładność.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Miejsce siedzące

Lana miała C-2. Świetne miejsce, w środku, pierwszy rząd na balkonie. Nigdy nie siedziała jeszcze w pierwszym rzędzie, w tej niskiej, przestrzennej części balkonu. Nic nie mogła poradzić na uczucie radości. Była teraz krytykiem - krytykiem tańca. Niezupełnie tak to sobie wyobrażała, ale przecież nigdy nie wiadomo, co życie trzyma dla ciebie w zanadrzu. Lana miała recenzować dla legendarnego - no, przynajmniej niegdyś legendarnego, dziś trochę na uboczu - kwartalnika akademickiego. Chcieli cztery eseje na rok. Nie: jest-dobrze/jest-źle, nie: płaka-łam/śmiałam-się, tylko teksty z pomysłami.

- Ale co jeśli nie przyjdą mi do głowy żadne pomysły? - rozpaczła Lana, gdy przekazywała Samowi dobre wieści.

- Przyjdą, zobaczysz - odpowiedział jej. Na następnej randce podarował jej czerwone pióro Watermana, by uczcić jej nowy status. Napis na piórze mówił: „Pokaż im, co potrafisz - kochający Sam”.

Ale gdzie jest Dwight Davis? Wcześniej tego dnia zsynchronizowali swoje zegarki, planując spotkanie tu, w holu. Lana znalazła sobie punkt obserwacyjny na szczycie schodów, z tej strony, gdzie był Jasper Johns, wielka szara tablica z numerami od 0 do 9. Stąd śledziła napływ nerek i futer w igielkę, powiewających szali i gości rzucających

się sobie na powitanie w objęcia. Zastanawiała się, kto będzie siedział obok niej, na C-4. Renomowani krytycy, ci związani z radykalnymi dziennikami albo kolorowymi tygodnikami mieli zawsze kogoś do towarzystwa. Nigdy nie zastanawiali się, kto siądzie obok nich.

C'est la vie, pomyślała Lana. Takie miejsce to i tak więcej, niż mogła marzyć. Krytycy tańca w Nowym Jorku byli najlepsi na całym świecie, a ona nagle znalazła się wśród nich. Przeróżające, jeśli się o tym pomyśli. Więc gdzie jest Dwight? Gdyby nie on, nie byłoby jej tu. Upierał się i upierał, żeby zaczęła pisać o tańcu. Mówił: - Tańczyłaś w balecie. Znasz pięć pozycji. Umiesz zrobić arabeskę. A oni? Żaden z tych gnomów - przepraszam, naszych szanownych kolegów po fachu - nie spędził godziny w ba-letkach.

- Dwight - protestowała Lana. - Przecież wtedy byłam tylko dziewczynką w za dużych majtadałach.

Dwight ryknął radośnie w charakterystyczny dla siebie sposób - ni to śmiech, ni to okrzyk wojenny. U Dwighta zresztą wszystko było wojną.

- Nie zorientowałaś się, że tancerki nie noszą majtek? - Kiwał głową niedowierzająco.

- Tak, wiedziałam o tym, ale ja byłam nieśmiała. Wiedziałam, że inne dziewczynki były ode mnie lepsze. Majtki dawały mi poczucie bezpieczeństwa.

Gdy pokazała mu swój tekst dla linii lotniczych - który uparł się czytać z miejsca w ostatnim otwartym barze koło Lincoln Center - i kiedy dotarł do fragmentu o balecie snu, po prostu rozdziawił gębę (jakby łapał muchy, śmiała się Lana). Krótki komentarz: „O, cholera!”. Pokiwał głową.

- To ja zaprzędaję tej sztuce swoją duszę i ciało, a ty po prostu tak to z siebie wyrzucasz? Dla pieprzonych United Airlines?!

Lana uwielbiała tego rodzaju komplementy, kiedy ludzie nie bali się jej talentu, kiedy uważali, że talent jest *cool*. Wtedy Dwight podał jej nazwisko redaktora kwartalnika szukającego kogoś od tańca:

- Zadzwoń jutro.

- Ale dlaczego ty nie próbujesz? - pytała pełna wątpliwości. Komplement komplementem, ale Dwight, gdyby mógł, zapełniłby wszystkie kolumny w całym mieście.

- Napisali ten kawałek zjeżdżający Trumana Capote'a, z takimi się nie zadaje.

Lana spojrzała na niego podejrzliwie - z Dwightem niczego nie można być pewnym.

- Ale jak ty tam będziesz - dokończył - to chociaż będzie tam o jednego z naszych więcej.

W pierwszych tygodniach grudnia wysłała im swoje dotychczasowe prace, zaprosili ją na lunch na początku stycznia („nie płacimy dużo, ale od czasu do czasu wybieramy się do dobrej restauracji”). Odbyli niewinną pogawędkę, w której dyskretnie pojawiały się te i owe nazwiska, które wypada znać - nie sławnych i bogatych, ale ludzi z konkurencyjnych magazynów, osób wywołujących kontrowersje w literaturze. Lana domyśliła się, że zdała, gdy przy kawie powiedzieli: „Dwa tysiące pięćset słów - New York City Ballet - sezon zimowy” i wszystko było załatwione. Kiedy opowiedziała o tym Dwightowi, zakpił:

- Najgorzej, że nie możesz zacząć od druzgocącego tekstu o *Dziadku do orzechów*.

- Myślałam, że uwielbiasz *Dziadka do orzechów*.

- Tylko drugi akt, sen. Ale pierwszy akt powinno się wysadzić w powietrze. Chłopaczki z bębenkami, dziewczynki z lalkami, Ozzie i Harriet w Dusseldorfie. Koszmar, koszmar.

Typowy dla niego punkt widzenia.

Uwielbiał klasycyzm, ale nie znosił konserwatyzmu, uwielbiał piękno, ale nie znosił tradycji. To stwarzało spore napięcie. Widać to było nawet w jego strojach. Ubierał się w stylu, który Lana określiłaby jako stary dobry punk, latem luźna marynarka z jakiejś pogniecionej tkaniny, a pod spód tylko T-shirt i dyndające kolczyki. Albo tak jak teraz, gdy przepycha się przez duże szklane drzwi State Theater, jego długie, chude nogi opięte w czarny dżins, rozpięta, czarna, wojskowa kurtka ukazująca koszulę od Brooks Brothersów z wyłogami kołnierzyka przypiętymi na dwa guziki i muszkę Tweety Pie. W zimie Dwight zawsze nosił jakby o jedną warstwę za mało niż trzeba (jego współzamarz-nięta twarz w kolejce po bilety prasowe). Ale nawet w lecie miał zawsze długi nos i głodne spojrzenie - może dlatego, że był wiecznie właśnie-co-zwolniony i bliski eksmisji, głównie dlatego, że wszędzie widział „okropny fałsz” i „wprost nie mógł utrzymywać takich znajomości”. Dwight był Ka-junem, odpowiednikiem południowego geja z lekkimi modyfikacjami. Cała jego estetyka była z pieprzykiem, z wysmażonymi ulepszeniami. Dla niego Stanley Kowalski z *Tramwaju zwanego pożądaniem* był bohaterem tragicznym. A problemy między Rhettem a Scarlett? Oczywiście oboje byli dominujący (a Ashley typowy ulegający). Dwight był zabawny, bo każdego wkurzał. Oboje byli młodymi krytykami i to ich łączyło. Mogli się ze sobą nie zgodzić i nie mieć sobie tego za złe, może dlatego, że byli tak inni, nie stanowili dla siebie konkurencji. Lana lubiła jego głód, jego ślepą miłość do baletu i przedziwne opinie. Zachwycała ją jego energia, jego ambicja tak widoczna, tak inna niż jej. Gdy ona była spokojna i miała czasem wrażenie, że ukrywa się w tym spokoju, nie ufając temu, co przychodzi zbyt szybko, Dwight szedł do przodu śmiało, łapczywie, a czasem nieco wątpliwie.

Czy ten tancerz miał naprawdę dobrą technikę, czy tylko kręcił Dwighta? Czy Dwight naprawdę lubił nowy balet, czy tylko chciał się dostać do lepszego kółeczka? Nie można mu było ufać na 100 procent - ale Lana go uwielbiała. A kiedy wyśmiewała się z jego tancerzy, chichotał chwilę, a potem zaciągał się i mówił „spieprzaj” tym swoim miękkim akcentem pełnym dymu.

- Dwight! - Lana przycisnęła swój policzek do jego.

- Gdzie siedzisz?

- C-2 - odpowiedziała mu, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt radośnie.

- A ty?

- B-3.

Parzyste są na prawo, nieparzyste na lewo, i z niewiadomych powodów lepiej było po prawej.

Pierwszy dzwonek. Lana i Dwight nie ruszyli się z miejsca, obserwując, co się dzieje wokół nich. Gdy Dwight zauważał znajomych, których lubił, kiwał głową lub machał im, a potem wyjaśniał Lanie, kto jest kto. Ale bardziej cieszył się na widok ludzi, których nie znosił. Wtedy chichotał i mówił - głosem, który brzmiał jak długie syknięcie

- to taki a taki, krytyk tego a tego, prywatnie skończony idiota. - Lana nieco przymulona po całym dniu w pracy właśnie próbowała się zdecydować, czy nie wypić jeszcze szybkiego cappuccino, gdy Dwight rzucił jej przez ramię:

- Jest tu i Jej Wysokość. - Wiedziała, że może chodzić tylko o jedną osobę. To Cassandra Rogers wkraczała właśnie przez szklane drzwi otoczona swoimi wyznawcami.

Czy to był powiew z innego świata czy element procesji

- jak opisać tę bańkę samozachwyty, w której płynęła Miss Rogers?

Wchodziła cicho jak gejsza. Malutkie kroczyki jej śnieżnych, zamszowych bucików. Coś kazało przypuszczać, że wkroczy w szatach i szarfach, ale oto wchodziła w długim pikowanym płaszczu, zasłonięta jak

fortepian. Zasznurowane usta, wzrok przed siebie. Ludzie usuwali się jej z drogi, nigdy nie zwracając się wprost, przysuwając się boczkiem, by złożyć bezszelestny hołd.

Miss Rogers. Nalegała na Miss, nie Ms., które uważała za niepoprawne językowo (nie jest przecież manuskrytem!). Przekroczyła już sześćdziesiątkę i pisała od ponad dwudziestu lat. Jej kariera zaczęła się od wielkich pytań: Czym w ogóle jest balet? Każdy kolejny esej był całą powieścią odkrywającą nie tylko tajemnice tańca, ale także, jak oczekiwali czytelnicy, tajemnice Cassandry, ujawniającą „nieskazitelność - zachwycał się jeden z jej fanów - jej prozy”. Zabłysła w epoce baletu, podjęła temat tak długo uznawany jedynie za sztukę dziewcząt i gejów i udało jej się. Były to wielkie dni Michaiła Barysznikowa i Gelsey Kirkland, Suzanne Farrel i króla choreografii George'a Balanchine'a. A potem zaczął się koniec, krzyż i gilotyna: Balanchine zmarł, zestarzały się ulubione tancerki, a te nie lubiane padły od ostrza stalowych wyroków Cassandry. Aż wreszcie nastąpiła apoteoza. Miss Rogers stanęła ponad swoim przedmiotem, ochłonęła, osiwiła, zaczęła myśleć: Dokądże balecie? Jej teksty zblakły w niedowierzaniu, cienie nadgarstków odbiły się na jej czole: cóż pozostało do zrobienia? Miała swoich podwładnych i protegowanych, świętę obu płci, która służyła w Świątyni Cassandry, przesiewając popiół, wygłaszając jej kazania w swoich recenzjach i przemysleniach. Nazywano ich Cassettes.

Dwight zaczął nucić „*It's a beautiful day in the neighborhood*”, a Lana poczuła lekki zawrót głowy. Oceniająca obecność Cassandry, przejście w tę sferę mroźnej powściągliwości zdawało się zaburzać równowagę atmosferyczną, kazało stawać do walki. Tak oddziałują potężni w Nowym Jorku. Wszyscy potężni. Lana czuła to w Carnegie Hall, gdy wszedł Arthur Levitt Jr., szef Security

and Exchange Commission. Czuła to w Metropolitan Opera, gdy weszli Arnold Schwarzenegger i Maria Shriver (dziwne, ale prawdziwe). I czuła to teraz - szepty tu w obecności Miss Rogers - i czuł to też Dwight. Zwiększył tempo swojej melodyjki, gdy Cassandra wyszła z zasięgu słuchu.

- Czy nie zdaje ci się, że ją to musi męczyć - zastanawiała się Lana. - Cała ta świątynia na jej głowie.

- Zabalsamowana w zgorzknieniu - zaintonował Dwight. Czasami nachodziła go poetyzacja.

- Więc gdzie się spotykamy w antrakcie?

- Masz na myśli, w którym kącie śródmieścia Bejrutu? Dwight zawsze żartował sobie z antraktów. - Machiavelli

żyje! - mawiał. - Operacja piorun, rekiny w wodzie. Chciał napisać książkę *Wszystkiego, co wiem o życiu, nauczyłem się w antrakcie*.

- Nie znowu przy akro-tłuszczach - tak nazywał rzeźbę Nadelmann stojącą na szczycie schodów, gigantyczne dziewczęta ze słoniny (właściwie - z białego marmuru). Były dwie takie pary, jedna po każdej stronie pierwszej części schodów i zależnie od krytycznej kliky, do której należałeś, trzeba się było spotykać przy akrobatkach lub przy nagusach.

- Przy nagusach - powtórzył dla pewności. - Ale najpierw będę musiał zapalić.

Ostatni dzwonek. Wbiegli na schody, on na lewo, ona na prawo. Idąc w stronę swojego miejsca, powoli przedzierając się przez tłum w przejściu, Lana zobaczyła srebrno-czarne włosy na miejscu C-4. Fernanda Levine. Zanim Lana usiadła, położyła swoją torebkę pod fotel, czując, że siedzenie w takim miejscu wymaga jakiegoś przygotowania. Fernanda Levine rzuciła na nią okiem, a potem odwróciła spojrzenie, niewzruszona. Lana wiedziała, co myśli Fernanda: „Dlaczego ona dostała takie miejsce?”. Fernanda miała własne czasopismo o tańcu,

kwartalnik pod tytułem „Divetissements”. Jako że nie było w nim żadnych reklam, Fernanda i jej pisarze mogli tam wypisywać, co im się żywnie podobało. Co skwapliwie czynili. „D”, jak sami lubili podkreślać, było surowe, inteligentne, dowcipne, sarkastyczne i niezwykle zaczepne. W skrócie - było takie jak sama Fernanda, którą Lana obserwowała z oddali (z bliska Fernanda była deprymująca). Lana jednak wolałaby kiwnąć jej na powitanie, ale gdy nie zauważyła żadnej zachęty, zajęła się notesem i nowym czerwonym piórem, aż wreszcie zgasły światła i pojawił się pierwszy balet, oklepane nudziarstwo.

Kiedy się skończył, Lana wyskoczyła szybko, jak każdy krytyk, i wypadła na korytarz przed wszystkimi. Dwight też był szybki, stał już przy barze i kupował sobie burbon.

- Oj, a może też coś chciałaś? - spytał. Nagle zrobił się z niego nieprzytomny profesor.

Wiedziała, że po prostu nie ma pieniędzy, żeby jej cokolwiek postawić. Nie oczekiwała tego.

- Poproszę wodę seltzer - zwróciła się do barmana. - Dwight, znajdź nam jakieś miejsce, bo zaraz nie będzie. Za moment będą tu tłumy.

I były. Przedzieranie się przez tłumy w antrakcie, szczególnie z kieliszkiem w ręce, było jak krążenie po labiryncie. Kiedy dotarła do Dwighta, już spiknął się z jakimiś innymi baletomanami. Jednak jej obecność tłumiała (prawie niezauważalnie) ich rozmowę i oddalili się szybko, ale z gracją. Geje potrafią mieć grację.

- Chodźmy pospieszować gdzie indziej - powiedziała dwightopodobnie. Wiedziała, że to utrzyma go w środku trochę dłużej.

Udali się w stronę akrobatów i ujrzeni tam intrygującą kompozycję z krytyków pogrupowanych w przedziwne zbiory pod marmurowymi bliźniakami.

- Wyglądają nieco niezdrowo - dobiegł ich bzyczący szept René Vukovitcha. - To dlatego, że wszystkie dziewczęta z zespołu są na prochach.

- Ten zawsze ma takie uwagi - Dwight poinformował Lanę. - Żeby wszyscy wiedzieli, jak dobrze je zna.

Fernanda Levine stała obok René, bawiąc się swoimi włosami, zbyt długimi jak na jej wiek (około czterdziestki), przenosząc swoją okazałą wagę ciała z nogi na nogę z płynnością, która zdawała się wystudiowana. Gdy Lana próbowała z nią porozmawiać, Fernanda patrzyła na wszystko poza nią. Było tak, jakby ten zestaw osobistego manieryzmu - kiwanie się, zabawa włosami, niezatrzymanie wzroku - trzymał ją niezakorzoną, blisko drzwi. A jednak Fernanda i René byli zawsze razem, jeden z tych silnych związków między samotną kobietą a gejem. Żadnych problemów z kontaktem wzrokowym na tej linii.

Dwight i Lana zwrócili się w stronę większego kółeczka, wyściełanego kącika, gdzie Cassandrę Rogers otaczało opiekuńcze trio Cassettes, dwie kobiety mocno po czterdziestce (walczące o status ulubienicy nauczycielki, niemal wycierające jej buty własnymi rękawami) i mężczyzna, młodszy, odgrywający tu księcia, gotowy całować zakładkę jej gabardynowej spódnicy. To było fascynujące, ten język ich ciał, szczególnie balet. Krążyli, manewrowali, biegli w tym intelektualnym wyścigu, łeb w łeb. Spiskowali i czekali na ten tragiczny dzień, gdy Rogers przejdzie na emeryturę i wyryje na kamieniu imię następcy, moje imię, myślało każde z nich. Czy tak się wygrywa? Czy to jest jedyny sposób?

- To nie będzie żadne z nas - powiedział Dwight, czytając w jej myślach. Mało nie wylała swojej wody.

- Skąd wiedziałeś, o czym myślę?

- Jestem Kajunem, jestem gejem, moim bogiem jest Tennessee Williams. Oczywiście, że wiem, o czym myślisz.

- Nie masz ochoty na tego swojego papierosa?

Dwight uparł się, że wypali dwa papierosy.

- Jesteś przecież z Chicago - przekonywał trzęsącą się na balkonie Lanę. - Nowojorski styczeń to dla ciebie pestka.

Oboje dopadali swoich miejsc, dopiero gdy światła już przygasaly, ale takie dobre miejsce oznaczało, że możesz się spóźnić do woli. To właśnie jest piękne. I oczywiście doskonały widok na scenę. I dreszczyk emocji. Fernanda postanowiła udawać, że nie zauważyła spóźnienia Lany, co Lana skomentowała w duchu: „Ignoruj mnie do woli”. Cieszył ją ten pierwszy wieczór na tak wyśmienitym miejscu. Właściwie lepiej bawiła się z Dwightem w antrakcie niż śledząc wydarzenia na scenie. Ale poważnie - musi się skoncentrować. Musi zacząć robić lepsze notatki swoim nowym czerwonym piórem. W czasie pierwszego baletu napisała tylko: „A gdzie ogień?”, bo tancerze nie wyglądali, jakby tańczyli do muzyki, ale jakby od niej uciekali. Ale to nie był pomysł. Zresztą i tak to na drugą część przyszli wszyscy krytycy - żeby zobaczyć, jak poradzą sobie dziewczęta w nowej, uproszczonej wersji *Jeziora łabędziego*.
Ciemność.

Drugie wyjście zajęło więcej czasu przez oklaski i wywoływanie debiutantek. Gdy wreszcie znalazła Dwighta, już podążał w stronę balkonu.

- Jest tam pewna osoba, z którą chciałbym porozmawiać - a Lana pobiegła za jego spojrzeniem i zobaczyła uroczego blondyna w obcisłych dżinsach stojącego na dworze. „Uroczy chłopiec” było terminem oznaczającym

ideał świata gejów i właściwie wystarczyło powiedzieć tylko „uroczy”. Gatunek szczególnie często spotykany w balecie. Nic nie mogło stanąć pomiędzy *queen* a „uroczym”, nawet jeśli „uroczy” nie wiedział o istnieniu *queen*. Lana ugięła się przed tym szaleństwem, ale nie bez narzekania:

- Każesz mi tu zostać samej?

- Pomyśl o tym jak o misji specjalnej: rekonesans - dodał jej odwagi i kiwnął w stronę akrobatów. - I znajdź błoto.

Lana poszła kupić sobie cappuccino, żeby mieć co zrobić z rękoma, a potem zbliżyła się do kółeczek na tyle, by móc obserwować, ale nie na tyle, by stracić poczucie bezpiecznej przezroczyści. Właściwie niewiele się zmieniło, tylko tym razem Rene dołączył do kółeczka wokół Rogers. Ale gdzie jest Fernanda? Lana jej nie widziała. A! Nie, jest, próbuje przebić się przez gąszcz jakichś par (najwyraźniej są to pary z East Side, błyszczące kobiety, duże, złote kolczyki, duże, złote guziki, włosy prosto od fryzjera, a paznokcie polakierowane jak reflektory). Widziała, że Fernanda słyszy Rene. Wszyscy go słyszeli.

- Ta muzyka nie jest z innej kompozycji - rzucał się, fala jego niecierpliwości celowała w młodszego mężczyznę. - Zwykle się ją wycina, ale tu ją włączono.

Jak i władza Rogers, na chwilę odcięta i znów włączona.

Fernanda próbowała dotrzeć do znajomego głosu, gdy nagle zorientowała się, że dobiega on z tego złotego uścisku. Zatrzymała się kilka stóp dalej. Równie dobrze mogła to być mila. Nie było szansy, by otworzyły się przed nią wrota z tych ramion.

Wszyscy wiedzieli, że Fernanda próbowała z Cassandrą i poległa. Były zbyt podobne do siebie. Uparte kochanki baletu. Cassandra była oryginałem, a Fernanda - równie oryginalna - nie chciała być kopią. I tak rozpoczął się

rozłam. Poglębił się, gdy Fernanda wysłała Cassandrze egzemplarze „Divertissements”, a Cassandra odesłała jej nieotwartą paczkę. Wtedy Fernanda opublikowała parodię piosenki *My Favorite Things*, którą podpisała Rogers & Rogers. Piosenka zaczynała się od słów:

„Darci w *Diamentach*, Peter emeryturę wybiera, Misha w *Morderstwie*, Pina umiera...”

a cały świat baletu aż piszczał z radości, nie tylko Dwight.

Najdziwniejszy w tym wszystkim był Rene - tylko on mógł wejść pomiędzy te dwie kobiety. Niegdyś należał do kółeczka Rogers, gdy jej sława dopiero wschodziła, a on był jeszcze „uroczy”, ale nigdy nie stał się jednym z Cassettes. I chociaż był dziś tak blisko z Fernandą, w antraktach widywano go krążącego po orbicie Rogers, pod wpływem jakiejś magnetycznej siły czy podwodnego prądu.

Co zrobi Fernanda? Stała, oceniła potrzask i powoli odwróciła się tylko po to, by napotkać wzrok obserwującej ją Lany. W czasie tej długiej sekundy Lana zmusiła się do uśmiechu. Fernanda zakołysała się, rodzaj wahania, a potem postąpiła kilka kroków.

- Jak się pani podoba ten balet? - spytała Lanę. Jedno z tych ogólnych pytań, na które tak trudno odpowiedzieć. Lana zrobiła unik.

- Szczerze mówiąc, jakoś nie mogę się skoncentrować. Jeszcze nie wczułam się w rytm tego sezonu.

- Wiem, co ma pani na myśli - powiedziała Fernanda, choć pewnie nie wiedziała. Mogła się wiercić, stojąc, ale w swoim fotelu była spokojna i skupiona.

- A pani? - spytała Lana, starając się, żeby zabrzmiało to tak, jakby wcale nie potrzebowała wiedzieć. Czysta ciekawość.

- Stopy Jenny - Jenny była debiutantką - to stopy życia i śmierci. To właśnie robią René i Fernanda, mówił jej Dwight. Obierają sobie jakiś fragment anatomii, zobaczą płomień wieczności w jakimś geście i robią z tego fetysz. To był ich mały świat totemów i tabu. Bardzo efektowne - sprawiało, że czułaś się outsiderem dlatego, że nie zobaczyłaś prawdziwego znaczenia i wagi przedmiotu.

- Myśli pani o tym wspaniałym łuku? - spytała Lana.

- Wydawało się, że wystrzela wprost z jej kostki, a nie poniżej, jak u większości osób. - Lana miała świadomość tego, że łuk tej tancerki był jak szyja łabędzia, pełny i długi. - Jakby miała serce w tym łuku.

- Zupełnie jak Odette.

Dwight miał rację: „Zawsze muszą mieć ostatnie słowo, nawet jeśli jest nic niewarte”. A jednak Lanie podobała się Fernanda. Oto ona, nawet jeśli jedynie czekająca na René, na jego powitanie i kilka plotek, nawet jeśli tylko czekająca i podpierająca ściany. Były jakieś rysy w jej królewskim my. Jakby Lana widziała ją po raz pierwszy. Miała takie ładne zielone oczy.

- Hej - przywitał się René, odwracając się do nich, nie wykazując najmniejszego nawet zainteresowania osobą Lany. Fernanda skrzyła się jak szalona.

- René, znasz panią Lanę Burton, prawda? Właśnie mówiłyśmy o stopach Jenny - teraz skręć w stronę Lany.

- Co pani mówiła? Jakby miała serce w tym łuku?

- Tak-to-piękna-stopa - przyznał René tonem tak monotonnym, jakby puścił wszystko mimo uszu, ale Lana mogłaby się założyć, że gdyby nie jej obecność, René rozplywałby się teraz nad stopą Jenny.

- Muszę już iść - powiedziała. Musiała przecież coś powiedzieć.

Poszła szukać Dwighta, który może jeszcze palił na balkonie. Jeśli jest wciąż z Blondie, zostawi ich samych. Wsunęła się na to zimno.

- Tu cię mam - był sam z papierosem. - A gdzie blondyn?

- Poszedł po coś ładniejszego. A co w środku?

Więc, trzęsąc się z zimna, opowiedziała mu wszystko ze szczegółami, o głupiej sytuacji Fernandy, jej nagłej decyzji, żeby podejść i być miłą.

- To ciekawe... - przyznał, zaciągając się ostatni raz i wydmuchując dym wysoko w nocne niebo. - Ale uważaj.

Lana słuchała.

- Może być bardziej wrażliwa niż Cass, ale one obie grają ostro. Nie zrozum mnie źle. Pisałbym dla Fernandy. Jest outsiderką. To byłoby fajne.

- Więc czego mam się bać?

- To egopotwory. Zgodzisz się z nimi - dobrze. Nie zgodzisz się z nimi - niedobrze. Dla Cass po prostu nie istniejesz, a dla Fernandy stajesz się jej kolejnym wielkim wrogiem.

- No tak, a René?

- Tak. Patrz i ucz się. Jest blisko z Fernandą, ma przeszłość z Cass. Więc jak to robi? Jedną straszy drugą i bierze od każdej to, czego chce. To chodzący, gadający instynkt przetrwania. Pozwolisz, żeby przejęła cię jedna

- Dwight wyrzucił peta w ciemność - i musisz włączyć się w ich rozgrywki. Co daje im siłę. I wyrzucają cię, gdy tylko je rozczarujesz.

- Wiem - przyznała mu rację, gdy wchodzili do środka.

- Strzeż się, by nie stać się elementem porządku dziennego. Ale skąd wiesz, kiedy czyjaś opinia jest też tylko takim elementem. Kto to ocenia?

- Ty, skarbenku. A to jest śliski stok. Więc żebyś nie skończyła na tyłku.

I Dwight będzie wiedział. Był górską kozicą, specjalistą od śliskich stoków, zawsze należał tylko do siebie.

- Do zobaczenia na sobotnim przedstawieniu - rzucił jej na odchodne. Gdy wróciła na swoje miejsce, zdziwiło ją - choć nie do końca - ciepłe powitanie.

- Czytałam pani ostatni tekst o musicalach - powiedziała Fernanda.

- Ależ chyba nikt tego nie czytał - nie dowierzała Lana.

- Musiała pani chyba gdzieś lecieć, żeby mieć to w ręce.

- Ludzie przesyłają mi co ciekawsze rzeczy. Podobało mi się to, co mówi pani o balecie snu. Uwielbiam kolorowe czubki butów.

Lana pokiwała głową ze zrozumieniem. W tańcu klasycznym czubki baletek są blad różowe, czyste, ale na Broadwayu to cała paleta: czerwień, żółć, zieleń, czerń, błękit.

- Ludzie teatru szanują balet, ale mu nie ufają - powiedziała Lana. - Więc wkładają go do ładnych pudełeczek i wiążą kolorowymi wstążkami.

- Balet w pudełeczku - zgodziła się Fernanda. - Wie pani, „D” zawsze potrzebuje nowych pisarzy. - Przekartkowała notatnik, znalazła wolną stronę i podała go Lanie.

- Zadzwoń do pani.

Lana wpisała swoje nazwisko i telefon nowym, czerwonym piórem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dobry Dzień

Trudno się otrząsnąć ze szczęśliwego dzieciństwa. Tak sobie myślała ostatnio Iris. Oczywiście nie powiedziałyby tego nigdy na głos. W dzisiejszych czasach wszyscy są tacy świadomi skutków złego wychowania. I te opowieści, które są teraz w modzie - włos jeży się od nich na głowie - spisywane przez kobiety (zwykle są to kobiety) wspomnienia z ich przerażającego okresu dojrzewania. Tak wielu ludzi miało tak mało miłych wydarzeń w przeszłości, czegoś, do czego chętnie się wraca, by ogrzać dłonie; drobiażdzków, które z radością się odpakuje i pakuje z powrotem w biały papier, jak to czyniła Iris ze swoimi świątecznymi drobiazgami, kiedy kończyła się już przerwa świąteczna. Iris nie była pewna, co ma na myśli, gdy czuje, że bardzo trudno otrząsnąć się ze szczęśliwego dzieciństwa - i Bóg jeden wie, że nie narzekała, a próbowała tylko nazwać rzeczy po imieniu. Po prostu dobroć też może cię straszyć po nocach. Bezgraniczna miłość w dzieciństwie może uczynić cię bezbronnym, oczekującym, pewnym, że wszyscy kochają cię tak samo. I te lata tłuste - urodzinowe prezenty, wielkanocne sukienki, niekończące się indiańskie wakacje w północnym Illinois - gdy mijają, pozostawiają cię daleko za sobą. Jej dzieciństwo było pełne koni i siana, polowań na lisy i bażanty, dobrych psów i złych psów, i melasy. Wiele na-

uczyła się od stajennych, którzy rozpijali się mniej więcej co pół roku, ale w międzyczasie nauczyli ją, jak wyciągnąć z podkowy zardzewiałą gwóźdź (gdy gwóźdź puszcza, trzeba nacierać terpentyną), jak oczyszczać wałachowi puzdro (musisz bardzo delikatnie włożyć rękę w puzdro i palcami lub gąbeczką wybrać brud, który nagromadził się tam w ciągu roku), jak zaplatać warkoczyki na ogonie (najważniejszy był początek). Doświadczyła władzy absolutnej w osobie właścicielki stajni - szczupłej, ale biuściastej kobiety w typie Barbary Stanwyck, która kochała pieniądze, nienawidziła strachu, a całe swoje obejście podłączyła do starodawnego systemu podsłuchu, żeby wiedzieć, co knuje dzieciarnia. W swoim ocieplanym kantorku nad stajniami, ze śnieżno-białymi włosami i błękitnymi oczyma jak szklane paciorki była Bogiem w niebiosach, niewidzialnie kontrolującym wydarzenia pod nią. Dzieci, wciąż szeptem przygotowując jakieś powstania, nigdy nie czuły się bezpieczniej. Do dzisiaj, gdy Iris trafiła przypadkiem na pudełko z uprzężą, które zajmowało za dużo miejsca w komórce na ubrania, ten świat pełnego bezpieczeństwa wracał razem z oddechem, z tym kurzem specyficznym dla stajni - wilgoć, ciężkie połączenie brudu z kopyt i końskiej sierści, wiekowych pajęczyn i starego nawozu - ta mieszanka była jak pyłek z rajy, dostawała się do jej nosa i wywoływała kichanie. Jako dziecko nie była na nic uczulona. Była śmiałą i pracowitą dziewczynką, która wyznaczała sobie coraz to nowe zadania i - co niezwykle u dziecka - doprowadzała je do końca. Pamięta długie wieczory, gdy przygotowywały z siostrami ubranka dla lalek Barbie, Francie, Scooter i Skipper (nie pozwalano im mieć Kena, bo był „zbyt dorosły”, tak jak nie pozwalano im oglądać filmów z Elvisem Presleyem czy Jamesem Bondem). Kazały lalkom chodzić, mówić, stać lub spać, bo niewiele więcej da się zrobić

z lalką o tak sztywnych nogach. Potem w jej okresie lekarskim nastąpiło naprawianie pluszaków (zaszywanie szwów, łatanie dziur), które Iris przeprowadzała jak wielkie operacje, a jej pełna powaga przed zabiegiem i po nim budziła w młodszych siostrach niemy szacunek. W sąsiedztwie zorganizowała nawet polowanie na trzmiele - każde dziecko z wielkim słojem w garści. Iris nie umiałaby teraz powiedzieć, dlaczego właściwie postanowiła łapać trzmiele, może po prostu z zemsty - jeden użądlił ją w palec u nogi.

Rodzice nigdy nie uczestniczyli w tych wydarzeniach. W jej wspomnieniach są tylko bezcielesnymi głosami w tle, wiecznie w domu lub w głębi korytarza, dźwięk bezpieczeństwa, cień opieki. Pojawiali się w czasie posiłków, na rodzinnych wypadach, pomagając przy pracach domowych, albo w miłej atmosferze w samochodzie. Oto, myślała Iris, symbol dzieciństwa połowy dwudziestego wieku: zarysy jego i jej twarzy na tle szarej skóry, mama i tata pogrążeni w rozmowie na przednich siedzeniach. Dziwne, jak wielkiej równowagi był to obraz.

Nigdy nie mówiła im jednak o największym zadaniu, jakie sobie stawiała, takim, które wykonywała tylko ona. Nazywała to Dobry Dzień. Było to coś więcej niż skomplikowana zabawa typowa dla domu pełnego dziewczynek (jej brat przyszedł na świat dopiero, gdy miała czternaście lat) i Iris robiła to tylko raz, może dwa razy w roku. Dobry Dzień był przeznaczony tylko na specjalne okazje - takie jak pierwszy wiosenny pokaz koni - albo połączenie kilku okazji: październikowa sobota, która zaczynała się rano błogosławieństwem dla łowów w klubie myśliwskim, a kończyła tej samej nocy zabawą dla uczczenia powrotu licealistów. W ciągu tygodni poprzedzających Dobry Dzień Iris sporządzała listę wszystkiego, czego musi w życiu dokonać: posprzątać pokój i szafki, skończyć wszystkie prace

domowe, wyczyścić końską uzdę i kupić nowe kopystki, przejrzeć swoje ubrania w szafie i wymyślić sposób na zdobycie nowego swetra, żeby móc włożyć go na mecz futbolu z koleżankami (nigdy nie na randkę, Iris nie pozwalano chodzić na randki przed szesnastym rokiem życia, właściwie i tak nikt jej nie zapraszał). Nic szczególnego, ale razem wzięte stanowiło wyzwanie. Chodziło o to, by wszystko w życiu było zrobione - żadnych niewypełnionych obowiązków i nieporządków - żeby mogła przeżywać ten wielki dzień bez cienia niepokoju czy żalu. W pewnym sensie te dni były jej pierwszymi dziełami.

Czy osiągnęła ideał? Nie do końca. Pech wchodził jej w drogę - praca domowa zadana dosłownie dzień wcześniej; plama na ulubionych bryczesach, która nie chce zejść; zły dzień na koniu Britomarcie. Ale to się nie liczyło. Iris wdychała do magii tych dni, czystej, ekscytującej bliskości dnia, który zawsze był sobotą, zawsze w południe, zawsze bezchmurny i zawsze skrzący się możliwościami.

Taki był jej ślub z Erichem. Jaki on był przystojny w wieku trzydziestu lat. Pomarszczone spodnie khaki zwisały z jego bioder, chudych i ostrych jak muszelki. Przeszedł cały campus uniwersytecki w podskokach (podrygiwał w górę z każdym krokiem) i to zdradzało jego podekscytowanie, i choć powinno było czynić go śmiesznym, tak naprawdę było dziwnie seksowne i aż chciało się podbiec do niego i łapać pył z papierosa zwisającego mu z ust, pył, który skrzył się i opadał jak ostatnia burza mózgów w laboratorium. Terroryzował kolegów swoją elegancją przy eksperymentach, niepokoił swoim chłodnym spojrzeniem i jeszcze chłodniejszą logiką. O, tak, Erich swoje troski znosił zgoła inaczej niż wszyscy. - Nauka wudu - mówił o tych kolegach, którzy nie umieli powtórzyć odkrycia, nie prowadzili dzienników laboratoryjnych, którzy improwizowali.

On był derwiszem w laboratorium, tańczył z wdziękiem pośród swoich żeli i zestawów do barwienia DNA. Kiedyś wrócił do domu z radioaktywnym kciukiem i bardzo uważał, żeby nim Iris nie dotknąć, na dwa tygodnie zamienili się stronami łóżka, żeby mógł spać na plecach, trzymając kciuk wytknięty poza krawędź. Zamienił się cały w ten kciuk. Wiszący nad pustką, a Iris na wyciągnięcie ręki.

Dobry Dzień. Iris miała jeszcze wycinki z miejscowej gazety, żeby to udowodnić. Ich ślub odbył się wieczorem w pewien jasny, pełen złotego światła, chłodny dzień października. Erich w porannym garniturze swojego dziadka - doskonale niedoskonałe zestawienie. A ona w sukni Cal-lot Soeurs, którą wybrała u Christie, satyna koloru kości słoniowej aż do kostek, z zapierającym dech w piersiach pikowaniem trapunto, wieniec z kwiatów pomarańczy na głowie, a z tyłu wielorybi prysznic z tiulu. Wyglądali jak z Fitzgeralda, wszyscy tak mówili. Na weselu stara ciotka Biddle wzięła Iris na stronę, żeby opowiedzieć jej, jak Erich jeździł na koniu, jak zawadiacko na nim siedział. Iris wciąż miała w kufrze jego stare buty jeździeckie koloru rdzy, które on wyrzucił na śmieci, żeby jej coś udowodnić, a które ona odratowała nocą. Długie i chude, jak dla nastolatka, mahoniowa skóra przetarta po wewnętrznej stronie łydek do koloru miodu. Gdy je włożyła, sięgały jej za kolana. Wyglądała jak muszkieter.

Iris zachowała tylko jedno ich zdjęcie ze ślubnego albumu - to, na którym wychodzą z kościoła i które było opublikowane w „Town & Country” i w „The Philadelphia Inquirer”. Uwielbiała je za sposób, w jaki Erich trzymał jej dłoń. Jego wielkie łapy zamknięte na jej ręce. Wciąż je czuła, tak mocne, ale Erich zawsze wszystko robił za bardzo i w tamtej chwili, gdy ich dłonie były splecione w jakąś przedziwną kulę, czuła jego radość.

Erich przestał jeździć i polować w college'u z tych samych powodów, dla których przestał robić tak wiele innych rzeczy. Nie było to już logiczne: doświadczył tego, powtarzanie nie intensyfikowało uczuć, a tylko je przytłumiało -jedziemy dalej. Iris nie lubiła tego sposobu myślenia, ale nie rozwodziła się nad tym, czując, że w końcu i ona znudzi się i trzeba ją będzie zmienić. Zresztą teraz zwierzęta służyły do cięcia. Nigdy nie zapomni dnia, w którym zaskoczyła swojego młodego męża w laboratorium w sobotę z koszem piknikowym i termosem z jabłecznikiem zakrapianym brandy. To właśnie robią młode żony, prawda? A campus uniwersytecki był niesłychanie piękny jesienią, szczególnie stary budynek Akademii Medycznej cały z kamienia, rzeźbiony w trójlistne okna, gargulce i gotyckie łuki, które czynią cię takim malutkim. Wiedza to wieczność, zdawały się mówić kamienie, jednostka to pył.

Weszła do laboratorium (smród zwietrzałej siarki, menzurki zadymione od używania), czując się jak Barbie - zawodowa żona odziana w bliźniak i płaskie pantofelki, z wiklinowym koszykiem przewieszonym przez blade ramię. Laboratoria były puste, tylko jakiś osowiały asystent wskazał jej daleki koniec korytarza, pokój, gdzie trzyma się szczury. Erich miał na sobie kitel (którego nigdy nie nosił, pozostawiając to nowicjusom) i wielką, brązową, wyglądającą jak sierść konia rękawicę na prawej dłoni. Kiwnął do niej głową, nawet się nie witając i wyciągnął tą rękawicą wierzgającego szczura, przeszedł do błyszczącego, aluminiowego urządzenia, które stało na blacie obok, wcisnął główkę szczura w stalowy otwór wielkości ćwierćdolarówki i spokojnie, płynnym ruchem pociągnął lewą ręką długą na stopę dźwignię. Zabójczy chrzęst był ostatnią rzeczą, jaką usłyszała Iris, zanim uderzyła głową o podłogę.

- Szczury też za tym nie przepadają - przyznał, gdy oprzytomniała pod wpływem soli. Erich wytłumaczył jej, że ma jeszcze do zabicia trzydzieści szcurów, trzydzieści mózdków do pokrojenia i zamrożenia, i że im więcej ich zabija, w tym większą panikę wpadają pozostałe szczury, bo czują zapach krwi (wtedy zauważyła, że poplamione ramię jego fartucha ma coś z Jacksona Pollocka). A więc musi działać szybko - nie ma czasu na piknik. Nigdy go nie będzie.

Więc wzięła swój koszyk i zrobiła sama piknik na trawniku kampusu, wystawiła twarz na ciepły wiatr, ale jakoś nie miała ochoty na nóżki kurczaka (obraz jego główki zwisającej z kości). Chciała być ze swoim mężem, śmiać się z nim, a nie przeżuwać w samotności. To było pierwsze samotne sobotnie popołudnie z wielu kolejnych w Filadelfii - tak słonecznych, że trzeba było mrużyć oczy, lub deszczowych i szarych, błękitnych lub śnieżnobiałych, wszystkich smutnych od tego wlokącego się czasu od pierwszej do piątej. Łuk izolacji. Iris przyzwyczaiła się do tych pogodnych rozstań, do stoicyzmu wszystkich żon pracoholików („równaj krok, kochanie”). Przyzwyczaiła się nawet do powtarzania sobie, nie, on nie może przecież przerwać eksperymentu tylko dlatego, że jego żona czeka. Ale nigdy nie przyzwyczaiła się do tych sobotnich popołudni.

A poczta przychodziła - prośby o wsparcie, listy koleżanek z akademika, raporty uniwersyteckie - na adres Mr. i Mrs. Erich Biddle lub czasem Dr i Mrs. W końcu Erich miał tytuł doktora. Gdyby tylko był prawdziwym doktorem, jak jej ojciec. Iris nigdy nie wypowiedziała tej myśli na głos. Czowała się jak zdrajca, gdy tylko o tym pomyślała. Ale praktyka medyczna uziemiała, stabilizowała. Miałaś do czynienia z ludźmi. Było coś niepokojącego w pracy w laboratorium, coś zbyt pasującego do abstrakcyjnej, zmiennej natury Ericha. Czysta nauka wymagała ryzyka,

intelektualnej wycieczki na Antarktydę. Kiedy przeglądała jego dzienniki laboratoryjne, widziała powódź cyfr płynącą długimi kolumnami, rytm wyznaczony łukami i strzałkami, a wszystko to wypisane tym gwałtownym pismem wyciśniętym mocno na papierze. Trudno było uwierzyć, że jakakolwiek krwinka, najmniejszy kawałek tkanki był źródłem tego zalewu znaczków i symboli. W tych kolumnach były zakodowane miary receptorów - muskaryna, dopamina - te strony strachu i uniesienia, smutku i radości. Tu, w tych cyfrach kryły się sekrety uczuć. Tu krył się Erich.

A potem te olbrzymie granty ze swoimi olbrzymimi pieniędzmi, którymi trzeba było zarządzać, które trzeba było wyasygnować, podzielić między doktorów i asystentów. Zabawa z nauką stała się, według jego własnych słów, narkotykiem. Studenci błagali, by z nim pracować, żeby stać się zgorzkniałymi od koncentracji, jakiej wymagał w laboratoriach, od jego niezdolności do głaskania i doceniania. Nie dostał tamtego grantu, nie umiał się troszczyć. Za dużo pił na laboratoryjnych imprezach - właściwie zawsze miał skłonności - ale teraz wychodził, zataczając się. A wciąż wpadał do laboratorium o ósmej rano. Publikował tekst za tekstem w „Science” i „Nature”, a jednocześnie unikał swojego przełożonego, sułtana nauki pod pięćdziesiątkę, otaczającego się przytakiwaczami i ich fałszywymi żonami, baszy o błyszczących oczkach, który z chęcią dałby mu schronienie w swoim rękawie garnituru od Savile Row. Erich milczał na spotkaniach pracowników, posepny, ale stawał się coraz ważniejszy na sympozjach w Szwecji, Tokio, Londynie, Los Angeles. W wieku trzydziestu pięciu lat był wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie, czczonym i szanowanym. W domu także - szanowanym. A ta zmiana dziwiła Iris i przerażała.

Do dziś nie umie powiedzieć, co się stało, co właściwie zepsuło się w Erichu. Czy stało się coś w dzieciństwie? Czy oślepił go własny blask? A może po prostu, chemicznie, przestało mu zależeć? Był niegdyś czułym kochankiem, palącym powoli w ciemnościach; potem wciąż był czuły, ale jego zajęcia plus coraz częstszy kieliszek przed snem szybciej przynosiły sen. Żadnych nocnych szeptów, wspólnych szalonych dowcipów i snów. Gdyby tylko mogła uszczknąć mu odrobinę mózgu i odczytać, jak slajd, co by zobaczyła? A ona? Czy inna kobieta dotarłaby do niego, uspokoiła? Inna - nie taka skrzywiona szczęśliwym dzieciństwem, przekonaniem, że ludzie zawsze sobie poradzą?

A potem jego jasne prace laboratoryjne zaciemnione przez projekty, które Iris mogła tylko nazwać niedorzecznymi - a la Ralph Kramden - projekty typu jak-się-szyb-ko-wzbogacić, dziwne patenty, nieuniknione i chwilowe konszachty z rolnictwem i wojskowością. Tyle że Erich miał już przecież pieniądze, swój fundusz powierniczy. Czasochłonne prace nad szkłem laboratoryjnym, cóż, ta rozrywka straciła już swój blask. Wyjechał na seminarium Światowej Organizacji Zdrowia do Tanzanii i odnalazł nowego Graala, nowy blask. Dał odczyt w zatłoczonej sali i gdy włączono światło, nawet nie usłyszał pierwszego pytania, nic nie powiedział, zdjął krawat i ułożył go ładnie na podium, poluzował kołnierzyk i wyszedł. Przez całe dni nikt nie wiedział, gdzie jest, co się z nim dzieje, a zamiejscowe telefony do pokoju 608 od coraz bardziej zaniepokojonej Iris pozostawały bez odpowiedzi, zostawione przez nią informacje wirowały, tak to sobie przynajmniej wyobrażała, na biurku recepcjonistki jak kwadratowe płatki śniegu w zadymce, spadały na podłogę jak publiczne widowisko, od którego odwraca się wzrok, a głos w słuchawce był szaleńczo monotony za każdym jej kolejnym

telefonem, aż w końcu powiedziano jej: a tak, tak, jest jakaś wiadomość, zostawiono ją dziś rano: „Wyprowadzam się, bez adresu”. A potem już wszyscy wiedzieli. Rzucił to wszystko dla kopalni szmaragdów, zamieniając swój fundusz na dowód własności ziemi i dwie koparki. To był szok, kpina, strata i hańba. Nikt z tego nic nie rozumiał - poza Iris, która musiała docenić, jakkolwiek absurdalną, czystość tego bezkrwawego cięcia. Po siedmiu latach małżeństwa, siedmiu latach patrzenia, jak wszystko wali się w gruzy, stała się teraz Deborah Kerr z *Kopalni króla Salomona*.

Nie pozostało jej nic innego, jak wrócić do Nowego Jorku, jedyne miasta, gdzie ludzie może zapłacą jej za abażury tyle, ile są naprawdę warte. Przyjechała razem z innymi przeprowadzającymi się (co było bardzo miłe z ich strony), z trzydziestoczteroletnią kobietą usadowioną wysoko nad drogą między dwoma młodszymi chłopcami. Iris opowiedziała im o swojej pierwszej przeprowadzce na Manhattan, zaraz po college'u, jak przyjechała małą ciężarówką z Illinois i jaka była przerażona sunącym za nią korkiem. Cieszyło ją rozśmieszanie ich. Ale w ciasnocie przed Lincoln Tunnel, reflektor w reflektor, Iris umilkła. Było tak gorąco. A gdy wynurzyli się z kąpieli w tunelu, ochłodzeni, słońce uderzyło znowu, jakby wymierzało im policzek. Była sobota - trąbiąca, brudna i chwiejna, a Iris wróciła do Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Buty na pierwszym piętrze

Lana i Fernanda były na zakupach. Dla kobiet po trzydziestce zawsze wiąże się to z odrobiną napięcia, czy są siostrami, czy koleżankami. Żeby zakupy były rzeczywiście przyjemnością, trzeba prawdziwego koleżeństwa, lekkości, gdy chodzi o wagę i cenę. To nie będą zakupy z Megan, z którą miały pewne utarte żarty, jak te z ciągłego gderania Lany na temat jej rozmiaru nogi, jej lewa stopa była wyraźnie, nieznacznie większa od prawej (40 czy 40,5? A może 41?); ze zwyczaju Megan, by kupować zawsze ciut za małe ciuchy, jako że właśnie zamierza zrzucić z pięć funtów (co w końcu nigdy nie następowało). Znały swoje słabości i wiedziały, kiedy lepiej nic nie mówić, a kiedy mogą się obie śmiać. Megan wiedziała, że Lana była niemożliwie szeroka w talii, której obwód bez względu na to, ile Lana ćwiczyła, czy ile schudła, zawsze wynosi dwadzieścia osiem cali, zawsze wynosił dwadzieścia osiem cali i zawsze będzie wynosił dwadzieścia osiem cali. Lana wiedziała, że Megan ma nieco wystające biodra i że nazywa je „póleczkami” („Mogłabym na nich serwować herbatę” - spora przesada). Biust Lany, pólki Megan, proste włosy Lany („siano”), irlandzkie loki Megan („szopa”) - to były trwałe elementy krajobrazu ich przyjaźni. Poza tym jeszcze dary od Boga: obie miały ładne, zgrabne kostki, coś, czego nie

kupi się za żadne pieniądze. Ale z Fernandą większe były i różnice fizyczne, i problemy finansowe... wprawdzie Lana nie wiedziała, ile Fernanda zarabia, ale na pewno niewiele więcej od Lany i nie może liczyć na pomoc rodziców w nagłych wypadkach, co powodowało sporą dysproporcję. Na zakupach z Fernandą Lana będzie musiała postępować bardzo ostrożnie.

Ich przyjaźń zaczęła się na balecie - tego styczniowego wieczoru, gdy Lana rozmawiała z Fernandą podczas dziesięciminutowej dezercji Rene. Trzy dni później Fernanda zadzwoniła do niej i zaproponowała recenzję dla „Divertissements”. Lana mało nie padła na miejscu, mówiąc jednocześnie, że tak, oczywiście, będzie jej bardzo miło zaistnieć w magazynie Fernandy, to jest zaszczyt i nie, honorarium w wysokości dwudziestu pięciu dolarów to nie jest żaden problem, dla „D” pisałaby za darmo, jakie jest jej zadanie? Nic fascynującego, jak się okazało. Pojawił się nowy program *Dance in America*, więc czy nie napisze czegoś o tańcu w telewizji? Raczej nie ten rodzaj tematu, który może stać się *tour de force*. Mniejsza z tym. Będzie w „Divertissements”. Przeszła kolejny etap.

Lana zrobiła z tego krótki esej porównujący stare filmy nieme z poruszającymi się obrazkami na wideo. Napisała o idealnych proporcjach czarno-białych zdjęć, o tym, że tancerze zdają się wyciosani z cienia i mgły - magiczne widziadła - gdy tymczasem w telewizji taniec przypomina porannosobotnie kreskówki (typu Hanna-Barbera *Magilla Gorilla*), płaskie i niepozostawiające żadnego wrażenia. Fernanda uznała tekst za „mocno pikantny”.

- Co to może w ogóle znaczyć? - pytała Lana Sama - „Mocno pikantny”?
- To znaczy, że tekst jest dobry, może lepszy niż się spodziewała.
Powinno ci to pochwlebiać.

Ale bardziej pochlebiał jej sposób, w jaki Fernanda dzwoniła do niej, żeby porozmawiać o spektaklach. No, na początku mówiły o spektaklach, potem o pracy (Fernanda, tak jak Lana, na co dzień trudniła się pracą edytorską), potem o tancerzach, w których Fernanda się aktualnie durzyła, potem ojciec, matka, brat, Cassandra, przeszłość. W kilka tygodni - już był marzec - były powiernicami.

Bez wątpienia Fernanda nieco przerażała Lanę. Lana wiedziała, że nie umywa się do Fernandy, która na uniwersytecie w Berkeley obroniła pracę doktorską na temat *Wizji Piotra Oracza* (Lana nigdy o tym nie słyszała i wyobrażała sobie jakiegoś chłopca z mułem). Fernanda zostawiła to wszystko za sobą, gdy przyleciała do Nowego Jorku na spotkanie w sprawie pracy i odkryła New York City Ballet. Przeniosła swoją uniwersytecką wieżę z kości słoniowej do zaczarowanego lasu baletu; swoje akademickie nawyki, swoją skłonność do przesiadywania godzinami w czytelni zastosowała do subiektywnego, ponętnego świata tańca. Doktorancki upór i silny egocentryzm dawały przerażające połączenie. Co miała jej do zaoferowania Lana, ze swoim licencjatem z dobrego zachodniego college'u i bezpośrednim, chłodnym spojrzeniem na scenę?

Właśnie to - swoje bezpośrednie, chłodne spojrzenie... na wszystko. Liczne, codzienne telefony uświadomiły Lanie, że to, co ona dawała Fernandzie, niewiele miało wspólnego z tańcem. Przyciągał ją raczej spokój Lany. I te miłe nawyki - pozostałość po jej wychowaniu typowym dla dobrze sytuowanej klasy średniej - wycieczki do Saksa, herbatki w Stanhope. Fernanda, schowana głęboko pod swoją powłoką obronną, pod tymi ciemnymi, grubymi włosami (rodzaj zasłony dymnej przed ostrzami upokorzenia i złego losu), wyczuwała ostrożność Lany w postępowaniu z innymi i jej dumę w tej ostrożności. Ta myśl, że Lana może

ochronić Fernandę przed Cassandrą i jej świtą, przed jej dzieciństwem i przed nią samą, dała Lanie nowe zrozumienie swojej pozycji jako Wrażliwej. Fernanda, odważna na akademii, była poza tym jagnięciem na trzęsących się nogach. Lana zaś była pasterką, strzegącą przed wilkami. I tak znalazły się u Bergdorfa w poszukiwaniu butów. Salon na pierwszym piętrze był zawsze jednym z ulubionych miejsc Lany. Ze swoimi śliskimi fotelami i nowoczesnymi sofami, wyściełany bogatym beżem był jak kabina w luksusowym statku kosmicznym, wciąż prawie taki sam jak wtedy, gdy przyjechała do Nowego Jorku z rodzicami pod koniec lat siedemdziesiątych (tylko Lana - Tom i Livia byli wtedy w college'u) i patrzyła, jak mama przymierza piękne jasnobrązowe, zamszowe buciki, nawet nie myśląc o cenie, wybierając nowe buty na obiad w La Grenouille, gdzie ojciec zrobił rezerwację na dwa miesiące wcześniej.

- W moim wieku mama nigdy nie musiała zastanawiać się nad pieniędzmi - powiedziała, oglądając parę turkusowych Manolo Blahniks na przecenie, dwieście siedemdziesiąt pięć dolarów, wciąż za dużo. To może być taki cios - odwracasz but, by zobaczyć naklejkę na podeszwie. Podnosi cię na duchu, miło zaskakuje cokolwiek poniżej dwustu pięćdziesięciu dolarów. Lana rzuciła okiem na Fernandę, żeby się upewnić, czy jej uwaga o matce nie brzmiała jak przechwałka. Ale Fernandzie nic się nie stało, pochylała się nad takim samym butem, różowym.

- Twoim zdaniem, co to jest za kolor? - spytała Lana, podając jej pantofelek. - Nie bardzo turkus, prawda?

- Myślę, że to turkusowiebieski. Bardzo *franco-russe*. Bardzo Petipa.

- Tak, to właśnie to. Rodzaj francuskiego niebieskiego, jak opalowy. Widziałaś kiedyś coś opalowego?

- Powiedz mi - zażądała Fernanda tonem potrzebne-no-we-dane. - Co to jest szkło opałowe?

- To rodzaj szkła produkowanego we Francji. Jest tego trochę w sklepie ze starociami obok mojego domu. Jest tylko kilka kolorów: niebieski, zielony, biały i chyba ciemny różowy. I ma ten połysk. Biały jest trochę jak jajko na twardo już obrane, ale jeszcze nienaruszone.

Trochę jak ty, pomyślała Lana, patrząc w twarz Fernandy w kształcie serca.

- Rzecz w tym, że takich kolorów nigdzie indziej się nie spotyka.

- Forma jest treścią - ucieszyła się Fernanda. - Muszę zobaczyć jakies szkło opałowe. Gdzie je dostaniemy?

- Może mają coś na szóstym piętrze. W sklepie z antykami. Możemy tam podejść. Ty naprawdę lubisz różowy. Czy to przez te czubki baletek?

- Tak, kocham różowy - odpowiedziała powoli i Lana czuła, że cieszy ją własna tajemniczość. Fernanda zabiegała o zainteresowanie, uwielbiała zwracać na siebie uwagę, ale właściwie nie czuła się dobrze, gdy była w centrum zainteresowania. Lana wiedziała wszystko o jej ojcu. Jak obiad kończy się zawsze rachunkiem, tak ich nocne rozmowy nieodwołalnie schodziły na ojca Fernandy. Był przymusowo ponętny, ujęła to Fernanda, przekraczał granice (werbalnie, nie fizycznie). Jako dziecko zawsze próbowała wygrać to, czego nie mogła wygrać. Innymi słowy nauczyła się, jak wygrywać na jego zasadach, jak być równie ponętną i uroczą, i jak rzucać bez ostrzeżenia. Dla Fernandy wszystkie związki, które nastąpiły potem, były rodzajem niebezpiecznego tańca na krawędzi. Upaść czy zepchnąć?

Upadła raz, jako dwudziestoparolatka, w podstarzałe ramiona profesora od angielskiego. Jego mieszkanie było zapchane przepelnionymi popielniczkami i przekwitłymi or-

chideami, tkwiąc chwilowo w tej fazie zdechłych kwiatów i brudu. Z pewnością był erudytą i Lana mogła łatwo wyobrazić sobie, jak uduchowione prowadzili dysputy, zanim wślizgiwali się jedno za drugim do sypialni, gdzie wdmuchiwał dym papierosowy w ciężkie, mokre pocałunki i kończył w pięć minut. (Ponieważ Fernanda nie mówiła, czy był dobry w łóżku, czy nie, Lana wydedukowała, że nie był). W każdym razie Fernanda zaszła w ciążę. I kiedy zadzwoniła, żeby mu powiedzieć (Lana widziała oczyma wyobraźni ten zryw odwagi w budce telefonicznej na kampusie), westchnął w słuchawkę zimnym i umęczonym głosem i stwierdził, że przecież i tak musiało się to już skończyć i że zapłaci za „procedure” - ten tchórzliwy eufemizm, to słowo bez życia od mężczyzny, który rozpisywał się o etyce u Szekspira. Dwudziestosiedmioletnia Fernanda, wciąż mieszkająca jeszcze z rodzicami, nie upadła więcej. Opuściła Kalifornię, zostawiając za sobą swoje ciało, fale i słońce, a do Nowego Jorku przywiozła tylko mózg. Co do serca, namiętności traciła na piękno poza swoim zasięgiem: na młodych Apollinów baletu, których podziwiała z balkonu i żonatych mężczyzn z programu Dorosłe Dzieci Alkoholików. Prawdę mówiąc nie miała właściwie podstaw, by tam chodzić (jej rodzice nie tykali alkoholu), ale i tak chodziła, czując się w tej wspólnotce bólu jak w domu. Fernanda miała małą, szeroką stopkę, o wysokim, pięknym podbiciu, z którego była dość dumna. Nieraz zrzucała bucik, żeby pokazać Lanie te palce, pochwalić się podbiciem, łukiem, którego mogłaby pozazdrościć każda tancerka. Była to jedyna część jej pulchnego ciała, która przypominała o jej miłości do tańca, i jedyna, na którą wydawała pieniądze, dużo pieniędzy. Miała czarne, zamszowe archesy, sandały od Yves Saint Laurenta i parę zielonych, satynowych pantofelków na płaskim obcasie

od Delmana z kokardkami ze strasów. Teraz z miłością patrzyła na jasnoróżowe blahniki.

- Pasowałyby ci do tego jasnoróżowego kostiumu - zauważyła Lana, oferując zachętę, gdyby przypadkiem była potrzebna. - Możesz je przymierzyć tylko dla zabawy. A jeśli musisz je mieć - tu Lana zniżyła głos do szeptu znawcy - możesz otworzyć kredyt i dostać dziesięć procent zniżki za pierwszy dzień. To by wtedy było...

- Dwieście czterdzieści osiem dolarów.

- Aha. Rzecz jednak w tym, że zamszowy róż przyciąga brud, więc nie są na co dzień.

- I ten obcas jest dla mnie za wysoki.

- Teraz, kiedy to powiedziałaś, przyszło mi do głowy, że nigdy nie widziałam cię w niczym wyższym niż trzy cale.

- Dwa i pół, trzy cale to dla mnie idealna proporcja. Ciut wyższe i psuje się linia mojej kostki.

Lana podumała nad różowym pantofelkiem, po czym zmierzyła obcas.

- Ze cztery cale. Ale tak naprawdę wszyscy przycinają sobie blahniki.

Czytałam o tym w „Timesie”.

- Hmm. Może rozejrzyjmy się jeszcze, a potem zdecyduję, czyje przymierzę, czy nie.

Fernanda może miała mniej pieniędzy niż Lana, ale jeśli podjęła już decyzję, nie spoglądała za siebie. Lanę dręczyły jednak wątpliwości co do tego różu. Tamten kostium nie był w najlepszym dla Fernandy kolorze.

Do jej śnieżnobiałej cery, zielonych oczu i czarnych włosów przetykanych srebrnymi nitkami pasowałyby mocniejsze barwy - kobaltowy niebieski i malachitowy zielony, w odcieniu fuksji. Przodkami Fernandy byli rosyjscy Żydzi. Powinna być odziana w kolory klejnotów Szeherezady. Tymczasem preferowała pastele, ulotne i bezcielesne, róż, brzoskwinia, zieleń natki selera odpowiednie dla selerowego wyglądu tancerki.

Obeszły powoli salon, zatrzymując się przed każdą półką, oceniając buciki płaskie i na koturnach, pantofelki i czółenka, Ferragamo i Chanel.

- Buty są jak szminka - obwieściła Fernanda. - Cokolwiek dzieje się pomiędzy, twoje stopy i usta mogą być zawsze piękne.

- Pamiętam swoją pierwszą szminkę - wcięła się Lana. - W liceum. Uważałam, że to najwspanialszy kolor świata. To był rodzaj zimnej brzoskwini. To musiało być straszne, ale ja myślałam wtedy, że zmieni moje życie.

- I zmieniła?

- A skąd! Byłam wciąż sobą, tyle że z okropną szminką na ustach. Ale to, co naprawdę zapamiętałam, to te możliwości żyjące w małym sztyfcie.

- To zabawne, że użyłaś słowa „żyjące” - zamyśliła się Fernanda, biorąc do ręki mały, czarny pantofelek z obcasem od Sabriny. - Zawsze uwielbiałam sposób, w jaki szminka wynurza się z tej ciemnej tuby i zostawia ślad na ustach.

- Pocałunek.

- Albo plama. W szmince tkwi grzech pierworodny. Wąż wijący się po drzewie i usta układające się w jabłko.

- Otóż to! Wąż też się tak wije.

- I dlatego błyszczak to taka nuda - powiedziała Fernanda. - Lepkie paskudztwo w małej plastikowej... jamce. Wsadzasz w to palec. -

Wzdrygnęła się przesadnie, otrząsając małe i białe palce z niesmakiem.

- A ty, pamiętasz swoją pierwszą szminkę? - pomogła jej Lana. Zasyły się na sofach w kącie salonu, obok butów do golfa za pięćset dolarów, na które nikt nie chciał patrzeć. Fernanda, rozsiadając się na miękkich poduszkach, założyła nogę na nogę, żeby pokazać chociaż jedną ze swoich filigranowych kostek.

- Pierwszą szminkę dostałam od ciotki Sady, siostry mojego ojca. Zatrzymała się u nas po zakupach w mieście. Miałam trzynaście lat. Odwiedziła I. Magnin, dużo naku-powała i podarowała mi taką małą próbkę Elizabeth Arden. Wiesz, moja mama nigdy nie zabierała mnie na zakupy. Nigdy.

- Coooo? - spytała Lana z żartobliwym zdziwieniem, kiwając się lekko na fotelu. Ale tu nie było żartów. Fernanda wcale się nie zgrywała.

- Mama nie miała prawa jazdy i nigdy nie opuszczała domu. Lana utkwiała oczy w Fernandzie i wyprostowała się nieznacznie, żeby pokazać, że słucha uważnie.

- Myślę, że nigdy nie chciała wychodzić za mąż, a już na pewno nie wiedziała, co począć ze mną i z moim bratem. Prowadziła takie papierowe życie. Była królową w domu lalek. Mój ojciec był jej pośrednikiem ze światem. Nie widziałam nigdy, żeby sama kupiła cokolwiek.

- Fernando... to niesłychane.

- Więc kiedy Sada przywiozła te pakunki, zrobiła na nas wrażenie.

Kobieta w świecie, wydająca pieniądze na samą siebie. I ta próbka, to dla niej było nic, ale dla mnie była taka piękna i ważna. Pamiętam, jak mama obserwowała nas z pogardą. Jakbyśmy były głupie, sądząc, że cokolwiek z tego ma znaczenie. Szminki, perfumy, róż. Tylko westchnęła, jednym z tych jej westchnień mówiących „to strata czasu”. Czas był wszystkim, co do niej należało.

Lana widziała kiedyś zdjęcie tej matki: siedzącej przy kuchennym stole, nagie ramiona, nieopalone, białe ciało, jak coś skryte pod pniem.

Niekochająca - choć kochana przez małą Fernandę, gniewną iskrę ognia. Nigdy nie wziąć córki na zakupy! To groteskowe.

- Fernando, nie wiem, co powiedzieć. Bardzo żał mi tej dziewczynki. Często po takich wyznaniach zielone oczy Fernandy wypełniały się łzami, a głos zaczynał drżeć. Ale nie dziś. Przyjęła rzeczową postawę, odgradzona od wspomnień otaczającym ją luksusem, złotymi obiciami i ścianami pięknych, nowych butów, pojedynczych Kopciuszków czekających na swoją parę. Przygładziła włosy. Lana postanowiła zagrać na weselszą nutę.

- Pamiętasz kolory?

- O, tak. Były dwa. Jeden koralowy, nazywał się Rafa Koralowa, a drugi jakby biały. Myślałam, że umarłam i poszłam do nieba. Nazywał się Śnieżynka.

- Biały? Powinien się nazywać Dracula! Fernando, nie malowałaś się chyba na biało?

- Wszyscy się tak malowali.

- I nosiłaś te buty go-go? - ciągnęła Lana, igrając z ogniem, w sposób, który niechybnie zadziwiłby Megan.

Fernanda przyjrzała jej się.

- I założę się, że znałaś cały tekst *These Boots Were Made For Walking*. Fernanda wykonała jeden ze swoich nagłych zwrotów i powiedziała:

- Chyba jeszcze raz rzucę okiem na te różowe buty. Wstała z poduszek i zostawiła Lanę zanurzoną w ciepłych wgłębieniach fotela.

Lana podreptała jednak za Fernandą aż na drugą stronę salonu.

- To urocze, że pamiętasz nazwy tych szminek - powiedziała plecom Fernandy. - Może Śnieżynka to był znak.

Śnieżynka to duża rola w *Dziadku do orzechów*, oszałamiający debiut.

Fernanda trzymała w ręku różowy but i koncentrowała się na nim.

- Muszę przemyśleć to, co powiedziałaś - powiedziała do buta.

Lana poczuła okropne aj-aj. Wiedziała, że coś się stało na sofie. Może powinna była podtrzymać rozmowę o matce Fernandy, a nie zmieniać temat tak od razu. To zawsze była trudna decyzja - kiedy zamknąć bolesny temat. Kiedy zostawia się go zbyt szybko, trywializuje się wszystko. Lana stała, czekając, co teraz powie Fernanda.

- Nabijałaś się ze mnie, prawda? Cała ta gadka o białej szmince.

- Nie, nie nabijałam się.

Teraz Fernanda spojrzała na Lanę.

- Nie rozumiem, dlaczego śmiałaś się ze mnie, jak opowiedziałam ci o mojej matce. Skoro nigdy nikomu o tym nie mówię.

To było jak dostanie wielkiej, czerwonej jedynki. Zamiast chronić Fernandę, zrobiła coś zupełnie odwrotnego - zraniła ją. A jednak czuła, że wszystko to było niesprawiedliwe. Tak, postanowiła potraktować zwierzenia z przymrużeniem oka, ale salon obuwniczy u Bergdorfa to nie było odpowiednie miejsce na terapię szokową. Fernanda czekała, wciąż trzymając nieodpowiedni dla niej różowy kapeć.

- Fernando - zaczęła Lana delikatnie, robiąc krok w jej stronę - wiesz, że rozumiem wagę tego, co mi powiedziałaś. I jeśli zbyt szybko przeszedłam nad tym do porządku dziennego, przepraszam. Ale jeśli chodzi o szminkę, po prostu się z tobą droczyłam.

Zamilkły obie. Fernanda odłożyła but na szklaną półeczkę, a Lana wpadła na pomysł, jak wygrać tę ciszę.

- Fernando - oświadczyła - ty nie umiesz się droczyć. To rodzaj okazywania uczuć, ale musisz się tego nauczyć.

Moi rodzice kładli duży nacisk na to, żebyśmy się nauczyli droczyć. Czy mam rację? - a że wiedziała, że ma rację, dodała przesadnie złośliwym tonem: - Fernanda nie umie żartować. Fernanda musiała się uśmiechnąć.

- Rzecz w tym - kontynuowała Lana - że można przesadzić i żarty stają się niebezpieczne, jak cokolwiek innego, ale nie uważam, żebym przesadziła.

- Neeeeee - przyznała Fernanda, jej twarz rozjaśniła się, a serce wróciło na jej oblicze w kształcie serca. - Ty nigdy nie przesadzasz.

Lana przyjęła te słowa z powracającą dumą, ale nie umknęło jej słówko „nigdy” - poczuła lekkie ukłucie. Wiedziała, że to nieuniknione: pewnego dnia zawiedzie Fernandę. Wiedziała też, że przyczyna przyszłych rozczarowań tkwi w samej Fernandzie... jak cierń.

- Chodź, zobaczmy szkło opałowe.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Opowieść o koniu

Iris miała na sobie szare getry, szarą wełnianą bluzę zapiętą aż po szyję i błękitną czapeczkę robioną na drutach. Jej nowiutkie buty do biegania były jeszcze absurdalnie białe jak pasta do zębów. Marzec - czyli zima, jak na razie, bez śniegu.

W Gramercy Park bieganie było zabronione między dziewiątą a piętnastą, co doskonale jej odpowiadało. Lubiła biegać pod koniec dnia - o szóstej, siódmej, czasem nawet o ósmej, żeby rozprostować kości. Dzisiaj, w niedzielę, była gotowa już przed piątą. Właśnie biegnę, żeby biec, myślała, przecinając Dwudziestą Ulicę. Przekreśliwszy w zamku wielki, srebrny klucz, pchnęła bramę z kutego żelaza, wślizgnęła się do środka i zatrzasnęła ją za sobą. Głośnie klik, gdy brama się zamykała, miało w sobie coś z nastroju więzienia Sing Sing.

Trzeba było starannie zamykać te wrota - usłyszeć, jak zamek zaskakuje - co bywało trudne do zrobienia, gdy ktoś, kto nie miał klucza, kto nie wiedział, że to prywatny park dla tych, którzy płacili składki, kto miał zamiar tylko przysiąść w tym uroczym miejscu na dziesięć minut, chciał wejść za tobą, a ty musiałaś powiedzieć „nie”. Iris czuła się wtedy nie w porządku. Uważała, że ma obowiązek tłumaczyć: „Trzeba też mieć klucz, żeby stąd wyjść” - ro-

dziej sprawiedliwienia. Ludzie, którzy mimo to wślizgnęli się, wpadali w pułapkę. Widywała ich, jak krzyczeli przez całą ulicę do odzwiernego z Gramercy Park Hotel albo gapiących się z nadzieją przez pobite okienka pustej szopy dozorczy, aż w końcu poddawali się i podchodzili do nieznajomych ludzi w parku. Iris wypuściła już wielu ludzi - wdzięcznych, niespokojnych, złych - na zewnątrz przez tę ciężką bramę. Nie miało tu znaczenia to, że Nowy Jork jest miastem przywilejów przyznawanych i odmawianych, o czym nowojorczyki wiedzieli aż za dobrze i w większości to akceptowali. Jej koleżanka popłakała się w sklepie Dean & DeLuca. Były wakacje i ta kobieta - szanowana redaktorka książek o sztuce, która zarabia grosze - widziała młode żony wypełniające koszyki mięsem, serami, ciastami i kawiozem, nabijające rachunki na setki tylko tym jedzeniem, a ona stała pośród nich, dzierżąc marny pęczek marchewek - dla niej: spory wydatek - łzy w oczach i wyszła. Uroczy, mały Gramercy Park wywoływał podobne efekty. Ludzie czuli to żelazne ogrodzenie wokół zielonej trawy - czuli je aż za dobrze. Jeśli ktoś znajdował się blisko bramy, Iris szła dalej, aż do następnej bramy (były cztery) i tam dopiero wchodziła do środka.

Iris zapisała się do pobliskiego centrum sportu, zbyt drogiego, ale wygodnego i czystego. Chodziła tam na siłownię dwa razy w tygodniu, pięćdziesiąt minut, których nie znosiła, ale do których jednak się zmuszała, bo lepsze to niż rozlazła sylwetka czy oklapnięte ramiona (ramiona się starzeją, ale nie muszą przecież starzeć się tak szybko). Ten kierat był jednak okropnie nudny. Lubiła za to uczucie biegania na świeżym powietrzu. Lubiła udawać, że jest koniem w doskonałej formie. Może to było głupie, ale czuła się wtedy znów małą dziewczynką. Wracały te dni, kiedy jeszcze nie miała konia

i razem z siostrami zmieniały odległą część podwórka w wybieg, ćwicząc skoki przez przeszkody - miotły ułożone na przewróconych krzesłach ogrodowych, kartonowe pudła - i urządzały pokazy koni. Kłusowały, cwałowały i skakały. Górna część ich ciał to były wciąż one (w rękach wyimaginowane lejce), ale dolna była koniem. Jak centaury. Jeśli zmieniałaś konia, musiałaś zmienić styl galopu, chociaż trochę. To była świetna zabawa, tym bardziej, gdy udało ci się wysoko skoczyć. Kiedy Iris dostała prawdziwego konia Britomarta, wiedziała, że może przestać bawić się w konie, ale nie od razu przestała. To były dwie różne rzeczy.

Bieganie na ćwiczenia do Gramercy Park, gdy polepszyła jej się kondycja, sprawiło, że wróciły wspomnienia. Dreszcz poczucia siły, radość z mijanych kawałków ziemi, wolny umysł. Zaczynała biec zupełnie bezmyślnie i nagle była tu i teraz - miejska ścieżka obsadzona po obu stronach kwiatami, otaczająca ją pora roku - choć często problemy minionego dnia nie chciały jej zostawić w spokoju, techniczne niuanse przy pracy nad abażurem biegły razem z nią. Ale gdy wchodziła w rytm biegu, wcale o tym nie myśląc, pojawiały się rozwiązania, nowe pomysły do wypróbowania następnego dnia. To było zadziwiające. Kiedy indziej łapała się na psychicznym przygotowywaniu do jakiegoś trudnego telefonu, bronieniu przed zażaleniami niecierpliwego projektanta. Rozmowy te zaczynały się zawsze sarkastycznym i ostrym tonem Iris, co dawało jej chwile satysfakcji. Ale po każdym kółku w parku miękła i jej odpowiedzi zaczynały być pełne taktu, racjonalne i spokojne, a niepokój malał.

Prawie każdy bieg kończył się zmianą Iris w Britomarta. - Dalej, Britty - mówiła sobie pod nosem, gdy czuła, że brakuje jej sił. - Dasz radę. - A jeśli dzień był wyjątkowo

piękny, a ona czuła się wyjątkowo silna, marzyła o podniesieniu poprzeczki, poskakaniu przez coś, albo przynajmniej o galopie. Ale wtedy ludzie pomyślą, że zrobiła sobie coś w nogę, albo może będą wiedzieli, że bawi się w konie. (Wiedzieliby? - zastanawiała się). Więc tylko kłusowała, co wychodzi na to samo co jogging, i zadowalała się podniesieniem brody - Britomart się niecierpliwi. Bywały dni, kiedy miała mało energii i wtedy musiała wciąż powtarzać: - Dalej, Britty, dalej. - I nagle miała już czterdziestkę.

To była jej własna sielanka, jej własna opowieść o koniu. A kiedyś miała całą półkę pełną takich opowieści, które czytała wielokrotnie. Gdzie dziś były te książki? *Black Beauty. Come on Seabiscuit. Coppefs Chance.* Zawsze o koniu lub o dziewczynce walczącej z przeciwnościami losu i wygrywającej. W jej dzieciństwie było dwóch wielkich ilustratorów. Paul Brown, który szkicował tuszem - długie, pośpieszne pociągnięcia - i C.W. Anderson, który widać musiał używać miękkiego ołówka z dodatkiem słonecznego światła. Były to tak delikatne rysunki, że chciałaś dotknąć tych jedwabnych pysków, objąć te piękne szyje. Iris przepadała za rysunkami Andersona, uwielbiała to, że każdy koń miał swój charakter (u Browna wszystkie były podobne - wszystkie wydymały chrapy). Najbardziej lubiła książkę Andersona *Strach przed jazdą* o dziewczynce, która po bolesnym upadku rezygnuje w ogóle z jazdy konnej. „Zły koń zabrał jej to, ale dobry odda jej wszystko”. Iris zapamiętała to zdanie wypowiedziane w książce przez przystojnego pana Jeffersa. Dziś było dla niej jasne, o czym naprawdę są te wszystkie opowieści o koniach i co ma symbolizować zły koń. A jednak nie umiała myśleć o Erichu jak o złym. Nie wyszłaby za złego mężczyznę.

- Och, Iris, jesteś taka stoicka - mawiali jej znajomi, jakby to był irytujący nawyk. - Może powinnaś z kimś

O tym porozmawiać. Zawsze z „kimś”.

Iris wiedziała aż za dobrze, o co im chodzi. Mówiąc „stoicka”, mieli na myśli „oziebla”. A nawet jeśli mieli rację? Nie chciała wpadać w wir wzajemnych oskarżeń. Wołała też nie rozmawiać o Marku, pierwszym facecie po rozwodzie, na którym, jak się zdawało, zależało jej, a raczej po prostu: zależało jej. O, postawiła na złego konia. Twórca filmów dokumentalnych w drapiącej, tweedowej marynarce, przyszedł do mieszkania Iris, żeby zebrać materiały do PBS show o nowojorskich projektantach, w ramach programu Sister Parish (Iris pojawiła się na całe dziesięć sekund). Żartował z Iris, nazywając ją „panienką z dobrego domu zabierającą się do pracy”, bo wytwarzanie abażurów wydawało mu się przedziwną odmianą ciężkich robót. Iris prężyła się jak kot pod dotykiem tego ciepła, zachwycona jego żartami. To z kolei zachwyciło jego. Tak przytulnie: jego jasne piwne oczy wtopione w jej, ciemno-piwne (prawie zielone), oczy, które ludzie zawsze podziwiali. Czowała się zauważona. A w tym mieście możesz pozostać niezauważona całe wieki. Owszem, nie był tak poważny jak Erich, ale może, myślała, powinna spróbować czegoś mniej poważnego. Wszyscy jej tak zawsze mówili.

i w pewnym stopniu był podobny do Ericha - szybki, wymowny, wysmukłe dziecko Wschodniego Wybrzeża - co czyniło go tym bliższym. Uznała po prostu, że zrozumiał, jaką jest kobietą i czego potrzebuje. W końcu nie byli już nastolatkami. Miała wtedy trzydzieści sześć lat, on trzydzieści siedem.

A potem nie był już taki miły. - Powiedz mi - spytał, podnosząc martini podczas niedzielnego drugiego śniada-

nia. - Jak rozpoczyna się poniedziałkowy ranek w tych galerach? - I nie był też zbyt hojny, zawsze zabierał ją tylko na koktajle i spotkania promocyjne, które nic go nie kosztowały. A każda kolejna randka nie różniła się niczym od pierwszej, zawsze to podenerwowanie, jakby mogła mu się nie spodobać, kiedy on się już pojawi, co zwykle następowało późno. Nigdy nie zrobiło się bezpiecznie. A jednak Iris dawała mu kredyt zaufania, współczując mu, że ma potrzebę dogryzania innym, martwiąc się, że on czuje się malutki, bo nie może więcej wydawać.

Deena, od początku podejrzliwa, strzeliła: - Czy ty aby jesteś pewna, co to za facet?, a Iris poczuła się urażona, za siebie i za Marka. Po co miałby gej w Nowym Jorku w latach dziewięćdziesiątych fatygować się i spotykać z kobietą? Ale Deena widziała coś, czego Iris nie umiała zauważyć - że Mark należał do mężczyzn łatwo osiągalnych. Gdy zadzwoniła do niego po czterech miesiącach i usłyszała młody męski głos, uświadomiła sobie, jak łatwo był osiągalny. Zamroczyło ją. Przeraziło. Tak głupio mu zaufała.

Nawet dziś, myśląc o tym po latach, Iris zachnęła się na swoją głupotę. Ale z pewnością lekcja nie poszła na marne. Nie będzie robić tego, co czyni tak wiele innych kobiet

- tułać się od jednego niepewnego faceta do drugiego. Znajomym, którzy chcieli ją wyciągnąć na miasto („spróbujemy nowy szwedzki stół, im nas więcej, tym weselej”) mówiła „nie” i kręciła głową. Między wami może być szalona chemia, a potem orientujesz się, że to ostatnia świnia.

Możecie mieć wiele wspólnego, ale nic nie zaiskrzy. Na Manhattanie, wśród tylu milionów ludzi, można prowadzić podwójne albo i potrójne życie. Nigdy nic nie wiadomo. Iris zaczęła powtarzać sobie swoją małą mantrę, która jakimś dziwnym sposobem sprawiała, że nie czuła się już taka samotna: „Jeśli jest mi pisany, znajdzie mnie”.

- Dalej, Britty - szepnęła, biegnąc szybciej, starając się skończyć bieg w jak najlepszym stylu.

Na ostatnim odcinku sprint był ciężki, ale oczyszczał umysł ze wszystkiego.

- Wystarczy - powiedziała sobie, gdy przebiegła ostatnie cztery kółka. Szła jeszcze chwilę, żeby ochłonąć, potem usiadła na ławce obok szopy stróża, niegotowa, by wejść do środka. Było już dłużej widno. Sobotni, szary wieczór, ani ciepło, ani zimno, jak większość wiosennych dni, które aż kuszą do konnej przejażdżki, choć ziemia jeszcze nie rozmarzła i będzie za twarda dla końskich nóg. Pamiętała, jak czuli się z przyjaciółmi zamknięci na krytym wybiegu, truchtając w kółko; jak ta pierwsza szklistość w powietrzu wabiła ich do rezerwatu, gdzie kończyło się to zwykle spychaniem koni ze ścieżek, bo te wciąż były jeszcze zamrożone, lodowe koleiny, niektóre wypełnione starym śniegiem, który trzeszczał pod nimi jak styropian; a ich konie - niezbyt zadowolone z tego spychania w ostre nagie gałęzie - ciągnęły za cugle i uparcie wracały na utarte ścieżki. To przedziwne uczucie, ta bezradność wobec przestrzeni, gdy potężny koń rwie się pod tobą w ślepym buncie. Iris oparła głowę o ławkę i zapatrzyła się na wysokie, nagie gałęzie Gramercy Park, zimny baldachim konarów - nagich, wspaniałych i głuchych na wszystko. Może poza zmierzchem.

- Sudek - westchnęła.

We wrześniu kupiła sobie olbrzymi album z fotografiami Josefa Sudeka - poety Pragi, jak go nazywają - kupiła go w jakimś transie. Kosztował prawie sto dolarów, ale musiała go mieć po tym, jak przekartkowała album i trafiła na stronę z drzewami otulonymi śniegiem. Czarne gałązki powyginane przepysznie, drobniutkie jak atramentowe

nerwy wzrokowe chmur. Czują, że tonie w tym zdjęciu, ta tęsknota w piersiach, niemal seksualna i pragnienie, by połączyć się ze światem. A potem spojrzała na datę i była prawie w szoku, że to 1955, nie początek wieku, jak oczekiwała, ale ledwie trzy lata przed jej narodzinami. To ją ujęło. Zawsze będzie ktoś mojego gatunku, pomyślała, choćby tylko pojedyncze osoby, wrażliwe na ducha rzeczy. W późnych pracach Sudka nie było ludzi; te zdjęcia były wypełnione szklanymi oczami i ciszą koloru sepii, parą na szybie i pustymi ławkami. I gałęziami.

Iris wyciągnęła dłoń w górę, nakładając rozczapierzone palce na pełnię prześwitującą zza drzew.

Mogłabym zrobić abażur z gałęzi.

Jeśli w środku byłaby przezroczysta żarówka, rzuciłby na pokój cienie jak zjawy, duchy. Ale nie może wyglądać jak souvenir z Wisconsin. Musi być wyciszony, tajemniczy, splecione żyłki i pustka, taki jak teraz. Mogę spróbować. Jeśli komukolwiek w ogóle może się udać - Iris zaczęła grzebać w kieszeni w poszukiwaniu klucza - to mnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Honey West

Lana była w bibliotece. Zbierała materiały do artykułu o *Męczeństwie Św. Sebastiana*, fantazji literacko-muzycznej Debussy'ego i D'Annunzia z 1911 roku. Była to sztuka o pogańskich cudach świętego, który został przywiązany do pala i naszpikowany strzałami. Była to także słynna katastrofa teatralna - pięć godzin. Ohyda, myślała Lana. Biedni ci paryżanie. Szczęśliwie wersja koncertowa miała mniej niż godzinę. Ale z kolei i czytanie libretta było swoistą odmianą tortury.

„Pomnijcie gwiazdę, którą przybito do żywego serca niebios”.

Strzały maczane w absyncie, ekstazy fin de siecle'u, pisanina kapiąca krwią i winem. Nie był to gust Lany. Cierpiała na specyficzną bibliotekofobię, niezmiennie od zawsze - ta pokusa, żeby po prostu wyjść, a jednocześnie wiesz, że nie możesz, bo masz jeszcze dużo do czytania, jeszcze olbrzymią stertę i jeszcze ksero. I co właściwie było nie tak z tymi światłami w bibliotekach? Odurzają cię jak opary laudanum. O ten artykuł poprosiła ją New York Philharmonic. Zgodziła się upojona pochlebstwami, choć wiedziała, że dają jej mało czasu, zaledwie tydzień, bo muszą to mieć gotowe na czerwcowy program, sześć tygodni naprzód. Lana powtarzała sobie, że to będzie dob-

ra gimnastyka umysłu. Szkoda tylko, że nie miała najmniejszej ochoty na gimnastykę. Był rześki sobotni poranek i marzyły jej się zakupy. Potrzebowała nowej torebki.

„Celujcie dobrze. Jam jest celem waszym”.

Nie zniosę ani słowa więcej, zdecydowała Lana, zerkając na nowe komputery z bazą czasopiśmienniczą. Stały w drugim kącie czytelnicy zupełnie wolne. Były dwa razy większe od komputerów katalogowych i miały olbrzymie niebieskie ekrany, a nie małe szare. Ułożyła swoje książki w stosik, żeby nikt ich nie sprzątnął, i skierowała się w tamten kąt z dobrym pretekstem. Zobaczmy, co tu się właściwie dzieje. Usadowiła się przy komputerze, rozejrzała, czy aby nie ma w czytelnicy kogoś znajomego, i w okienku „autor” wklepała „Moore, Sylvie”.

Nie rozmawiała z Sylvie od tamtej piątkowej herbatki w październiku, dokładnie pół roku temu, gdy Sylvie, cóż, co właściwie wtedy zrobiła Sylvie? Wybuchła? Wywiesiła białą flagę? *Męczeństwo Sylvie!*

Lana myślała bardzo dużo o tamtym spotkaniu. Przeanalizowała to z Samem, potem z Megan przez telefon i uznała wtedy, że po prostu dotarli z Sylvie do kresu swojej przyjaźni. A może raczej „znajomość” była bardziej odpowiednim słowem. Bo właściwie nie były nawet prawdziwymi przyjaciółkami, a tylko dwiema bystrymi kobietami, które razem czują się jeszcze bystrzejsze. Lana nie wiedziała nic, jak sobie to później uświadomiła, o stosunku Sylvie do dzieci. Ani w ogóle do wszystkiego, co jest w życiu naprawdę ważne. Nie wiedziała właściwie nawet, czego Sylvie oczekiwała od swojej pracy. Widziała, czego chciał Max: Sylvie w kolorowych magazynach. A co z Makssem? Jeśli Sylvie w ogóle o nim wspominała, przybierała sprośny ton sugerujący, że niby są taką gorącą parą. Czemu potrzebowała takiego tonu? Z czasem Lana zaczęła

podejrzewać, że nigdy nie rozumiała Sylvie, że w Sylvie była jakaś słabość, może nawet masochizm, który zmuszał ją do zachowywania się tak, że inni oddawali jej z nawiązką. Jakby to była gra, w którą Sylvie gra nie pierwszy raz, gra, której nie żał jej przegrywać. Czy to normalne - osoba, którą bawi przegrana? Lana uważała się za znawcę charakterów, ale wobec niej była bezradna. Co Lana powiedziała jej wtedy? Coś jakby: - Oni nie chcą moich tekstów. - W tym zdaniu kryła się pewna możliwość i Sylvie obróciła ją przeciw sobie jak ostrze noża. „Jam jest celem”. - Och, Sylvie - myślała Lana na głos - za nic nie chciałabyś tego nudnego kawałka o D'Annunzio, choć to tekst w moim stylu. Nawet mnie nie chce się tego robić.

Cokolwiek się stało w tej psychodramie, Sylvie nigdy już nie zadzwoniła, a Lana po zostawieniu trzech wiadomości musiała uznać jej sugestię. Albo raczej stwierdzenie. W Nowym Jorku mówi się: „Brak odpowiedzi też jest odpowiedzią” - wielkomiejski komunał. A jednak Lana tęskniła za Sylvie. Sylvie była taka zabawna z tym swoim przedziwnym umysłem. I choć ich znajomość nie należała do zupełnie bezproblemowych, to jednak była łatwiejsza od przyjaźni z Fernandą, która wciąż pozostawała niepewna własnej wartości, a jej potrzeby emocjonalne, z początku tak nieśmiało, w ciągu tych czterech miesięcy od ich poznania przepoczwarzyły się w potężne prawa przyjaźni. Fernanda oczekiwała niemal liturgicznego wsparcia, często zamykając swoje dzienne zwierzenia i demaskacje pytaniem: - Czy jestem złym człowiekiem, że tak czuję? A Lana odpowiadała (powtórka z *Prawa i porządku*): - Nie, nie jesteś złą osobą.

Co gorsza, gdy Lana i Sylvie mogły rozmawiać o facetach z podobnej perspektywy (w końcu każda miała swo-

jego), Fernanda udawała, że Sam nie istnieje. Przy jakiejś okazji Lana chciała, żeby ze sobą porozmawiali - obiad przed koncertem - Fernanda unikała spojrzenia Sama. Nic trudnego, jeśli tylko wykona się odpowiedni taniec nieustannego poprawiania włosów. Sam, żując pokornie, głównie spoglądał na Lanę, a ona siedziała przerażona i sparaliżowana, pionek między królami.

Komputer był jednak powolny - szukał, mała, migająca klepsydra - nagle błysnął szaroniebiesko i z otchłani wyłoniła się lista - brukowce Sylvie z ostatniego półtora roku.

Hmmm. Jej pierwsze lekkie kawałki, włącznie z tym dla magazynu „New York”, który zainteresował „Vogue”. Potem ciurkiem trzy teksty dla „Vogue”, zaczynając od artykułu o Judy Davis. Lana już go знаła. Był dobry. Historia Sandry Bullock - trochę wymuszone, ale w końcu czy ktokolwiek byłby w stanie zrobić cokolwiek sensownego z Sandry Bullock? I wreszcie tekst o Jennie Elfman. Lana nie widziała jeszcze tego tekstu (i nie cierpiała z tego powodu - gadu-gadu o słodkich idiotkach). No i tyle dla „Vogue”.

A to co? Dwa ostatnie artykuły nie miały nic wspólnego z aktorkami. *Zapachy i wrażliwość*, magazyn „House & Garden”. Było to opisane jako: „Ogród literacki - perfumy, pokoje pełne zapachów i słodkie wonie kwiatowe w opowiadaniach skandalizującej, francuskiej pisarki Colette”. Lana pamiętała, że Sylvie uczestniczyła kiedyś w zajęciach o francuskich winach. Ale kiedy stała się ekspertem od Colette?

Herbata i sympatia, „Glamour”. „Dlaczego kobiety nie zabierają mężczyzn na herbatę? Autorka twierdzi, że to mężczyźni są idealnymi kompanami do herbaty, seksownymi i współczującymi”. Bingo! Może to i nieco narcystyczne, ale Lana była pewna, że to jest właśnie przytyk do niej.

To zadziwiające, że dotąd nie spotkały się jeszcze nigdzie przypadkiem, zakładając, że Sylvie nie przestała chodzić do teatru. Nie żeby Lana chciała ją spotkać. Gdyby doszło do takiej konfrontacji, byłaby bezradna. W takich sytuacjach czuła zawsze taki sam paraliż: jakby puchła jej twarz, a powietrze dookoła niej kamieniało, zamykając ją w sztywnej, zażenowanej postawie. Lana wiedziała, że nie nadaje się do żadnych konfrontacji. Mogła być twarda w biurze, ale to była przecież jej praca - walczenie o swoich pisarzy (a czasem z nimi, kiedy na przykład umawiała się na tysiąc pięćset słów, a oni przynosili jej trzy tysiące). Jako krytyk - na kartce - mogła z zadowoleniem podjąć walkę. Ale osobiście, szczerze mówiąc, niezbyt ją cieszyła walka o swoje, choć czasem zdawało jej się, że wszystkich innych to cieszy. Lana lubiła wrażenie, że nikt jej nie widzi, lubiła przemykać wśród tłumu niezauważona. Jej ulubioną książką z dzieciństwa była *Harriet szpieg*. Harriet w okrągłych okularach na okrągłej buzi, ze szpiegowskim pamiętnikiem pod pachą, pamiętnikiem, przed którym każdy drżał. Lana uwielbiała swobodę, z jaką Harriet poruszała się po mieście, jej wolność widzenia wszystkiego. I sama także zaczęła szpiegować tu i ówdzie, prowadzić dziennik ostrych obserwacji, choć przedmieścia nie nadają się najlepiej do szpiegowania. Zamiast schodów przeciwpożarowych i sklepików na rogu - tylko niekończące się trawniki, krzaczki przed oknami i właściwie nic się nie dzieje. W dodatku wszyscy cię znają.

A potem była *Honey West*, program telewizyjny z Anną Francis jako blond szpiegiem. Lana wiedziała o tym programie, zanim go zobaczyła, bo Livia widziała go w pierwszej emisji i określiła jako skończenie doskonały. - Honey to dorosła Harriet - mówiła Livia. - Tyle że ubiera się na czarno i ma czarną panterę, którą trzyma na smyczy. (Kie-

dy Lana przeczytała, że Ida Rubenstein, żydowska dziedziczka, która grała w *Męczeństwie św. Sebastiana*, trzymała w domu panterę, od razu pomyślała: Jak Honey West!", choć oczywiście było dokładnie na odwrót). W każdym razie, kiedy serial pojawił się w reemisji, Lanę trafiło i wy-błagała mamę, żeby kupiła jej top z czarnego weluru, który nosiła do czarnych getrów. W tym przebraniu czaiła się w różnych kątach domu, udając, że ma misję, chowając się za drzwiami i pod biurką, jak się jej zdawało, na długie godziny, czyli pewnie tylko na kilka minut i wreszcie narobiła sobie kłopotu, gdy przyłapała Toma na śpiewaniu przed lustrem *Pinball Wizard*, a on rzucił w nią książką i zbił lampę. Lana miała szlaban na tydzień za „naruszenie prywatności brata”. Do dziś mama mówiła do niej czasem Honey West.

Potem był *Rewolwer i melonik* oraz *The Man from U.N.C.L.E.* Lana i jej najlepsza przyjaciółka Sue udawały, że są Napoleonem Solo i Illyą Kuryakin, komunikowały się sekretnymi sygnałami i kodami. Kiedy młodsza siostra Sue chciała się przyłączyć, a one się nie zgodziły, obwieściła: - To ja jestem Emma Peel. - Zatkano je. Ten bąk - wspaniałą Emmą Peel?! Ale nie mogły nic zrobić. Bąk zapędził je w kozi róg. Takie jest prawo dzieciństwa: jeśli sobie pierwsza zamówisz postać, jest twoja. Więc wybrały April Dancer, *The Girl from U.N.C.L.E.* Jednak, ponieważ brały ją walkowerem, nigdy nie była taka opanowana jak Emma Peel. Kiedy Sylvie porównała Lanę do Diany Rigg na przyjęciu, gdzie się poznały, nie miała oczywiście o tym wszystkim zielonego pojęcia. Raz Lana odbyła poważną rozmowę o zawodzie szpiega, o pracy dla CIA. To wtedy ojciec poradził jej przeczytanie i/ciec z *zimna* Johna le Carré. Siedzieli przy stole tylko w trójkę - mama, tata i Lana (Tom i Livia byli już w college'u) - w tych dniach, gdy Lana była samotnym głosem

młodości mówiącym do jej ojca, który zwykł być głosem mądrości w todzie, a mleczne światło nad kuchennym stołem świeciło zbyt jasno jak na jego potrzebę pokierowania życiem swojego najmłodszego dziecka.

- Zapomnij o panterach, Lano, życie szpiega jest samotne i niebezpieczne. Myślisz, że jest pełne blasku, ale to nieprawda. Mata Hari nie wyglądała jak Greta Garbo i skończyła w pohańbieniu. Francuski pluton egzekucyjny.

Dla Lany to i tak brzmiało dość ponętnie.

Kochała ojca, który dbał o nią bardzo, ale to wszystko. Chwile, które spędzali razem, zawsze zamykały się jakby w cudzysłów, nie był tak swobodny jak przy Tomie i Livii, nie zachwycał się nią tak jak Tomem, nie przewracał tak oczami jak na teatralne zachowania Livii. Trzeba przyznać, że był zamknięty w sobie i polegał w tym względzie na mamie Lany jak na swego rodzaju aide de camp. Może bliźniaki robiły więcej hałasu, więcej zamieszania, więcej kamuflażu dla niego. Gdy tymczasem Lana, drepcząc po pokoju, albo później, gdy już była tylko ona w domu - cóż, była tylko jednym, skupionym dzieckiem i miała zwyczaj wprowadzać do pokoju ciszę. - Skąd przybywasz? - pytał ją często, gdy była mała i znikła gdzieś na chwilę. Pytał o to z ciekawością, delikatnością i zdziwieniem. Ale tak naprawdę, jakby się nad tym zastanowić, to było dziwne pytanie. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że pod pewnymi względami była do niego bardziej podobna niż starsze dzieci. Prawda jest taka, że na pierwszej randce z Samem, podczas tych wspaniałych pocałunków, myślała tylko w kółko: skąd przybywasz, Samie Kellogg? Zmrużyła oczy, zadziwiona zmianą tematu w pracach Sylvie. Wyszła z tej strony, wklepała kilka nazwisk ze świty Cassandry (ale nie działało się tu nic ciekawego). I na końcu wrzuciła jeszcze „Burton, Lana” i prawie się roze-

śmiała na widok swojej listy. Jeden tekst - Glinka. Wiedziała, że to nie odpowiada jej rzeczywistemu dorobkowi. Jej teksty nie były tu uwzględnione, bo zamieszczała je w małych magazynach albo czasopiśmie typu gazetka linii lotniczych, które nie były umieszczane w indeksie ogólnokrajowym. To było jednak nieco dołujące - jeden artykuł. Rzuciła okiem na zegarek. Piętnaście po dwunastej. Zgłodniała. Wyskoczyła po jogurt i banana (o mało nie kupiła hot doga) i wróciła do swojego cierpienia, dziubiąc kruche ciasteczka schowane w kieszeniach i obiecując sobie, że popracuje do trzeciej, a potem pójdzie do Bergdorfa, dwadzieścia minut spacerkiem z Lincoln Center Library. Zaczynała panować nad materiałem, wiedziała już, co z tym zrobi. „Kto rani mnie najgłębiej - mówi Sebastian w czwartym akcie - największą mnie darzy miłością”.

Według muzykologów *Męczeństwo* Debussy'ego ma wiele zapożyczeń z Wagnerowskiego *Parsifala*. Obydwa utwory istnieją w migotliwej przestrzeni chrześcijańsko-pogańskiego mistycyzmu. Obydwa mówią o zranionych bohaterach. Na tym się skupi, na „świętej ranie”, metaforze powołania w religii i sztuce. Na tę myśl naprowadziły ją listy Debussy'ego. W jednym z nich, mówiąc o grze na fortepianie, Debussy pisze, że palce muszą „penetrować nuty”. Lanie podobała się ta abstrakcyjność i cielesność jednocześnie. Palce w nutach, jak dźwięki w uszach, strzały w ciele i transcendencja w duszy. Musiała jednak być ostrożna. Był i wymiar erotyczny tego porównania, a ludzie z Philharmonie są zagorzałymi konserwatystami. Po co jednak pisać, skoro myślę i piszę tylko to, co już było przemyślane i napisane, przyszło jej do głowy. Wiedziała - tak jak wiedziała wiele rzeczy, nie wiadomo skąd - że to jest właściwa ścieżka, która poprowadzi ją przez ten tekst.

Zresztą, to przecież Debussy dał jej klucz. Właśnie dlatego uwielbiała pisać o sztuce - zawsze był klucz.

Dokładnie o trzeciej wstała i wyszła, jak za szkolnych czasów. Dzień był słoneczny, ale chłodny jak na kwiecień. Szybkim krokiem przeszła Broadway, minęła Columbus Circle i szła brzegiem Central Parku, Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą, która była sztucznie radosna jak z jakiegoś paskudnego, kawiarnianego obrazka: pstrokaci, ledwie widoczni turyści; dorożki, konie z torbami na obrok i czerwonymi piórkami, wiosenne gałązki drżące nad głowami.

U Bergdorfa Lana nie zabawiła długo wśród torebek. Na początku swojego pobytu w Nowym Jorku ciągle tu coś kupowała. Te czasy minęły. Przykro przyznać, ale nie mogła już sobie na to dłużej pozwolić, poza przecenami. Ceny luksusowych wyrobów skoczyły niesamowicie w górę, a jej roczne podwyżki ledwie pokrywały rosnące koszty utrzymania. Taka jest sztuka, takie jest dziennikarstwo, takie są realia (chyba że masz kontrakt z „Vogue”). Lana rzuciła okiem na wystawę i poprosiła o dwie torebki, najskromniejsze, ale żadna z nich nie była tańsza niż pięćset dolarów. Będzie musiała pójść do Bloomies albo do Saksa. Zbliżało się zresztą zbyt wiele innych wydatków, poczynając od urodzin Sama.

Marzyła mu się nowa sztuka Alan Ayckbourn. Pewnie uda jej się zdobyć wejściówkę za darmo. Ale będzie jeszcze obiad (koło setki). No i prezent. Jeden głosik mówił jej „idź do domu” - sklepy na Piątej Alei to w sobotę istne szaleństwo, wszyscy wirują w zwariowanym pośpiechu, z tym uczuciem uciekającego czasu - ale drugi głosik mówił: „Skoro już tu jesteś, przejdź na drugą stronę do Bergdorf Men's i poszukaj czegoś dla Sama”. Może coś z kaszmiru. Kapelusz. Zdaje się, że Sam nigdy nie miał kapelusza.

Męski sklep stanowił miłą odmianę, przestrzeń i spokój pozwalały na własny rytm. Lana zagłębiła się w szklane gablotki, od tej z drogimi, krokodylimi i strusimi portfelami do tej z emaliowanymi spinkami do mankietów, upstrzonych paseczkami i kropeczkami jak małe kurtki dżokejów. Porównała kilka kaszmirowych szali - szary pled i wielbłądzia krata - oceniając, że tylko szary wchodził w grę: 275 dolarów. Tyle że szal na wiosnę to nieco późno. Błękitna czapeczka zrobiona na drutach była ład-niutka, ale sama w pudełku będzie wyglądać biednie. Spojrzy jeszcze na koszule i swetry. Zeszła po schodkach kilka kroków i stanęła. Kilka jardów niżej, odwrócona tyłem, stała Sylvie - jej charakterystyczny wzrost, jej białe włosy sterczące nad czarnym moherowym płaszczem. Lana cofnęła się natychmiast i schowała za rogiem, jakby już czując na sobie reflektory.

To było aż zbyt typowe dla Nowego Jorku. Myślisz sobie, że dawno kogoś nie widziałas, i natychmiast na niego wpadasz, jakbyś go wyczarowała. Lana zamarła, ale potem cofnęła się odrobinę. Sylvie wciąż stała tyłem i chyba przyglądała się koszuli rozłożonej na ladzie, ale nagle odwróciła się na moment. Nie zmieniła się, brwi i ręce blade jak zawsze, ale dłuższe włosy, już nie jak białe skrzydło, teraz upięte z tyłu w luźny kok. Była sama w tej części sklepu - poza wysokim mężczyzną, który właśnie pojawił się w zasięgu wzroku Lany, zaraz obok Sylvie. No, po prostu super, pomyślała Lana, dopóki ona nie wyjdzie, nie mogę poszukać koszuli dla Sama. Obejrzała się, żeby sprawdzić, czy jakiś ekspedient nie widzi, jak szpieguje, ale nie, nie było nikogo. Może, jeśli chwilę poczekam...

Wyłoniła się znowu zza rogu i tym razem zobaczyła, że plecy wysokiego mężczyzny i Sylvie stoją ramię w ramię przy ladzie, jakby oglądali tę samą koszulę. Sylvie

odrzuciła w tył głowę, roześmiana. Potem powoli zwróciła twarz w jego stronę, pokazując swój marmurowy profil i uśmiechając się tym swoim srebrnym uśmiechem.

Są razem.

To nie jest Max.

Pojawił się ekspedient i mężczyzna przytaknął szybko, dwoma palcami wyciągnął portfel spod dopasowanego płaszcza i podał kartę. W czasie transakcji odwrócił się do Sylvie i bardzo delikatnie wsunął niesforny kosmyk z powrotem w kok (lewą ręką, bez obrączki) - jak wkładanie pisklaka z powrotem do gniazda. Spojrzała na niego, jakby nic poza nimi się nie liczyło. Wrócił ekspedient z olbrzymią purpurową torbą i po podpisie i wymianie podziękowań wyszli, nie dotykając się, bocznymi drzwiami na Pięćdziesiątą Ósmą Ulicę.

Czego świadkiem była Lana? Odczekała jeszcze kilka minut i podeszła do lady zobaczyć koszule. Kupił dwie. Każda trzysta dziewięćdziesiąt dolarów. Bawełna. Ten facet był na tyle bogaty, żeby wyrzucić osiemset dolców na dwie bawełniane koszule, ten facet, który nie był mężem Sylvie, z pewnością nie był jej ojcem i nie dotykał jej jak przyjaciel. Może byli tylko na herbacie - u Pierre'a na Szesnastej albo w St. Regis na Pięćdziesiątej Piątej - a on był paryżaninem, stąd ten artykuł o Colette, ten francuski chwyt. Płaszcz, który miał na sobie, to był europejski krój. Może dlatego nikt nie wiedział, co się dzieje z Sylvie ostatnimi czasy. A może Lana była zupełnie w błędzie i istniało jakieś niewinne wytłumaczenie. Na przykład - jeśli on rzeczywiście był z Europy, czyż taki dotyk nie był w zwyczaju u tych Europejczyków, z których co drugi to Romeo, zawsze jakby odgrywający miłość? Może był jednym z jej dawnych przyjaciół fotografów - oni zawsze tak dotykają i robią zamieszanie.

A jednak... jak ona na niego spojrzała.

Gdy zobaczą się dziś wieczorem z Samem, opisz mu to wszystko.

Pobawia się razem w detektywów amatorów. On żartuje: - Panno West, dlaczego nie podążyła pani za nimi choć kilka przecznic? A ona powie: - Wiem, wiem. Dlaczego tego nie zrobiłam?

Ale on będzie wiedział, dlaczego. Była różnica między patrzeniem a kradzieżą. Jak pamiętnik zostawiony na stole. Możesz się zastanawiać, ile chcesz, dlaczego został na zewnątrz. Możesz go podnieść i potrząsnąć, nawet nacisnąć guziczek w zamku. Ale, załóżmy, że się otworzył! - nie masz prawa zacząć czytać. To były zasady, które poznałaś już jako dziecko. Musisz go zamknąć i odejść.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Behemot

Iris położyła teczkę na stoliku do herbaty. W środku były jej podatki, właśnie wróciły od księgowego. Sprawdziła jeszcze raz, czy to wszystko może być prawdą, i zamknęła teczkę. Był koniec czerwca (wniosła o przedłużenie terminu) i miała zapłacić 2800 dolarów więcej, niż przewidywała (nowe przepisy podatkowe, bez odliczeń hipotecznych etc). Myślała, że już jest do przodu. Ale tak nie było. Siedziała, gapiąc się na podłogę, potem podniosła głowę. Patrzył na nią beznamietnie przez cały pokój. Może już czas, żeby go sprzedać.

Znalazła go w meblowym na Market Street, niedaleko campusu uniwersyteckiego. Był wepchnięty między toaletki w stylu empire i szafeczki z lat pięćdziesiątych z poobijanym fornirem. Górował nad zgromadzonymi wokół reprodukcjami nie tylko dlatego, że leżał na boku (z braku miejsca), ale dlatego że - czymkolwiek by był (Iris musiała przekreślić mocno głowę, żeby cokolwiek zobaczyć) - był autentyczny. Olśniewający mahoń, z uroczym połyskiem podobnym do tafty. Szklane rączki wyglądały jak abstrakcyjne kwiaty i były kompletne - wszystkie czternaście. Na każdym końcu tego cacka były mahoniowe kolumnienki, eleganckie, jońskie, a pod spodem lwie łapy o wielkich, grubych paluchach. A po co te dwie pionowe szuflady,

ułożone symetrycznie po każdej stronie tych dwu poziomych? - Miejsce na wino - powiedziano jej. Miejsce na wino, powtórzyła w duchu, Erich się tak ucieszy. Kredens właśnie został wypakowany z ciężarówki i kosztował czterysta dolarów.

- Czemu tak mało? - spytała C.B., potężnego, miękkiego faceta o niezdrowym wyglądzie, który pracował w tym meblowym (wyglądał, jakby zrobiono go z niewypieczonego chleba) i który miał odpowiedź na wszystko.

- Bo jest za duży.

Kredens miał siedem stóp długości, czterdzieści trzy cale wysokości i dwadzieścia sześć głębokości. Był za duży. Skąd się wziął?

- To stary grat z Filadelfii. Mahoń i wiśnia, solidna robota. Musiał być robiony na zamówienie do jednej z tych starych kamienic wysokich na siedem stóp. Jak te na Rit-tenhouse Square.

Iris nie myślała dwa razy. Wyciągnęła dwie dwudziestki, żeby zarezerwować kredens, i obiecała wrócić następnego dnia z resztą. Widziała już, gdzie będzie stał w ich salonie na Society Hill. I czy nie mówiła zawsze do Ericha, kiedy spotykali się po pracy w wiosenne wieczory, gdy podjechawszy autobusem te dziesięć przecznic z pracy w domu aukcyjnym, żeby mogli wrócić razem do domu, płynęli przez campus skąpany w mimozach, a później skracali sobie drogę przy orzechu włoskim na Dziewiętnastej, żeby przejść przez Rittenhouse Square cały w zielonych, aksamitnych trawnikach i szarych, kamiennych kamienicach - czy nie mówiła wtedy zawsze, sennie wtulona w jego ramię: - Pewnego dnia, gdy już będziesz dyrektorem wydziału, moglibyśmy tu zamieszkać. Nie wymagało to żadnej odpowiedzi. Oboje wiedzieli, że rozmawiał z Rockefeller University w Nowym Jorku, Mill Hill w Londynie,

a i Princeton węszyło koło niego. Ale to ^moglibyśmy" było takie urocze, wysoka gałąź z dalekim widokiem, z której wypuszczał dym z papierosa, odpędzając codzienne nachalne przeliczenia i szacunki. Albo odpowiadał żartem, zawsze tym samym żartem: - Gdzieś przecież musimy mieszkać. Kiedy wniesiono tego potwora do ich domku na Society Hills - przez schody frontowe, trzeba go było nieco pochylić, żeby przeszedł przez drzwi wejściowe, podnieść wreszcie wysoko, więc momentalnie się przekrzywił i zaklinował między poręczami a framugą (pomruki i pot), aż wreszcie wpasował się pod ścianą w salonie - wyglądał, jakby tam był od zawsze. Nie dało się go nie zauważyć, najpierw komentowano jego rozmiar, potem piękno.

- Można by tam wsadzić trupa! - powiedział Zack Sarnoff, mikrobiolog, który po cichu pisywał kryminały i mógł wypić więcej piwa niż ktokolwiek w laboratorium.

- Dwa trupy.

- Erich nazywa go Behemotem - powiedziała Iris, patrząc, jak Erich niesie coorsa dla Zacka i dwa martini tan-queray oraz oliwki. - Mówiłam mu, że jest spory, ale Erich nigdy nie dał rady zejść do meblowego, żeby samemu zobaczyć. Powiedział, że ufa mojej ocenie sytuacji - posłała mężowi jeden z tych uśmiechów dobrej żony - ale kiedy wszedł do salonu, a kredens już tu stał...

- Postaw się na moim miejscu, Zack - powiedział Erich, rozsiadając się w swoim skórzanym fotelu klubowym.

- Czy przypuściłbyś kiedykolwiek, że można kupić coś tak olbrzymiego za czterysta dolarów? Spodziewałem się... bo ja wiem czego. Przychodzę, a w domu Moby Dick.

- Kurczę - skomentował Zack, dotykając satynowych wykończeń. - To naprawdę kupa drewna.

Znajomi nie wiedzieli, jak traktować Behemota. Skala była przynębiająca, magnacka, ze stoickim spokojem za-

dająca starych luster, konsol, lambrekinów, ozdobnych chwośców, ciężkich sosów i pokojówek w fartuszkach. Czuli się nieswojo, bo w ich domach walały się jeszcze fifki i dopiero zaczęli wymieniać swoje młodzieńcze graty na meble od Crate & Barrel czy Wanamakers. Behemot to kawał historii, zbyt namacalny dla ich etapu życia - pogoni za niewidzialnymi objawieniami w laboratoriach. Kiedy już się wybija, udowodnią swoje racje, może zapragną trochę historii dla swoich domów. Ale teraz interesowała ich przyszłość.

- Spójrz na to z tej strony - podsumował Erich, kiwając głową w filozoficznej zadumie. - Jeśli wylądujemy na ulicy, możemy usunąć półeczki i zamieszkać w środku - a do krzywiącej się z drugiego końca pokoju Iris: - Musimy przecież gdzieś mieszkać.

Rzecz w tym, że Erich lubił Behemota. Uważał, że przegródki na wino to sam szyk, a kolumnienki mają klasę. I lubił go także dlatego, że Iris go lubiła, że była taka przejęta swoim znaleziskiem i myślą, że tak pasuje do ich przestrzeni.

Ale przywiezienie go do Nowego Jorku było mordęgą. Rozwód nigdy nie trafił do sądu. W liście z Tanzanii Erich wyluszczył wszystko prawnikom. Dał Iris tyle, ile miał jej prawo dać. Wszystko z wyjątkiem dwóch rzeczy: swojego klubowego fotela i starego mikroskopu, który niegdyś ich połączył (co nieco pocieszyło Iris). Rodzina była zaniepokojona i współczująca, ale okroiła ustalenia zawarte w liście, a Iris - obserwując to w swoim niekończącym się śnie, na granicy jawy i minionej nocy - pozwoliła im na wszystko. Czują się śmiesznie, przyjmując alimenty. Przecież nie mieli jeszcze dzieci. A więc rozwodziła się oszołomiona, w powodzi dokumentów i rozporządzeń, Iris pusta, ale siedząca prościutko, podpisująca, podpisująca, podpisująca. Erich nieobecny. Tylko jeden list: „Przebacz mi”.

Wiedziała, kiedy za niego wychodziła, że jest zupełnie inny niż wszyscy. Był pogromcą płci niewieściej, a jednocześnie absolutnie wiernym mężem (uwielbiała to). Był czytany, w college'u rozdarty między literaturą a nauką (jak dziewiętnastowieczny naturalista!), więc bez końca rozmawiali o poezji, sztuce i swoich ulubionych *Zapiskach Leonarda da Vinci*. „Wiedza jest naturalnym pragnieniem dobrego człowieka” (to także uwielbiała). I uśmiechał się - dołączki niemal mitologicznie romantyczne - tak ciepło, że świat stawał się dobry. Ale jego humory - które sam nazywał „chwilami zadumy” - były dla niej jak wycieczki do otchłani, w głębiny pozbawione słońca. I ta mglistość, którą on nazywał „myśleniem”, „życiem” i „nauką”, a ona „znikaniem” i „wychodzeniem z ciała”. I picie, które uznała kiedyś za sposób na odreagowanie, za studencki nawyk, o którym zapomina się w małżeństwie. Mężczyzna, do którego tak pasowała w nocy, skroń przy skroni, ramiona jak winorośle, pocałunki bez końca, które pogrążały ich w ciemnościach - na przyjęciach mógł być w zasięgu jej ręki, a jednak zdawało jej się, że patrzy na niego zza mór. Kiedy wracał z tych swoich kryjówek, a jego piękna dłoń szukała tego zgięcia jej głowy tuż za uchem, wjasności jego oczu było to coś, mgnienie poczucia winy, jakby wiedział, że pewnego dnia już nie wróci. I pewnego dnia tak się stało. Wreszcie dosłownie zniknął z jej życia, a pokoje na Society Hill ziały pustką. Wszystko było już spakowane do wielkiej ciężarówki, wszystko z wyjątkiem Behemota, który tkwił tam jeszcze, samotny w rozbrzmiewającej echem przestrzeni, bo zostawiono go na koniec przeprowadzki.

Kredens nie chciał wejść po schodach domu przy Gramercy Park. Była to kamienica z czerwonej cegły zbudowana w 1860 roku z wąską klatką schodową powykręcaną w serpentynę i z niewyobrażalnie niskim sufitem
na

pierwszym podeście. Iris zmierzyła wprawdzie ten podest, ale nigdy nie była dobra z geometrii i nie doliczyła dodatkowych cali na uchwycenie kredensu po ukośnej, nie przewidziała, że mebel utknie po prostu w tej przestrzeni wielkości budki telefonicznej. Zniesiono go więc na dół, gdzie stał tuż przy wejściu przez pięć dni, irytując Iris swoim wyglądem olbrzymiego, zatrwającego kaprysu.

Ten kawał drewna tkwił w wąskim przejściu, w przejściu należącym do innych i to przechyliło szalę goryczy. Zdawał się naśmiewać z każdego pewnika ostatnich siedmiu lat. Iris już wcześniej nie miała siły, drżąca z niepokoju, a teraz po prostu zdała się na uprzejmość właścicieli domu (którzy prawdę powiedziawszy nie mieli nic przeciwko temu). Było jej wstyd za samą siebie. Robiła wszystko źle. Zawsze wszystko robiła źle. Nic dziwnego, że nie mógł jej wystarczająco kochać, wystarczająco, wystarczająco.

Czwartego dnia, otepiąta z głodu, otoczona pudłami, których nie była w stanie rozpakować, tkwiąca na górze równie beznadziejnie jak Behemot na dole, zadzwoniła pod pierwszy z brzegu numer z książki. Przyjechało dwóch facetów, jeden niski, drugi wysoki, jeden energiczny, drugi lakoniczny, jeden szurnięty, drugi nieco chwiejny, obaj bez wątpienia po mocno zakrapianej nocy, ale gotowi do roboty. Uznali, że brzegi z kolumnami trzeba zdemontować. Iris wiedziała, że nie powinna powierzać kredensu w takie ręce. Ale mając wszystkiego serdecznie dość, zapłaciła dwieście dolarów zaliczki i gdy tylko wyciągnęli śrubokręty i młotki, zostawiła to dzieło sztuki w ich rękach. Następnego dnia, gdy Behemot stał znowu w jednym kawałku w jej nowym salonie, miał dwie rysy na lewej ścianie i podłużne pęknięcie. Oczywiście po tej widocznej stronie.

Gdy Iris wyczuła pod palcami te rysy na świeżo zadomowionym w jej alkowie Behemocie, opadły ją wyrzuty

sumienia. Kredens był naprawdę majestatyczny pod tym niskim sufitem. I Boże - zajmował swoje. Był jak dom - teraz wewnątrz większy, niż się zdawał, gdy stał na zewnątrz. Tej samej wiosny, gdy Justin Howard, nowy projektant wewnątrz na nowojorskiej scenie i zarazem nowy klient, wpadł do niej, żeby upewnić się co do swojego pierwszego zlecenia - abażur w kształcie parasolki w pa-seczki koloru masła i kości słoniowej, zygzaki (swoisty *tour de force*, dzięki któremu zyskała sławę) - pierwsze kroki skierował w stronę Behemota.

- Skąd - krzyczał, jakby mu coś sprzątnięto sprzed nosa. - Skąd to wytrzasnęłaś?!

- Z meblowego w Philly. Koło 1986.

- Ile dałaś? - Niebezpieczne pytanie między projektantami wewnątrz, ale ponieważ Iris nie była projektantem, on mógł je zadać, a ona odpowiedzieć. Wiedziała, że kwota go załamię.

- Och, Iris - powiedział tonem łamiącym serce - dziś możesz za to dostać dziesięć razy tyle. Na rynku zapchanym milionerami... dzieciaki zabijają się o takie rzeczy. Wielkie, bogate meble odpowiednie dla ich wielkich, bogatych ego. Rodowód w jeden moment. Mam teraz taką młodą parę, srają kasą, mają cztery tysiące stóp kwadratowych poddasza, dwa bohomazy Davida Salle'a i błyszczącą sypialnię w stylu art deco, którą wreszcie sprzedali za moją namową, no wiesz, ale najpierw musiałem usłyszeć stary tekścik o „kilku dobrych patykach”. Dziesięć tysięcy dolarów. Za ten kredens dadzą dwadzieścia.

- Nawet jeśli jest porysowany?

- To dodaje charakteru. Coś wymyślisz. Wciśniesz im, że jest u Biddle'ów od trzech pokoleń. Padną na miejscu. Cokolwiek to znaczy.

- Justin, jesteś okropny. Poza tym to nieetyczne. - Iris jednak już uwielbiała Justina, który beztrąsko wzruszył ramionami, zupełnie niespieszony. Prawo przyciągania tak stare, jak te wzgórza. Ci, którzy mają gust, będą zawsze łączyć się przeciw tym, którzy mają tylko pieniądze.

Było w tym jednak coś dziwnego. Gdy Behemot tkwił na dole, była gotowa sprzedać go za grosze. Ale mijały lata nieustannych problemów finansowych, a już nie kusilo jej to ani trochę. Nie dlatego, żeby wraz z jej przeprowadzką na Manhattan ustały żarty. Nawet tu ludzie czuli się przy nim nieswojo. Na przykład Mark. Behemot nie należał do tych przedmiotów, przy których dobrze czułby się taki tani facet. Królewskie łapy, wypolerowany błysk i mahoniowy rumieniec - kredens nasuwał na myśl nieograniczone bogactwo i magnacką przyjemność nabywania. Więc Mark robił sobie z niego żarty, uparcie nazywając go „sarkofagiem”, co Iris miała brać za dowcipny przytyk.

Śmieszne, jak bardzo chciał, żeby ona to czuła. Kiedy w jakimś sensie przekraczała jego granice finansowe, upewniał się, że ona czuje, że przekracza i swoje, trzymając w domu coś o wiele za dużego na życie, które teraz prowadziła. Chciał wszystko wyrównać. I, jak to często robią kobiety na początku, Iris pozwalała mu na to. Śmiała się i szła dalej (i nie mówiła nigdy o latach spędzonych w Filadelfii).

Ale śmiech nie wystarczał. Czasami zdawało jej się wręcz, że Mark chce z nią współzawodniczyć, czego zupełnie nie umiała zrozumieć. I kiedy pewnego dnia w całkiem pogodny sposób, ani jednej chmurki na niebie, zwrócił jej uwagę, że to „dość pretensjonalne” zachowywać nazwisko Biddle, zatkało ją. Spasował od razu: - Żartowałem i - Kimże jestem, żeby to oceniać? Właśnie, pomyślała Iris - kim ty w ogóle jesteś? Bawiło go sprowadzanie Behemota do

roli sarkofagu. Lubił to brzmienie kamiennych trumien i pomników. Ubliział, naigrawał się z Ericha. A w porównaniu z Erichem był niczym. Behemot to nie tylko kawał historii, to kawał jej historii. Nie będzie się z niej śmiała. Jest zbyt duża. Zajmuje zbyt dużo. Iris pozwoliła ją porysować. Ale jak mogłaby kiedykolwiek pozwolić jej odejść?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ultimatum

Lana zrobiła to. Rano po randce z okazji drugiej rocznicy, w majową niedzielę, posadziła Sama przed sobą. Minęło sześć miesięcy - sześć miesięcy, podczas których Lana miała wciąż nadzieję, że Sam uratuje ją i weźmie inicjatywę w swoje ręce. W lutym spędzili trzy dni w Vermont, w przytulnym hoteliku na wsi - długie spacery pod nagimi drzewami, ciepłe ciasteczka przy rozżarzonej kominku, wspólny pokój, jakby byli małżeństwem - a ona liczyła wciąż na to, że wymsknie mu się pytanie, jakiegokolwiek pytanie. Ale nie wymsknęło się. W kwietniu pojechali szybką koleją do Baltimore na wieczorny mecz Oriolesów - rozbawieni, piwo, hamburgery - a potem wrócili prosto do domu i Lana myślała, że może teraz tu, w pociągu. Ale nie. Ten głuptas był zupełnie zadowolony z aktualnego stanu rzeczy, w błogiej nieświadomości, że Lana czeka (i oczywiście zupełnie nieświadomy szykującego się dramatu, jej baletu snu).

Więc kiedy nadszedł maj, Lana miała za sobą tyle prób chwil prawdy, że czuła już przesyty. To po to ćwiczyła tak ciężko. Teraz było to nieuniknione. Zrezygnować teraz - to byłoby nie tylko największe tchórzostwo, ale mogłoby też wpłynąć na jej stosunek do Sama. Nie chciała stać się zakłamaną kobietą, która udaje, że wszystko jest

w porządku, kiedy nie jest. Nie może winić go za to, że nie dał jej czegoś, o co nawet nie poprosiła. Już czas, żeby poprosić.

Posadziła go na pomarańczowej sofie. Tak to rozegrała, żeby byli u niej, na jej terytorium. Poszli na wznowioną właśnie sztukę Pintera, potem późna kolacja w Film Center Cafe (w stylu Sama Spade'a - takie miejsca kochał Sam), a potem spacer Dziewiątą Ulicą, aż do jej kawalerki na Pięćdziesiątej Piątej.

Wysprzątała wszystko jak wariatka, kupiła nową jasnozieloną kapę na łóżko, a na oknie postawiła wielki bukiet fioletowych irysów i żółtych tulipanów. W nocy właściwie nie dało się ich zobaczyć, ale rano, gdy Lana na paluszkach podeszła do okna i odsunęła odrobinę zasłony - tylko na jedną czwartą szerokości, żeby pozostawić pokój w rozmarzonym cieniu - światło objęło kwiaty, które wybuchły radością kolorów widoczną nawet z łóżka.

Kiedy byli już ubrani i gotowi do wyjścia na śniadanie, Lana posadziła go przed sobą. Miał ten charakterystyczny wyraz twarzy, który ma każdy facet, gdy kobieta mówi: - Musimy porozmawiać? - i tę stropioną minę, która pyta: „Co ja takiego zrobiłem?”, „Skąd się tu wziąłem?” oraz „Czy jest jakieś wyjście ewakuacyjne?” - wszystko naraz. Lana postępowała według planu, nie dbając o to, czy nie jest czasem zbyt staromodna, żadnych gier, żeby zachować dumę, żadnego zadzierania nosa, po prostu:

- Kocham cię. Pragnę cię. Bardziej niż czegokolwiek. I myślę, że już nadszedł czas, żebyśmy szli dalej i zamieszkali razem.

Wyglądał na zszokowanego. Lana ciągnęła:

- Jeśli nie możemy posunąć się dalej, muszę to wiedzieć. Chcę mieszkać razem, chcę tych wszystkich rzeczy,

których chcą inne kobiety, i jeśli nie możesz mi ich dać, muszę znaleźć kogoś, kto będzie mógł.

- Ale nikt - wyrwało mu się. - Nikt nie mieszka razem w Nowym Jorku. Wyjątkowo bystry jak na prawnika.

Lana nie podniosła jednak oczu do nieba, choć przez chwilę chciała tak zareagować. Zamiast tego uśmiechała się uparcie i powiedziała:

- Masę ludzi mieszka razem w Nowym Jorku.

- Nie wiem, czy byłbym w tym dobry - powiedział. - Lubię mieszkać sam.

I nie wiem, czy Spiffy - jego paskudna kotka - da radę mieszkać z kimś obcym.

- Radzi sobie, kiedy u ciebie nocuję - powiedziała Lana. Wymówki przedszkolaka.

- No, nie wiem.

Kręcił głową, ale rzecz w tym, że wyglądał na szczęśliwego. Żadnych złych wibracji w powietrzu, żadnego „nie”. Tylko wrażenie ekspansji, jakby życie wokół nich stało się olbrzymie, a oni musieli się trzymać bliżej siebie.

- Nie musisz mi teraz odpowiadać - zakończyła Lana. - Pomyśl o tym. Ale nie każ mi czekać za długo.

I tyle. Wielka chwila. Poszli na śniadanie, trzymając się za ręce. Zawsze trzymali się za ręce na ulicy, ale tego dnia, gdy brał jej dłoń, zawierali pakt - przypieczętowany majowym słońcem i ciepłym wiatrem. Nad jajkami Benedykta (jajka sadzone na grzance ze świeżej bułeczki) zmrużył oczy, jakby ją oceniał, jakby zobaczył ją zupełnie na nowo. A Lana była tak szczęśliwa, że ma to już za sobą, że zrobiła to. Drżąca z zadowolenia, jakby właśnie ukończyła maraton. To była wielka chwila w jej życiu, bez względu na odpowiedź Sama, choć w głębi duszy czuła, że już wygrała.

Poszli na długi spacer do Central Parku, szare aleje zamknięte dla samochodów, ale pełne wymachujących

rękami rolników, rowerzystów jak ludzkie torpedy i jog-gingujących lokomotyw. Rozmawiali o tym i tamtym, ale nie o ultimatum. Pozwolili, by zawisło to nietknięte między nimi. I zakończyli tę niedzielę jak każdą inną: Sam wrócił do swojego mieszkania, Lana do swojego. Oboje potrzebowali chwili na przygotowanie się do poniedziałku, przytulili się jeszcze na pożegnanie i pocałowali już przy taksówce, a Lana wysunęła się przez okno po jeszcze jeden, ostatni pocałunek.

Jednak zwykle to Lana wracała od Sama, znakiem końca weekendu był zawsze spacer po Dwudziestej Ulicy, sześć przecznic do rogu z Szóstą Aleją, gdzie Sam wsadzał ją do taksówki. Lana zaczynała nienawidzić tego spaceru

- po cichu nazywała go Straszny Spacer. To zwykle w niedzielę wieczorem opadało ich znużenie, jakby spadał poziom cukru we krwi - zbliżał się czas jej powrotu do domu. Byli już po posiłku i po wszystkim, co zdążyli zrobić tego dnia, po chodzeniu po nowych sklepach, wpadaniu do Chinatown, przeszukiwaniu księgarni. Sam bawił się swoimi aparatami fotograficznymi, próbował wpakować film do swojej starej zasłużonej leiki, przycinał go nożyczkami, żeby zaskoczył (Lana słyszała te dźwięki szurającej myszki i następujące po nich ponure westchnienia Sama). Czytała, wtulona w jego skórzaną kanapę, albo tylko gapiła się na jego stiukowy sufit, na którym czasami odnajdywała przedziwne kształty. Ale gdy krótsza wskazówka zbliżała się do czwartej, czuła, jak nadchodzi ta chwila

- Jak niewidzialny pająk" - tak Lana tłumaczyła Megan. Czasami patrzył na nią i mówił: - Robi się późno... albo:

- Mam jutro ciężki dzień (na co chciała mu powiedzieć:

- Ja też, i co z tego?). Czasami Lana powstrzymywała łzy, wstawiała energicznie i mówiła: - Chyba już na mnie czas (na co Sam nigdy nie mówił: - Oj, zostań jeszcze chwilę

- bo według niego spędzali nieprzyzwoicie dużo czasu razem).

Wychodzili i Lana czuła, jak cichnie, gdy zbliżają się do taksówki.

Zawsze zdawało się, że to jakiś koniec

- ich spacerowi na zachód towarzyszył niedzielny zmierzch, który przecinał się z ich pożegnaniem. To nie było racjonalne. Uczucie, że na zawsze. Lana była pewna Sama, a jednak walczyła z melancholią w ciągu tego krótkiego spaceru. A najdziwniejsze, że zanim dojechała do domu (tylko dziesięć minut turkotu po Szóstej Ulicy), wszystko było w porządku, a ona cieszyła się na wieczór tylko dla siebie. To samo rozstanie tak ją męczyło. I strach, że im dłużej rzeczy pozostają bez zmian, tym trudniej będzie popchnąć Sama do czegoś więcej.

Co gorsza w ciągu tych przedmajowych miesięcy różne ważne kobiety w jej życiu (krewne i przyjaciółki) zaczęły wtrącać swoje trzy grosze, zupełnie jakby ktoś włączył alarm. Lana nie powiedziała nikomu o swojej strategii, nawet Megan, bo jak zwykle nie chciała tych obserwujących ją, oczekujących oczu. Albo komentarzy. Albo porad. Ale to, że się ich nie chce, nie znaczy, że się ich nie dostaje.

Livia: - Masz trzydzieści pięć lat, dziecko. Wiem, że uważasz, że to najwspanialszy facet na świecie, ale miłość ma swój czas i jeśli on nie jest w stanie zaangażować się już teraz, może nie jest taki wspaniały dla ciebie.

Mama: - Lana nie czekaj za długo. Chcemy małe Lany biegające dookoła. Małe Honey West.

Deena: - Sam se w kulki leci, a nie jest żadnym Mattem Lauerem, ani co. Na twoim miejscu zagrałabym na zazdrość. Weź sprawę w swoje ręce. To go obudzi.

Fernanda: - Czy ty chcesz naprawdę wychodzić za męża za Sama? Chyba bym nie zgadła.

A Sylvie - Lana łatwo mogła sobie wyobrazić, co ona by powiedziała: - Nie mogę uwierzyć, że Sam nie chce się

z tobą ożenić. Jesteś taka wspaniała. Każdy facet chciałby się z tobą chajtnąć.

Megan: - Sposób, w jaki na ciebie patrzy - Megan poznała Sama w czasie wizyty w Nowym Jorku - to oczywiste, że cię uwielbia. To nie znaczy jednak, że nie musisz tego kontrolować.

Rada Megan była najlepsza, bo, jak zwykle, najbliższa prawdy (na drugim miejscu była ta od Livii, też prawdziwa, ale zbyt przykra, żeby o niej pamiętać). Co do Deeny i Fernandy nie były najlepszymi fachowcami, jeśli chodzi o facetów. Rada Deeny była właściwie obraźliwa, ale to w końcu Deena.

Więc po tej majowej niedzieli Lana poczuła się w domu wolna. Pozostało jej tylko czekać.

I czekała. Minął miesiąc, a Sam nawet nie pisał na ten temat i Lana zdała sobie sprawę, że znowu tkwi w próżni. Na pewno nie były to zwycięskie negocjacje. I na pewno nie będzie wszystkiego zaczynać od początku.

Teraz jego ruch. Jego zadanie. Była wściekła. Ale przede wszystkim zaczynała czuć się zagubiona. Co jest grane?

Starła się trzymać fason, panować nad sobą. Ciężko pracowała w biurze i nad swoimi tekstami. Kwartalnik, dla którego pisała o tańcu, zachwycił się jej pierwszą recenzją i to było coś. W międzyczasie nastąpiło spięcie ojej esej na temat świętego Sebastiana. Rzeczniczka prasowa filharmonii zjechała to, zgodnie z obawami Lany („Nie obchodzi mnie, co mówi Debussy, nie wydrukujemy penetrowania”). Nie mając nic do stracenia, Lana wysłała kopię eseju do młodego dyrygenta występującego gościnnie z *Męczeństwem*, dobrze zapowiadającego się Angoła. Uznał, że esej „ma przynajmniej jaja” i uparł się, żeby tekst został powielony i umieszczony w każdym programie. Rzadki triumf w uładowym i ugłaskanym świecie

nowojorskiej muzyki klasycznej. Było to też małe światełko, które umieszczało Lanę wśród tych, którzy się liczyli, tym bardziej że esej zacytowano w recenzji w „Timesie”: „Tematy, które porusza Lana Burton w swoim prowokacyjnym tekście dającym do myślenia...”. Lana i Sam poszli na ostatnie przedstawienie, Sam uściśnął kolano „swojej prowokującej dziewczynki” i uczcili to w Cafe Luxemburg, a Lana myślała, że aby jeszcze bardziej uczcić ten wieczór, Sam powie wreszcie „tak”. Ale nie. Wszystko, do czego doszli tego wieczoru, to to, że zostanie u niej na noc, bo było bliżej.

Lana mówiła sobie, że miesiąc to i tak długo jak na czekanie. Ale miesiąc minął trzy tygodnie temu. Była połowa lipca, gorąca, parna, coraz bliżej sierpnia - pieskie dni, mówiła jej mama o sierpniu. Coś związanego z Heine-Medina i unikaniem wody.

Brak odpowiedzi też jest odpowiedzią.

Lana nie mogła już dłużej udawać, że nie ma takiej możliwości, że Sam, choćby nie wiem jak był szczęśliwy tamtego dnia w maju, nie chciał posunąć się dalej. Zbliżała się coraz bardziej do tego momentu, który tak ćwiczyła -jak przyjmowanie szczepionki - z nadzieją, że nigdy nie nastąpi „dumna prostota jej pożegnania”. Było jej szkoda Sama. Jakie to żałosne, że byli ze sobą tak blisko, a on wciąż nie jest gotowy. Ale dla niej samej, cóż, nie umiała jeszcze uważać wszystkiego za skończone: to otworzyłoby w niej jakąś otchłań. Więc zawracała i chciała jeszcze chwilę być zakłopotana i pełna nadziei, że jest jeszcze jakaś szansa. Raz była pochmurna, raz pogodna, znowu pochmurna, łączy w najdziwniejszych miejscach, w Coliseum Book, gdzie pierwszy raz rozmawiali, albo przy starym kościele koło Lincoln Center, pod którego gotyckim łukiem całowali się w czasie ulewy. Pomyśleć o sobie bez

niego, niemającej go, wkraczającej w upalne lato na Manhattanie, klimatyzacja komentująca szumem jej życie pozbawione miłości... Ostatnie randki nie były łatwe, gdy udawała, że jej lekko i wesoło, a tymczasem było jej ciężko na sercu i czuła się zupełnie pokonana. Dziś wieczorem zostają przynajmniej w domu, więc nie będzie musiała być urocza w restauracji. Sam wypożyczył jakieś filmy i zamówią chińszczyznę. Lana stała przed szafą otepiała, gapiąc się na swoje ciuchy. Była okropnie roztrzęsiona. Jaki sens miały te dwa lata, skoro kończą się w ten sposób? Po co starała się zawsze wyglądać tak uroczo? Rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze - mimo wszystko wyglądała ładnie, brązowe oczy błyszczące i duże, jak u gruźlika! *Très tragique*. To jest fakt, który potwierdzi większość kobiet - kiedy czujesz się najgorzej, wyglądasz najlepiej. Dlaczego?

Zwykle z niecierpliwością szykowała się na sobotnią noc u Sama. Teraz, jak płyta w zwolnionym tempie, ruszała się ospale, miała opóźnione reakcje, jakby była pijana. Weszła do łazienki i ochlapała twarz zimną wodą. Wzięła głęboki oddech przed lustrem i przemówiła sobie do rozsądku: - Dzisiejszej nocy musisz być piękna. Nie chcesz, żeby zapamiętał cię chlapiącą - co natychmiast ją załamało i rozplakała się naprawdę. Więcej zimnej wody. Włożyła białą sznurowaną bluzę, niebieskie wełniane spodnie Capri, koloru kwiatków barwinka, i nowe białe, skórzane sandały, których Sam jeszcze nie widział - odsłaniały zgrabne kostki, które miał niedługo utracić.

Wszystko tej nocy miało nastrój końca. Lana jechała zwykle metrem, ale nie chciała tym razem przyjechać wymięta od duchoty, więc wzięła taksówkę i nie siadła po prawej stronie tylnego siedzenia, ale ostentacyjnie na samym środku. Stała przed drzwiami Sama i wsłuchiwała

się w jego odkurzanie, jak zwykle na ostatnią chwilę, ten przyjazny szum, który zawsze uważała za taki kochany. Pozwoliła mu skończyć i nacisnęła dzwonek. Zamówili to co zwykle: kurczak z orzechami sosnowymi dla Sama i *goo gai* dla Lany. Wypożyczył *Dziką bandę* Peckin-paha i *Ostawioną* Hitchcocka. Świetny wybór, pomyślała, jedno o końcu ery, drugie - romantyczny wyciskacz łez.

- Obejrzyjmy *Dziką bandę* - powiedziała. Miała przed sobą jeszcze wiele długich nocy, żeby płakać nad Ingrid Bergman i Carym Grantem.

Sam zauważył, że Lana nie ma tyle energii co zwykle.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Czy on naprawdę jest taki głupi? Ale jeszcze nie czas. Jeszcze nie może mówić.

- Chyba jestem zmęczona - powiedziała.

Więc masował jej stopy przez dobre pół godziny. A w łóżku tej nocy, w pokoju niemal zimno od klimatyzacji, gładził jej czoło, co zawsze kołysało ją i prowadziło do długich, namiętych pocałunków, a potem powolne, kocie ruchy pod kołdrą, jego ciało schowane w niej, a na myśl, że go utraci, gorąca łza spłynęła po policzku aż do ucha.

Niedzielne śniadanie - tu byli na pierwszej randce, tu jedli zawsze, gdy u niego nocowała - było dosłownie nie do przełknięcia. Wszystkie te łamiące serce kicze to prawda, myślała Lana, nawet gdy dorośniesz.

Było zbyt gorąco na cokolwiek ambitnego, więc po śniadaniu wrócili do Sama. Zresztą leciał *film noir*, który on chciał zobaczyć. Najdłuższy film świata, albo przynajmniej na taki wyglądał.

- Ma kapelusze i cienie - powiedziała Lana.

- Ale nigdy nie dociera do sedna - dokończył jej myśl. Zawsze tak robili. - Skoro obejrzelismy już tyle, możemy równie dobrze dotrzeć do końca.

- O ile istnieje jakiś koniec. - Ale im dłużej trwał film, tym bardziej miała go dość.

A potem była już piąta i zjeżdżali windą na Straszny Spacer. Byli na letniej ulicy. Więc tu musi to zrobić. Lana nie wytrzymała nawet do pierwszej przecznicy.

- Nie mogę - zaczęła, zatrzymując się, i oczywiście od razu nos miała mokry, a oczy napękały się łzami. Wysokie bloki jak niemi świadkowie. Sam wyglądał na zakłopotanego.

- Co się stało? - spytał.

Spojrzała w jego niebieskoszare oczy, które tak bardzo kochała, i pomyślała: Jak blisko zatem jesteśmy, skoro musisz pytać?

- Nie mogę dalej tak iść... Nienawidzę tego. Myślałam, że byłś szczęśliwy tego ranka, gdy rozmawialiśmy, ale nie wróciłeś już do tego. - Łzy kapały jej z oczu, po rzęsach. - Jeśli nie chcesz, żebyśmy zamieszkali razem, musisz mi o tym powiedzieć - tu przerwała, żeby opanować dziecinne drganie brody, ale nie dała rady i wyłkała resztę.

- Żebyśmy mogła dalej żyć.

Pociągnęła nosem. Koniec dumnej prostoty. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek tak się odsłoniła. Ale nie przestawała patrzeć na niego przez łzy i - kurczę - wyglądał na skruszonego.

- Chcę - powiedział szybko, jakby stawał na drodze czegoś, co się porusza, żeby to zatrzymać. - Zamieszkamy.

- Patrzył na twarz Lany w skupieniu, trzymając jej spojrzenie swoim, żeby ją upewnić. - Zaczniemy od razu.

Potem odwrócił ją z powrotem i już nic prawie nie powiedział, ona też nie mogła. W windzie obejmował ją ramieniem i przytulał - jego sposób na mówienie: „nie płacz”, „przepraszam”, „kocham cię”. Łzy wciąż płynęły cicho, Lana nie umiała ich powstrzymać. Ale teraz czuła

już ten dziwny, cichy spokój, który przychodzi, gdy minie długi strach. Przekroczył granicę. Pomyślą o tym później, nie dziś, ale za kilka dni albo tygodni, pozna jego racje, dowie się, dlaczego czekał, co myślał. Oto cały on, zastanawiający się dwa razy przed wydaniem grosza, ale teraz jest już w jej rękach. Przytulili się mocno, zanim winda się otworzyła - potem przeszli korytarzem do jego drzwi. Lana pomyślała, że może da radę coś powiedzieć.

- Wrzesień? - spróbowała.

- Wrzesień.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Drzewo

Iris ubierała choinkę. Była przepiękna w tym roku - wysoka na osiem stóp, pełna wdzięku, dużo przestrzeni między gałęziami. Zachwycała ją taka, jaka była, naga w jej salonie. Najeżone gałęzie tworzące cień, szarzielone igły i jasnoniebieskie niebo w oknie. Kusiło ją, żeby zostawić drzewo takie nagie, pozwolić mu być tak obcą rzeczą, jaką naprawdę było, kawałkiem lasu z północy. Ale z półki krzyczały do niej dwa wielkie pudła. Co roku, po zdjęciu pokrywki, Iris dowiadywała się, jak dobrze lub źle spakowała wszystko poprzedniego roku. W zeszłym roku była bardzo skrupulatna.

Wczesny wieczór. Iris udało się wymigać od obiadu z przyjaciółmi. Ubieranie choinki należało do jej rytuałów i nie można było tego robić w pośpiechu. Zanim zaczęła, w pokoju musiało być czysto. Porządek, wierzyła Iris, rodzi porządek. Włączała muzykę, zwykle *Dziadka do orzechów* - zdawał się błogosławić temu świętu. Nalewała sobie ładny kieliszek czerwonego wina. Teraz może zacząć. Najpierw - najnudniejsza część - ułożyć lampki, spirala od góry do dołu. Potem girlandy. W końcu ozdoby.

Iris zawsze zadziwiało, jak bardzo nijakie były choinki większości ludzi. Jakże często zapraszano ją na świąteczną herbatę albo drinka, dodając: -1 zobaczysz naszą choinkę.

Wydaje się wtedy człowiekowi, że jest na co patrzeć. Ale Boże, ilu się paskudztw naoglądała! Bywały bezkształtne krzaczki bez przestrzeni, na które ozdoby były wepchnięte jak śmieci na parkan. Bywały omdlewające jodełki, ich każdy cal zapchany ozdobami - starymi, nowymi, pożyczonymi, niewłaściwymi plus serwetkopodobne szkarady pochodzące bez wątplenia wprost z przedszkola (sztuka szkolna, prace siostrzeńca przysłane przez Livię Iris przyczepiła na gałązkach nad kominkiem, daleko od choinki). Iris do dziś pamiętała choinkę sąsiada, tylko czerwone światełka i włosy anielskie - Kuzyn To w płomieniach. - Jaka pełna życia - powiedziała Iris nieco zbyt entuzjastycznie. - Jednak najgorsze były chyba choinki na zamówienie. Iris wspominała Rok Karmazynowych Kokardek, Rok Brązowionych Szyszek. - Jakie sprytne - mówiła do dumnego właściciela.

Uwielbiała moment unoszenia pokrywki swojego pudełka z ozdobami. Nigdy nie była kolekcjonerką. Wprawdzie jako dziecko zgromadziła dwie pełne półki końskich gadżetów - figurek, ukochanych książek - ale tak robiły wszystkie dziewczynki wariujące na punkcie koni. Szybko zorientowała się, że kolekcje jej koleżanek miały w sobie żarliwość, której brakowało Iris. W końcu zrozumiała, że woli jedną idealną rzecz od rządów podobnych przedmiotów. A jednak kolekcjonowała ozdoby choinkowe. Zaczęło się, kiedy wyszła za Ericha. Salon na Society Hill miał tak wysoki sufit, że potrzebowali naprawdę wysokiego drzewka, a cóż może wyglądać bardziej szykownie na drzewie na dziesięć stóp od tych przerośniętych ozdób o organicznych kształtach z lat pięćdziesiątych. Wyszły już z mody, ale jeszcze były tanie i miały jakiś sens, skoro Erich był naukowcem. Przeszukała całą Filadelfię, wynajdując ozdoby, które wyglądały, jakby projektowali je

Kandinsky lub George Jetson, ozdoby o kształtach pantofelków i cebul, wielkie jak dmuchane kieliszki do brandy. Zanim przyszły ich trzecie święta, choinka stała się niezłym widowiskiem - jak u żadnego z ich przyjaciół - a przyjęcie u Biddle'ów było wydarzeniem na całym wydziale.

Kilka dni przed przyjęciem Erich obserwował, jak ubiera choinkę. Siadał w swoim fotelu klubowym, trzymał dla niej całe liany taśmy klejącej i patrzył, jak Iris biega po drabinie z kłóciami światełek, i słuchał jej opowieści o tym, jaki ojciec był wspaniały na święta, jak wybierał razem z dziećmi odpowiednią choinkę, każde z nich przeszukiwało jeden kawałek trzeszczącej śniegiem, półakro-wej szkółki i przedstawiało swoich finalistów, a potem wspólnie decydowali, którą wybrać. Iris pamiętała, jak się biegło między tymi arktycznymi rzędami pochyłonych, strzelistych drzew, żeby znaleźć ojca i siostry w labiryncie, a potem debaty na temat wysokości i kształtu, kiedy wyciągał drzewko po drzewku ręką schowaną w rękawiczce. Zamarznięte słońce, ich oddechy białe jak lód. A potem ubieranie choinki i kolejne debaty (czy chcemy gwiazdę czy czubek?). W świąteczny poranek odnajdywały cztery prezenty, po jednym dla każdego dziecka, każdy wybierany wspólnie przez mamę i tatę. Iris wciąż je pamiętała. Olbrzymia księga baśni. Jej pierwsze siodło (och, ten zapach skóry). Szafirowe kolczyki *noeud d'amour*. A w pierwszej klasie college'u te prześliczne buty do kostki Yves Saint Laurenta. Nie mogła oczywiście przesadzać, żeby Erich nie poczuł, że go porównuje do ojca i że nie dorasta do tego ideału - siedział tam ze szklanką pełną lodu, podpowiadając jej „trochę w lewo”, „wyżej”, a kostki lodowe dzwoniły, gdy coś wskazywał. Iris nie spotkała nigdy faceta tak hojnego jak jej ojciec. Zanim minął szósty rok,

Erich już czytał, gdy ona pracowała, z rzadka podnosząc głowę, czasami drzemiąc. Starła się urozmaicić mu czas, robiła egzotyczne grzane wino albo podawała kawior, albo otwierała szampana, ale dla niego choinka była nudziar-stwem. Przestała opowiadać swoje historie z drabiny. Przestała używać słowa „ojciec”.

Kiedy opuszczała Filadelfię, wzięła wszystkie ozdoby, choć domyślała się, że na Manhattanie nie będzie miała sufitu na wysokość dwunastu stóp. A zresztą zaczęła zbierać wiktoriańskie girlandy, bombki duże i małe jak groszki nanizane na woskowane nitki. Były prawie nie do znalezienia i zaczynały być drogie, ale takie urocze - dotyk zamożności. Iris najbardziej ceniła te girlandy, których złote lub srebrne listki osypywały się jak cukier, pozostawiając niemal delikatność weneckich specjałów. W czasie pierwszych świąt w Nowym Jorku spędziła całe niedzielne popołudnie, reperując girlandy, dumając nad kruchością szkła, niepewną różnicą między mrozem a lodem. Zadziwiało ją, że te połyskujące bańki przetrwały całe dziesięciolecie - na strychach, w piwnicach - i jeśli tylko któraś jej się przypadkiem stłukła, uderzał ją brzęk tej straty.

Z żalem opuszczała swoją choinkę na kilka dni i jechała na święta do rodziny w Barrington, w stanie Illinois, gdzie tkwiła w swym samotnym czyścucu, będąc jednocześnie ich i już nie ich. Co roku, gdy wychodziła przez przesuwane drzwi O'Hare'ów na mroźny wiatr, uderzające zimno przypominało jej, że opuściła dom (w Nowym Jorku naprawdę nie pamięta się, czym jest prawdziwy mróz). Co roku, gdy samochód sunął na północny zachód po Kennedy Expressway (kiedyś podwoziła ją mama, ale teraz zamawiała limuzynę), biura, które powstawały, gdy miała kilkanaście lat, zdawały się kurczyć, jakby siadło na nich i gniotło je potężne, środkowozachodnie niebo. Wchodziła

do domu kuchennymi drzwiami, gdzie zapadały się schodki. Dom zbyt duży teraz, gdy wszyscy pięcioro wyjechali, a matka nie wyszła ponownie za mąż. Dziwne uczucie, bycia kimś z zewnątrz. I zanim jeszcze postawiła walizki, jej matka już była przy lodówce, już chciała coś podgrzewać, przyrządzać nowy rodzaj zapiekanki 'jak wycięty z „Good Housekeeping”, a Iris przecież pragnęła tylko filiżanki gorącej kawy i trochę czasu na poznanie, co się zmieniło, a co nie.

Zwykle wszystkiego ubywało. Znudzona rzeczami materialnymi i nastawiona na współczesność mama zmieniła święta w coś luźniejszego, mniej wymagającego i wygodniejszego. Nie wkładała już zielonych i czerwonych żaróweczek do lamp na podwórku - kiedyś, gdy żył jeszcze ojciec, było to tradycją. Trzeba ją było namawiać na pasterkę (choć zawsze była zadowolona, kiedy już tam byli). No i w przedpokoju pojawiła się sztuczna choinka - to był po prostu cios, tym większy, gdy Iris zobaczyła, że mama wiesza na niej jabłka z masy papierowej kupione w pobliskim sklepie ze świecidełkami. - Och, Iris, proszę, zostaw to tak, jak jest - narzekała mama - za dużo kłopotu jest z tym noszeniem starego pudła z piwnicy. W ogóle myślę, że jabłuszka są urocze.

Dom ożywał dopiero wtedy, gdy pojawiała się rodzeństwo Iris z małżonkami, dziećmi i psami. I Iris pochłaniał ten harmider, niekończące się plany, kto gdzie pojedzie, kto chce kawy z baru Dunkin' Donuts, jaki jest rozkład dnia na święta i weźmy dzieciaki na kręgle itp. Potem Iris (ciocię Iris dla dzieci) zabierano na przejażdżkę, przekrzykując się plotkami i chichocząc, jedna noc u jednej siostry, druga u drugiej - każda uważała się za lepszą gospodynię i żądała od Iris potwierdzenia - telefon podawany z rąk do rąk, a każdy mówi „Wesołych Świąt” do czwartej siostry w Minnesocie, zasypanej śniegiem wraz z mężem

i trzema synami, i border collie, który wszystkich pilnuje. I co roku jakiś dramat: burzliwy związek brata z jego szaloną dziewczyną; mamie nie chce się ćwiczyć (- Oj, dzieci, a nie mogłybyście robić tego za mnie?); głośne protesty, gdy jednej z sióstr podejrzenie dobrze idzie gra w karty. Iris uciekała na krótkie chwile, a że była najstarsza i samotna, nikt nie protestował. Podczas wieczornej sesji Monopolu (głupia gra, gdzie liczy się tylko ślepe szczęście, w którą Iris nie będzie grać), wiedząc, że matka nie będzie jej miała tego za złe, poszła do piwnicy w poszukiwaniu starego pudła ze świątecznymi ozdobami. Znalazła je na zakurzonej półce w kotłowni i zabrała skarby zgromadzone w dzieciństwie.

Trzeba odwijać bardzo delikatnie. Szopka bożonarodzeniowa w wydumuszce - Matka, ojciec i Dzieciątko zrobieni z malutkich drewnianych szpulek, unoszeni na chmurce szklanej waty. Jajko jest jasnozielone - kolor nieba na ziemi, wyobrażała sobie Iris. Pamiętała, jak rodzice przywieźli je ze swojej wycieczki do Loop, gdzie bez wątpienia zrobili zakupy w Marshalls Field's. Zawsze przywozili przepiękne rzeczy z Field's. Zauroczyło ją to jajko, jego magiczna zawartość, dzieło wewnątrz dzieła, i już wtedy powiedziała: - Chcę tę ozdobę pewnego dnia. - W któreś święta, może miała wtedy ze trzynaście lat, odpakowała wydumuskę, podniosła ją do góry i uważając się za niezwykle dowcipną, powiedziała: - Tatusiu, co było pierwsze jajko czy święta? - Też uważał, że to było dowcipne, widziała to w jego ciemnych oczach i po tym małym drgnięciu kącików ust, tym malutkim ruchu tuż przed rozplnięciem się w uśmiech, i odpowiedział: - Jeśli umiesz wymyślić taki dowcip, możesz mi też powiedzieć, co ty o tym uważasz. - A teraz, mocno po trzydziestce, gdy nikt nie patrzył i nikomu pewnie nie zależało, trzy pokolenia

zajęte szansami i miejscem parkingowym, Iris wrzuciła ozdobę do swojej torby.

Święta czy jajko. To było dowcipne, szary cień w pokoju, którego tu nigdy przedtem nie było, ukłuł ją w serce.

Stało się to wieczorem pierwszego dnia świąt, kiedy wróciła do domu po pierwszym roku w Nowym Jorku. Zawołano ją, jej siostry i ich młodszego brata do salonu na „rozmowę o życiu”. Wtedy właśnie dowiedzieli się o chorobie ojca. Tydzień później Iris patrzyła, jak rodzice przyjmują swoich najbliższych przyjaciół na noworocznym obiedzie, na jednym z tych eleganckich, serdecznych przyjęć, które tak dobrze im wychodziły. Wybiła północ, Iris była sama w kuchni, wycierała kryształowe kieliszki przy kuchennym blacie, za nią ciemność. Słyszała noworoczne życzenia w salonie, pocieszające wykrzykniki odwiecznych przyjaciół rodziny. A potem do kuchni przyszedł ojciec. Taki uśmiechnięty, krzepki i przystojny, włosy przyprószone siwizną, smoking - dla niej nigdy nie wyglądał już starzej. Przeszedł z otwartymi ramionami i przytulili się bez słowa. Po prostu otulił ją ramionami w czarnym, dopasowanym smokingu, jego uścisk mówił: „Kocham cię. Jestem z ciebie dumny. Zawsze”. Całe ich życie - ojca i córki - uchwycone w tej jednej długiej chwili, jej serce pękające, żeby być dzielną i się nie załamać. A potem wrócił na swoje przyjęcie. Po tylu latach Iris wciąż czuła ciepło tego wspomnienia. Bliskość i ciemność. Powaga. Początek pożegnań.

- Gdzie jesteś? - spytała teraz szeptem i pokręciła głową.

Podeszła do okna i uchyliła je, pozwalając, żeby zimno z Manhattanu spotkało ciepłe drzewko. Więcej muzyki! - pomyślała i włączyła CD z ariami Mozarta, które dostała od siostry. Odsunęła się, wzięła łyk czerwonego wina i spojrzała na choinkę, która pobłyskiwała jak dama wy-

szykowana do opery. W tej samej chwili Elisabeth Soderstrom przeszła do *Porgi, amor* głosem jak stare złoto, podobnym do girland, które drżały na choince. Iris przymknęła trochę okno.

Został jej do odpakowania ostatni zestaw ozdób. Kolekcja, którą nie do końca umiała sobie wytłumaczyć - ptaszki z dmuchanego szkła. Trzyma je w puszcze po herbatnikach, każdy owinięty w białą papierową chusteczkę. Pierwszego ptaszka kupiła zupełnie przypadkowo w pudełeczku znalezionym na weekendowej wycieczce do Newport.

Sprzedawca powiedział jej, że ptaszek jest właściwie najstarszy w pudełku i najcenniejszy. Dla niej wyglądał raczej jak żalonna srebrno-różowa łódź podwodna z dziurką zamiast ogonka, małym zawijaszem zamiast główki i dzióbka i dwoma kłębkami brokatowych włosów anielskich w miejscu, gdzie powinny być skrzydełka. Jednak w domu im dłużej przyglądała się ptaszynie, tym bardziej zdawała jej się elegancka. Wkrótce kupowała już tylko ptaki. W końcu ma to pewien sens, żeby mieć drzewko pełne ptaków. Miały pióropusze ze szklanej waty i metalowe klamerki zamiast nóżek, więc można je było tak przyczepić do gałązki, jakby przed chwilą na niej przysiadły. Znajdowała królewskie perłowo-zielone łabędzie w koronach i ozdobne pawie także ukoronowane (służąca jej matki nazywała się po węgiersku Paw).

Odwijając kolejne ptaszki, oceniała je na nowo: „Ten jest ładniejszy, niż sądziłam” lub „Ten jest zbyt pstrokaty, muszę się go pozbyć”. Ptaki, które najbardziej lubiła, były abstrakcyjne, jak ten pierwszy, stylizowane jak hieroglify, unoszące się na kłębach anielskich włosów, które mogły być skrzydłami, a mogły być gniazdkiem, jakby obie te rzeczy były tym samym. Czyżby były? Czy życie nie było gniazdkiem lub lotem? Czy ona się zaszyła, czy odlatywała?

Iris zmusiła się do układania ptaków na gałęziach, ale nawet przy włączonej muzyce pokój był zbyt cichy. Ptaki już jej tak nie cieszyły jak w zeszłym roku. Gdy weszła na drabinę ze swoim ulubionym ptaszkiem, pomyślała tylko: Jestem taka jak ty, utknęłam we włosach starych aniołów, i aż się uśmiechnęła na tę ponurą wizję. Wzięła głęboki oddech, ale i tak coś drapało ją w gardle. Ucichła muzyka, zostawiając ją zupełnie samą wysoko na drabinie. Sięgnęła w stronę idealnej gałązki i gdy wygięła się, żeby umieścić tam ptaszka, przyplął do niej zapach balsamu, przyplął przez zaspane śniegiem lata, zapach pełen środkowozachodniej zimy, Wigilii i porannych snów - i wszystkie światełka na choince zlały się w małe gwiazdne punkciki, zamazały się. Iris poczuła na policzkach łzy. Iris, która nigdy nie płacze. Chcę tę ozdobę pewnego dnia. Tamten dzień wołał do niej, a ona nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Rząd J

Lana zmierzyła wzrokiem długi rząd w poszukiwaniu swojego miejsca prasowego, J-128, martwy środek. A oto Fernanda, już na stanowisku, głowa wygięta w tym znajomym, poszukującym i agresywnym geście. Była za cztery ósma i Lana musiała już wejść, za nią tłoczyli się zniecierpliwieni ludzie. Czowała, że serce bije jej nieco za szybko. Nie możesz uciec, oznajmiła sobie, jej głęboka konsternacja przeszła w panikę. Och, dlaczego musimy siedzieć obok siebie?

Nie rozmawiały ze sobą od dwóch tygodni, czyli od tamtego niedzielnego wieczoru, gdy Lana wróciła z weekendu spędzonego z Megan.

To był pomysł Megan, decyzja jednej chwili, żeby spotkać się w pierwszy, ponury weekend po Nowym Roku w śnieżnym Berkshire, w połowie drogi między Laną a Megan. To była radość - tylko one dwie szwendające się po małych sklepikach, po południu cappuccino i poświęteczne podsumowanie: teściowie Megan, pierwsza choinka Lany i Sama, Livia zadzierająca nosa w Kenilworth. I wiele mówiły, o ironio, o Fernandzie, o tym, że wszystko jest dla niej emocjonalną walką; o tym, jak Lana, mimo że zmęczona już tym notorycznym Sturm und Drang Periode, podziwia odwagę Fernandy w tych walkach, jej sposób na

stawianie czoła swoim demonom o kształtach Boscha. Być może Lana była zbyt dumna ze swojej pozycji anioła stróża. Bo jeszcze tej nocy stała się aniołem upadłym.

Wróciła do domu koło piątej po południu. Wynajmowali teraz z Samem urocze przedwojenne mieszkanko w Piątej Alei, boczna od Jedenastej Ulicy (nigdy więcej Strasznych Spacerów), ale wciąż nie lubiła tej godziny, weekend odpływający jak ostatnie ziarnka piasku w klepsydrze i nadchodząca fala nowego tygodnia. Kotka Sama, Spiffy, otarła się o jej kostki, gdy Lana pozwoliła torbie wyslizgnąć się na podłogę, a potem zaczęła obwąchiwać jej rzeczy. Gdzie Sam? Znalazła go drzemiącego w sypialni pełnej zmierzchu. Wsunęła się obok niego - dał jej zaspanego buziaka - i poczuła się szczęśliwa i smutna jednocześnie. Szczęśliwa, że obok jest Sam, a smutna, bo, cóż, zawsze w niedzielę czuła się taka malutka.

Ale drzemka ukoiliła smutek i jakby wydłużała aksamitną chwilkę między dniem a nocą. Kiedy obudził się Sam, nie kochali się, ale szeptali cichutko, jej głowa na jego ramieniu, i zdecydowali, że na kolację zrobią spaghetti. Przeszli przez mieszkanie, zapalając światła i zrobiło się wesoło, przytulnie i złoto. Po obiedzie Sam siadł do przestudiowania czegoś tam (czas na studiowanie był jednym z jego warunków przed wprowadzeniem się), a Lana przygotowała się do obejrzenia *Masterpiece Theatre*. I wtedy właśnie zadzwonił telefon.

Było około wpół do dziesiątej, a głos Fernandy uderzał w wysokie tony i pobrzmiwał stalowo, jak zawsze wtedy, gdy czuła się skrzywdzona.

- Byłam wczoraj w teatrze - zaczęła - i René pokazał mi twój artykuł w „The Atlantic”, a zawsze mi się zdawało, że to nieco dziwne, że ty mi go nie pokazałaś... przez cały ten miesiąc! Teraz już wiem dlaczego.

Żegnaj ciepłko publicznej telewizji i Anglio za Edwarda. Żegnaj przytulny salonie.

- To duży kawałek.

Lana poczuła suchość w ustach.

- A mówiłaś mi, że to tylko kilkaset słów.

To prawda. Lana zbagatelizowała zakres i - no, dobra - długość eseju tak bardzo, że - tak - skłamała (brzmiały jej teraz w uszach słowa ojca: „nie buduj niczego na kłamstwie”). Bała się powiedzieć Fernandzie, jak duży był ten tekst, bała się o ich przyjaźń, bo wiedziała jedno: Fernanda nie będzie mogła ścierpieć, że to Lana dostała takie ambitne zlecenie, a nie ona. Wszystko było dobrze, dopóki Lana pozostawała tą drugą. Miała być tą rozsądną. Nie starała się przyćmiewać starszych i, jak myślała z pewnością Fernanda, tych lepszych. Lana zdała sobie teraz sprawę z tego, że tylko odwlekała nieuniknione. Starając się postępować delikatnie z uczuciami Fernandy, postąpiła nieuczciwie. Powinna była powiedzieć prawdę.

Ale czemu właściwie miałyby pisać ten esej w aurze potępienia? I niby czemu musi się spowiadać Fernandzie czy komukolwiek innemu? Lana ciężko pracowała przez te wszystkie lata i miała talent. I tak już po prostu było, że jej talent został dostrzeżony, a Fernandy nie. To była jedna z prawd życiowych Nowego Jorku, której trzeba się było nauczyć w ciągu pierwszych miesięcy: nie zawsze zwyciężają najbardziej utalentowani. Może są zbyt skomplikowani dla rynku lub zbyt delikatni, albo ich talent nie ma odpowiedniego opakowania, albo kontroli. Fernanda miała swoją szansę w pierwszych latach. I sama sobie utrudniała życie, pisząc przydługie polemiki, których nie wydrukowałyby nigdy w swoim własnym magazynie. Teraz Lana miała swoją szansę.

- Ale to nic w porównaniu ze znacznie większą zdradą
 - kontynuowała Fernanda. - I to ty, Lano, spośród nich wszystkich.
 - Ale co ja takiego zrobiłam? - wybąkała Lana, bezskutecznie próbując uniknąć pozycji obronnej. Nigdy, przenigdy nie wygrasz, jeśli przyjęłaś pozycję obronną i jesteś słaba, a, kurczę, miała właśnie taki słaby głosik. Fernanda, wyczuwszy strach, zaatakowała.
 - Ukradłaś mój pomysł. Wykorzystałaś mój pomysł, wykorzystałaś mnie. Ukradłaś mój pomysł i to dla pieniędzy.
 - Słowo „pieniądze” zabrzmiało jak grzech. Lana poczuła przyływ adrenaliny. Drżała.
 - Coooooo? - to była cała jej reakcja.
 - Plagiat.
- Lanę zabolalo to słowo. Słowo, którego, jak jej się zdawało, nikt nigdy nie miał prawa połączyć z jej nazwiskiem.
- Wiesz, o którym zdaniu mówię - nacierała Fernanda.
 - O tym, że *Dziadek do orzechów* to świąteczna psycho-drama.
 - Fernando - protestowała Lana. - Wiem, że użyłaś określenia psychodrama, ale w moim artykule pytałam o to, jakiego rodzaju jest to psychodrama. Rozwinęłam to. Wzięłam pod uwagę listy i pamiętniki Czajkowskiego. I...
 - To było moje zdanie, a ty mi je ukradłaś.
- Zdanie? To nawet nie było zdanie, tylko obserwacja rzucona od niechcienia („Kolejna psychodrama Czajkowskiego”). Lana rzeczywiście przekłamała długość tekstu, ale nigdy nie ukrywała jego przedmiotu. Omawiała go z Fernandą co najmniej dwa razy.
- A gdybyś mnie o nie spytała, nie dałabym ci go.
 - Ależ spytałam - upierała się Lana. Ale czy spytała? A może wspomnianie o tym było jakby pytaniem?

- I o ile mi wiadomo, cały artykuł opiera się na tym jednym zdaniu. Moim zdaniu.

To było bezczelne. Fernanda zdawała sobie sprawę z tego, że ten artykuł nie opiera się na sile jednego zdania. Jeśli cokolwiek zaważyło na jego wydrukowaniu, to może to, że redaktor był pod wrażeniem tekstu o świętym Sebastianie, który pokazywał, że Lana umie robić dokładne analizy wielkich dzieł sztuki.

- To nawet nie było zdanie - powiedziała Lana, wiedząc, że w ten sposób tylko zirytuje Fernandę, ale ciągnąc mimo to. - Wszyscy wiedzą, że *Dziadek do orzechów* to jedna wielka podświadomość. Powinnaś posłuchać, co mówi o tym Dwight.

- Mam doktorat i nie potrzeba mi ciebie ani Dwighta Davisa, żeby mi mówił, co jest zdaniem, a co nie. Czuję się jak kompozytor w *Czerwonych pantofelkach*. Ten, któremu ukradziono symfonię.

A więc nie tylko oszczerstwo, ale jeszcze wciąga w to jeden z ulubionych filmów Lany! Przynajmniej Lana przestała wreszcie drzeć. Teraz ogarnęła ją już tylko czarna rozpacz. Przechodzący przez pokój w drodze do kuchni Sam rzucił jej pytające spojrzenie, na które pokręciła ponuro głową. Uścisnął jej ramię.

Lana przestała się bronić i zaczęła przeproszać.

- Przykro mi, że czujesz, jakbym cię okradła - powiedziała, co tylko rozsierdziło Fernandę, która nie chciała przecież współczucia, tylko przyznania się do winy. Rozsądek Lany, chwilowo sparaliżowany w czasie ataku, powracał i dawał o sobie znać.

Rzecz w tym, że Fernanda wypracowywała poczucie winy u Lany od miesięcy: za zbyt rzadkie dzwonienie, za nieosiągalność w sobotnie noce, za mieszkanie z Samem. Szczególnie za Sama. Od wrześnień spięcia Fernanda

bardzo się zmieniała, jakby już nie mogła przemykać oczu na pewne drażniące drobiazgi - wiadomość bez odpowiedzi aż do rana, odmienne zdanie - choćby najniewinniej-sze. Lana czuła ukłucia małych szpileczek wściekłości. A teraz ta szpada. Jakby wszystkie żale Fernandy zebrały się w jedną wielką stertę z napisem „plagiat”. W jednej z tych długich telefonicznych ciszy, kiedy słyszysz otchłań kosmosu, Lana usłyszała w duchu swoje własne słowa powiedziane do Megan: - Wiem, że kiedyś spadnę z tego piedestału. - Ale kto mógł przypuszczać, że od razu następnego dnia. DZISIAJ.

Minęła godzina i rozmowa - kołując, przystając, migocząc - skończyła się wreszcie na tym, że Fernanda obwieściła coś jakby zawieszenie broni i poinformowała Lanę, że czeka teraz na jej następne poczynania. Lana wykończona i z bolącym sercem wyplakała się w rękaw Samowi, który uznał całą kłótnię za „pensjonarską”, a oskarżenie za absurd. - Nawet jeśli nie spytałaś - powiedział - pogaduszki w antrakcie nie stanowią własności intelektualnej. - Gdy zasypiali, głaskał dłoń Lany i jej ciężkie serce, a „czy źle zrobiłam, używając jej sformułowania?” i „czy ona ma rację?” powoli umilkły.

Następnego ranka obudziła się raptownie, dzień już zalewał ściany i od razu wpadła w nową spiralę strachu: Fernanda pozwie mnie do sądu, dostanę etykietkę „plagiatorka”, Lana Pryne, *Szkarłatna litera*. Nie ma gorszego oskarżenia dla pisarza - będzie cię prześladować już na zawsze. Lana była przerażona, czuła, że Fernanda od dawna czekała na coś takiego, żeby uderzyć. No nic, rzecz w tym, że muszę coś z tym teraz zrobić.

Przyszła do biura trochę wcześniej, koło ósmej. Chciała zadzwonić do Dwighta. Nigdy jeszcze nie chciała do niego zadzwonić tak bardzo jak dziś, ale wiedziała, co by jej

powiedział: - Widziałaś, jak walczy z innymi ludźmi. Naprawdę myślałaś, że nie zabierze się za ciebie? - Usłyszałyby, jak się zaciąga - „pogadajmy o świątecznych psycho-dramach”. Wiedziała, że byłby znudzony, bo już mu się zwierzała z problemów z Fernandą i pękał z radości. Jedli w barze koło Lincoln Center i nie wyglądał najlepiej - chudy, przemęczony - ale jej wieści od razu go ożywiły. Dwight czarno widział kobiecą przyjaźń. Właściwie czarno widział prawie wszystko. - Nie cierpię gejów, nie cierpię hetero i nie cierpię kobiet - powiedział jej kiedyś, a Lana powiedziała to, co mogła w takiej sytuacji: - D-w-i-g-h-t - przeciągając to na mniej więcej dziesięć sylab. Wiedziała, że mu na niej zależy, ale nie zadzwoniła do niego, bo, jak powtarzał jej już wiele razy, na śliskim stoku jesteś sama. I nie zadzwoniła też do Megan. Było za wcześnie - zadzwoni do niej wieczorem - a zresztą Megan mogło się to wydać dziecinadą. Lana sama się w to wpakowała i sama się wypakuje. Zamiast dzwonić do znajomych, Lana zaczęła ćwiczyć, co powie, gdy zadzwoni do Fernandy o dziewiątej.

- Myślę, że miałaś rację, chyba rzeczywiście nie spytałam cię o „psychodramę” - powiedziała. - Mówiłam tylko o tym, że jej użyję. Uznałam, że wszystko jest w porządku, bo nie zaprotestowałaś, ale nie powinnam była tak uznać. Być może byłaś zbyt zażenowana, żeby zaprotestować. Jeśli tak właśnie się stało, to źle postąpiłam.

- Dziękuję - odpowiedziała Fernanda. - Doceniam to.

Potem Fernanda przyznała, że pamięta, że Lana wspominała o tym (co Lana przyjęła z głęboką ulgą i podziękowała Fernandzie w zamian).

Jednak Fernanda nie była pewna, czy to aby wystarczy. Powiedziała:

- Byłoby lepiej, gdybyś do mnie nie dzwoniła. Mam wiele do przemyślenia.

A teraz spotkały się znowu w teatrze, tam gdzie rok temu - z początku nieufne, potem nierozłączne, a teraz... co? Igranie z ogniem. Lana próbowała pokonać szeregi kolan i dotrzeć do środka. Fernanda pochyliła głowę nad programem i gdy tylko Lana usiadła, zapadły ciemności, oszczędzając je obie. Balet był różowy i pełen piruetów, ale Lana, przerażona profilem z lewej, siedziała zamarła, z głową tak nieruchomą, że nie było żadnej ciągłości w tym, co widziała - prognoza pogody w baletkach. Gdy tylko opadła kurtyna, Fernanda znikła. Jeden balet do przodu, przed nimi jeszcze dwa.

Lana dobrze wymierzyła czas pierwszego antraktu i znowu się spóźniła. Ale obydwie źle oszacowały długość drugiego antraktu, pojawiły się dokładnie w tej samej sekundzie na przeciwległych końcach rzędu, zobaczyły się nawzajem w tej samej chwili i obie postanowiły, że nie można stracić twarzy i zawrócić.

- Cześć, Lano.

- Fernando. - Lana kiwnęła jej głową. Cisza, gdy usadowiły się na swoich miejscach. Lana patrzyła prosto przed siebie na wyjątkowo nudną kurtynę. Jeśli nie powinna była dzwonić do Fernandy, na pewno tym bardziej nie powinna wymagać od niej rozpoczęcia rozmowy. Pozwoliła wzrokowi pobiec aż na sufit. Trochę przypominał jajka Feberge.

- Wiesz, Lano - zaczyna się, Lana czuła to po tonie i odwróciła twarz, ale nie ciało, w stronę Fernandy - myślałam o tym, co mi powiedziałaś, i to nie wystarczy. Nie przyznałaś się do kradzieży. - Fernanda rozwijała pełen, bezlitosny atak. - Chcę usłyszeć, jak to powiesz. Ta przyjaźń bez tego nie przetrwa.

A co to by wtedy była za przyjaźń? - chciała zapytać Lana, ale zamiast tego powiedziała:

- Znowu tamto? Myślałam, że przez telefon osiągnęliśmy porozumienie, a teraz j esteśmy znów na starcie. Wiem, że powinnam była ci powiedzieć, że to poważny, duży tekst. Źle zrobiłam, że nie powiedziałam. Ale jeśli chcesz, żebym skamlała o litość... nie będę. To nie jest przyjaźń.

- A co? Wykradanie moich pomysłów dla wsparcia swojej - zakreśliła w powietrzu cudzysłów - „kariery”?

Lana spojrzała na nią przeciągle:

- Nie wracam do tematu „psychodramy”. Fernanda nadeła się.

- Powinnaś była wiedzieć, że nie chciałam, żebyś użyła tego zdania.

- Tak. - W Lanie aż się zagotowało. -1 powinnam jeszcze była czytać w twoich myślach. Mam serdecznie dość czytania w twoich myślach.

- Ale nie masz dość podbierania moich myśli. Wiesz, że to już nie pierwszy raz.

Lana spojrzała na nią.

- *Buffy - postrach wampirów*. To ja ją odkryłam, a potem ty uznałaś, że o niej napiszesz.

Lanie opadła szczęka, a potem rozdziawiła się w uśmiechu.

- Zobaczyłaś ją dwa odcinki wcześniej niż ja. Czy to sprawia, że Buffy jest twoja? Należy do ciebie? Czegoś tu nie chwytam. Dlaczego niby jest twoja?

Fernanda siedziała dumnie, nie zniżyła się do odpowiedzi, a ktoś próbował je minąć - purpurowa spódnica na wysokości ich twarzy i podskakująca za nią brązowa torebka. To pozwoliło wrócić Lanie do rzeczywistości wokół nich: wypełniająca się sala. Czy ktoś je słyszał? Jak to wyglądało? A gdyby ktoś patrzył na nie z balkonu, czy uznałby to za kłótnię? Lana wyprostowała się i kontynuowała ściszym głosem.

- Tak naprawdę wszystko to zmyśliłaś, prawda? Żebym ja siadła na ławie oskarżonych. Nie miałam pojęcia, że jesteś aż tak... zazdrosna.

Fernanda zatrzepotała dłońmi w niemym oburzeniu:

- Zazdrosna! Rzeczywiście, jestem zazdrosna o kogoś, kto myśli, że *Wizja Piotra Oracza* jest o uprawianiu roli. Kto musi spytać, gdzie leży Bośnia.

- Lana nigdy nie udawała, że jest geniuszem geograficznym. - A może pytasz mnie o takie rzeczy, żeby nie pytać Sama? Czy nie byłby pod wrażeniem? - I przedrzeźniającym tonem: - Kiedy dokładnie skończyła się druga wojna światowa? Czterdziesty czwarty czy piąty? - I opuściła głos jak siekierę: - Niech teraz ktoś inny myśli za ciebie.

Nie było już powrotu. Czas było pozwolić temu odejść.

- Prawda jest taka - powiedziała Lana, szybko i cicho - że szukałaś sposobu, żeby skończyć tę przyjaźń, i udało ci się. To zawsze tkwi w tobie. Moja lojalność, lojalność innych, zawsze w tobie. Nie będziesz się już znęcać nade mną.

- Posłuchaj siebie samej - Fernanda postanowiła pokazać Lanie ją samą - jesteś taka zła. Myślisz, że nie jesteś, ale jesteś.

- A ty taka mała.

To było podłe, ale Lanie było już wszystko jedno, miała dość bycia ostrożną. Było już ciemno, zaczynał się trzeci balet i były tylko dwiema głowami w morzu głów. Więc tak to się kończy. Mała i zła. Zanim zorientowała się, co robi, Lana pochyliła się i szepnęła:

- Przykro mi, nie chciałam, żeby tak to się skończyło.

- A mnie nie jest przykro - wycedziła Fernanda. - Czuję się teraz lepiej.

I taka była prawda. Fernanda nie tylko czuła się w bitwie jak ryba w wodzie, ale lubiła też ten gorzki, zniszczony krajobraz po bitwie, którego większość ludzi boi się

najbardziej. Dla niej była to tylko kolejna przestrzeń do życia - na pobitym szkle. Teraz czekała tylko na następną osobę skazaną na ten sam los, razem rozegrają to jeszcze raz.

- Wiem, Fernando - Lana wiedziała o tym aż za dobrze - jak zawsze.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

F(light)

Iris miała już dość tej dziewczyny z galerii. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest to szczególnie poprawne politycznie myśleć o niej jako o dziewczynie. W końcu ta pani była właścicielką galerii. Zgrabna intelektualistka o czarnych włosach upiętych w kok wielkości piłeczki tenisowej (kok, który zawsze imponował Iris). Miała ładny, przyciszony, przepalony tembr głosu - jak zblazowana Amerykanka we francuskim filmie - i ubierała się w ładne, stonowane kaszmiry o zapachu papierosów. Była przekonująca - nieustannie przekonująca cię do swojego smaku, swojego zapachu, swojej ambicji, żeby mieć rację w swoich estetycznych poszukiwaniach. A kto miałby prawo powiedzieć jej, że nie ma? Jej galeria - **flow** - była teraz najmodniejszym miejscem na zachód od Chelsea (bardzo na zachód, właściwie stała na rzece).

Zaistniała, gdy w programie Charliego Rose'a, powiedziała: -

Postmodernizm to dziecinada! Dziecko rzucające się na wszystko, co je mija. -1 nie przeszkadzało, że błyszczy się jak księżyc, że ma twarz porcelanowej laleczki. Charlie nigdy jeszcze nie przechylił się tak bardzo ponad swoim stolikiem. A ona powiedziała: - Moja galeria nazywa się **flow**, bo właśnie płynność to stan, do którego wszyscy dążymy.

Wystawiam prace, które pokazują równowagę, intensywne napięcie między niewinnością a doświadcze-

niem, mięśniami a umysłem - położyła swoje długie, białe palce na wielkiej łapie Charliego - między dziewiątą a piątą, Charlie, i majestat. - Już był cały jej. - Innymi słowy, Charlie, mam obsesję na punkcie tej chwili, gdy rękodzieło staje się nieuchwytnie. Prześladowają mnie takie dzieła sztuki - rzeźba, metalurgia, nawet gips - które są właśnie w takim niebezpieczeństwie zniknięcia. Wiesz, skoro tyle sztuki to tylko pozory i karierowiczostwo, musimy wsłuchać się w muzykę pracowni. Czy zauważyłeś, Charlie, piękno włazów kanalizacyjnych na Manhattanie? - Nazywała się Emily Edwards, ale dla Iris pozostanie dziewczyną od galerii. Taki sposób na utrzymanie tej fantastycznej energii na zatoce. Wszystko stało się bardzo szybko. Cóż, najpierw powoli, potem szybko. Zaczęło się ponad rok temu, tamtego marcowego dnia, gdy Iris poszła pobiegać do Gramercy Park i postanowiła zrobić abażur z gałązek. Nie chodzi o to, że miała już dość jedwabiu. Nigdy nie będzie miała go dość. Był jej sposobem na życie. Ale nagie gałązki w parku zdawały się tamtego dnia pokazywać jej nową drogę, ścieżkę do innego świata. Nie od razu zaczęła. Była jeszcze na etapie planów i aż za dobrze wiedziała, że zbyt szybki start może zabić każdy pomysł. Powstrzymała swoją niecierpliwość i skupiła się na ośmiu abażurach od kinkietu, które właśnie kończyła. Oddała je i dostała pieniądze, całe trzy tysiące (tysiąc - podatki, tysiąc - fundusz emerytalny, tysiąc - bieżące wydatki, na nową czarną sukienkę trzeba będzie jeszcze poczekać). Kupiła przewodnik *Persona - Drzewa Ameryki Północnej* - który nic jej nie pomógł. A potem, w następną niedzielę rano, poszła do Central Parku i znów uderzyła ją elegancja przyrody wokół niej, zimowa paleta zaśnieżonego srebra i czarnej sadzy, wyblakłej zieleni porostów,

zieleni mchów w odcieniu perydotytów, paprocie sztywne i rdzawe, brązowe kałuże zamrożone i blade jak księżycy. Spacerowała po parku i co rusz schylała się po gałązki i patyki, próbując, czy są giętkie (nie bardzo były) i wrzucając ciekawsze do lawendowej torby Bergdorfa. Było zimno, więc park opustoszał, tylko kilka osób biegało, posapując, małe lokomotywy odziane w różowe polary. Sprawiały, że Iris czuła się powolna i ekscentryczna, wełniany płaszcz podnoszący patyczki. Jednak gdy tylko zobaczyła niebieską plamkę tuż przy korzeniach, podbiegła jak dziecko i już miała w rękawiczce piórko, błękit zmierzchu i czarne niteczki - sójka - zdecydowała, że to dobry znak, może już wracać do domu. Zresztą miała już zupełnie lodowate stopy.

Zacząła skromnie - ramka abażuru, do której przykleiła patyczki z Central Parku, umieszczając je ostrożnie, aż miała przed sobą kapelusz szalonego trolla. Nie taki był jej zamysł. Musiała jeszcze raz przemyśleć tę metalową konstrukcję - albo mocuje gałązki do sztywnego rusztowania, albo całkiem z niego rezygnuje, co oznacza właściwie wymyślanie własnej ramy (w innym razie, jakże to przyczepić do lampy?). Spróbuję dziś jeszcze tylko jednej rzeczy, pomyślała Iris, bo wiedziała, że wypracowanie nowej metody zajmie jej jednak trochę czasu. Folia do pakowania kanapek? Nie. Z dolnej szuflady wyciągnęła za to kawałek folii z bąbelkami i owinęła nią ramę abażuru, przyczepiając ją delikatnie taśmą na tyle luźno, żeby można było wysunąć z niej podtrzymującą konstrukcję. Tym razem poskleja gałązki ze sobą tak, żeby to one tworzyły kształt, bez ramy. Ale jak zacząć?

Przyłożyła gałązkę - tę, która wyglądała jak mała dłoń - do folii i przytrzymała kciukiem, a potem pozwoliła jej upaść. Poszła po nitkę i igłę. - Boże, nie cierpię tego wstawania i siadania z powrotem! Przyszyła rączkę do folii

(mniejsza o dwa bąbelki, które przekłuła), potem umieściła na niej następną gałązkę, kropelka kleju w każdym miejscu, gdzie się stykały, przytrzymała je palcami. Zaciśnięła usta, pozwoliła, by kształt każdej gałązki sam sugerował swoje miejsce, pozostawiając trochę przestrzeni - niech wyglądają jak pajęczyna - ale nie za dużo, żeby nie było widać żarówki. Praca szła bardzo powoli, gałązka po gałązce, minuty na klejenie, minuty na szukanie miejsca dla następnej gałązki. Wiedziała, że dzieło powinno teraz odstać przez noc, ale nie mogła czekać, godzina musi wystarczyć. Poszła na kawę do kawiarni na rogu, gdzie niecierpliwie przeglądała „Elle Decor”, znudzona wszystkim, co już istniało.

Była przygotowana na zawód (tak często idea, którą mamy w głowie, nie może zaistnieć w rzeczywistości), ale kiedy wróciła do abażuru i zdjęła nitki, rama i folia wysunęły się z łatwością jak części statku kosmicznego, zostawiając jej w dłoniach leśny maswerk, podobny trochę do tych szalonych klatek ze stopionego cukru, które tak lubią francuscy kucharze. - Las pod Atenami - szepnęła Iris, przypominając sobie scenerię *Snu nocy letniej*. - Nałożyła abażur na czterdziestowatową żarówkę i jej małe dzieło rzuciło wokół potężne cienie. Może trochę za dużo światła. Może dyskretne przyciemnienie gazą. Ale to... przemawiało. To był początek. Iris nazwała to Oberonem. Co do kapelusza trolla - jest taki swojski - postanowiła podarować go Deenie, dla samej radości na myśl o jej wybąkanym „dzięki”. W końcu to wciąż Iris Original.

W ciągu następnych tygodni wydzieliła sobie poranki na abażury z patyczków, od ósmej do jedenastej. Do wiosny stała się stałym klientem kwiaciarni i przynosiła do domu całe naręcza forsycji, ozdobnych wierzb i wszystkiego, co wydawało jej się ciekawe, omawiając sposoby suszenia, łączenia (teraz próbowała także większych abażurów)

i kwestie łatwopalności z młodym, gadatliwym sprzedawcą, który sam wyglądał jak zrobiony z gałązek wierzby. Wciąż jednak przyciągały ją parki, wabiły perspektywą polowania. Deena dreptała za nią po Central Parku i mało nie spadła z klifu, tak żywo pokazywała Iris szczura w przepaści. - Patrz, szczur, szczur - na co Iris zareagowała, wciągając Deenę za kołnierz z powrotem, wciskając jej torbę z patykami i mówiąc: - Ale niestety nie twój nadziany szczur. A teraz szukaj patyków. - Robiła wycieczki do Riverside Park, gdzie spacerując na północ w stronę Columbii, podstępnie ściągała cudne gałązki ze szczytów krzaków. Chociaż nigdy przedtem nie pozwoliła sobie - nie miała w zwyczaju - na wyjazd na weekend do pensjonatu w Hampton (trochę za blisko innych ludzi, ich głosy za drzwiami), nie mogła się jednak oprzeć pokusie, gdy nadarzyła się sposobność spędzenia czterech dni w Sag Harbor. Późny sierpień, domek wolny między weekendami. Każdego poranka spędzała godzinę na niewykorzystanej ziemi obok domku. Spodnie wciśnięte w skarpetki, długie rękawy. Łąka wrastająca w las. Stawiała czoło kleszczom i pająkom, by zdobyć swoje skarby: piórka kury pozostawione po walce z psem, dmuchawce rozsiewające swoje nasionka, kwiatki tak małe i misterne, że wydawało się, że patrzysz na nie ze złego końca mikroskopu.

W swojej pracowni była jednak bezlitosna dla tych zbiorów. Kult suszonych polnych kwiatów, płatków róż, wszystkie te sentymentalne starocie, ta przytulność Ropuszowego Dworu to po prostu inny rodzaj - jak by to nazwać - stylu życia? Kicz? Iris szukała czego innego - w zasięgu wzroku, ale niewidzialnego, z tego świata i nie z tego świata. I wciąż wracała do nagich gałęzi.

Do listopada miała już cały garnitur abażurów, które wyglądały inaczej niż wszystko, co kiedykolwiek widziała. Każdy był inny. Każdy miał imię. Tytania była w kształcie

odwróconego tulipana. Osiem delikatnych gałązek, jakby były zwykłą ramą, koniec każdej gałązki filigranowy, tworzące razem koronkę u dołu abażuru. Okręciła Tytanię tiulem koloru kurzu, otoczyła, poskręcała jak starą pajęczynę.

Desdemona powstała z podłużnych gałązek płaczącej wierzby, które Iris poskręcała spiralnie wokół wydłużonego kształtu podobnego nieco do cebuli. Pozostawiła końcówki na spodzie jak rozpuszczone włosy płaczących wierzb.

Rusałka - Iris musiała powędrować do SoHo po srebrną brzozę dla Rosyjskiej Rusałki.

Rapunzel była zrobiona z gałązek głogu, ułożonych pionowo, długich, zgrabnych, cylindrycznych jak wieża, prawie w kształtach z lat sześćdziesiątych. Iris wysunęła kolce na boki, żeby światło rzucało przez nie cienie i tworzyło stopnie dla Księcia, który będzie się po nich wspinał. Rapunzel owinęła zieloną taftą przyciemnioną czarną nitką. Zieleń liści szpinaku.

Merlin przyjął kształt czapki czarnoksiężnika. Zrobiła go - wkładając w to wiele wysiłku - z gałęzi dębu, posklejanych jak układanka, jak miedziana, połyskująca siateczka. Stworzenie Merlina było właściwie stworzeniem zaklęcia na tyle silnego, by utrzymało tę konstrukcję. Iris pokochała ten abażur, bo zajął jej dwa razy więcej czasu niż pozostałe i dlatego, że kochała wiersze Tennysona, które ją zainspirowały, szczególnie ten fragment, gdy Vivien łapie Merlina w drzewie:

Wtem, w jednej chwili, rzuciła nań urok Kroków kluczących,
migoczących dłoni, I w dziupli dębowej leży jak martwy, Stracony dla
żywych, dla imienia swego i sławy.

Czy ktoś jeszcze czyta Tennysona? - myślała Iris. Z rozkoszą cytowała: „Kroków kluczących, migoczących dłoni”. Och, jaka magia kryje się w tych słowach. A może ja byłam, myślała, trochę taką Vivien dla Ericha? Zobaczyła siebie drepczącą wokół niego w ich salonie na Society Hill, rzucającą nań urok codzienności - co dla niego znaczyło, że staje się „jak martwy”. - A może - westchnęła - wszyscy nawzajem łapiemy się w takie pułapki.

Tych abażurów nie mogła trzymać w pracowni. To by było szaleństwo - wszystkie te patyki i kolce obok drogich jedwabów. Nie, Iris „bawiła się patyczkami” na stole w salonie, a potem wieszala je lub układała w komórce przy frontowych drzwiach. W tym brudnym zakamarku trzymała kiedyś wszystko, co miało przeczekać „do domku na wsi”: stary stół do herbaty wepchnięty niebezpiecznie bokiem, dwa przedziwne krzesła z kutego żelaza, kwadratowy puf. Ale spojrzała prawdzie w oczy - domek na wsi?! Przecież nie była nawet właścicielką tego mieszkania. Co sobie myślała? Na co liczyła? Zawołała Armię Zbawienia i powierzyła im wszystko poza pufem (będzie miał swój styl, jeśli tylko obszyję go materiałem w paseczki), a powstała w ten sposób przestrzeń stała się małą galerią z jednoosobową widownią - Iris. Mimo to targanie wszystkich materiałów w tę i we w tę codziennie rano było nieco męczące. Któregoś dnia, w zamieszaniu przed Świętem Dziękczynienia, Merlin, który miał się tylko trochę przewietrzyć, został na zewnątrz.

- A co to jest? - krzyczała wścibska Kiki Pollard z wyraźnie rosnącym zainteresowaniem, gdy zawędrowała aż do salonu, kiedy Iris pakowała właśnie jej zamówienie. Normalnie pies myśliwski, pomyślała Iris. Pobiegnęła do salonu i kiedy zobaczyła Kiki pochylającą się nad Merlinem, rzuciła się go ratować.

- Eksperymentuję z nowymi materiałami.
- Jest tego więcej? Bo jeśli tak, to chcę je wszystkie zobaczyć. Piszę pracę doktorską, problem spotkania sztuki i rzemiosła. Szukam wystroju, wiszącej lampy, która płynęłaby między biurkiem a półkami na książki. Te gałęzie to jest to, gdyby tak zwisały na miedzianym łańcuchu. Kiki miała rację. Ten abażur powinien wisieć.
- To jest niesamowite - ekscytowała się Kiki. - Nie, naprawdę. Ja to chyba muszę mieć.

- Zajęło mi to prawie miesiąc. Jest jedyne w swoim rodzaju - zaczęła jej tłumaczyć Iris.

Kiki Pollard, tak powalająca ze swoimi wielkimi szarymi oczami i jasnymi, cynamonowymi włosami (tak jasnymi, że niemal wpadającymi w róż), mogła być naprawdę irytująca, zawsze próbowała wytargować jakieś zniżki, uparcie powtarzała swoje śpiewne: - Przecież jestem bardzo dobrą klientką. - Ale była też kochana, przysyłała jej zaproszenia na koncerty charytatywne i tym podobne. Iris spojrzała na Merlina - tak pięknego, że nie chciało jej się wierzyć, że sama go zrobiła, czekał tak cierpliwie. Nie chciała się z nim rozstawać. Był jej. Ale Kiki stała nad nią i co jej właściwie szkodzi spróbować? Utkwiła swoje piwne oczy w szarych pięknościach Kiki i powiedziała ostrożnie:

- Nazywa się Merlin. To czarnoksiężnik zaklęty w drzewo. - Podwoiła cenę abażuru w kształcie pagody. - Kosztuje osiem tysięcy dolarów. W ciszy pełnej powagi Kiki skupiła się na Merlinie. Zrobiła krok w jego stronę, a potem spytała: - Czy mogę to... go obejrzeć? - Razem obróciły abażur, ręce Iris asekurowały od spodu, a po kilku delikatnych skinieniach głowy, Kiki spytała jeszcze: - Czy mogę go zapalić? - a Iris umieściła Merlina na nagiej żarówce i włączyła. Kiki zareagowała przesadnym westchnieniem.

- Rzuca na nas zaklęcie! - Wyciągnęła książeczkę czekową. - Kupowanie sztuki jest jak inwestowanie w licencje. On stworzy ten pokój. Chcę go wziąć od razu. Ale bez podatku. Podpisujesz?

Podpisała - nowym symbolem, na który wpadła, gdy kończyła Merlina: wielkie I wewnątrz oka, jak magiczny znak. Iris zastygła na chwilę, próbując wszystko zrozumieć - jej Merlin, jej kapelusz czarnoksiężnika, jego promieniejący umysł, już nie należy do niej. Kiki położyła jej dłoń na ramieniu.

- To właśnie robią artyści, Iris. Pozwalają swoim dziełom odejść.

Następnego dnia w drodze do banku ledwo mogła uwierzyć w czek w kieszeni. W głowie już go dzieliła: trzy tysiące na podatek, dwa tysiące na Keogh, tysiąc pięćset na bieżące wydatki (wynajem to marnotrawstwo pieniędzy, musi kupić mieszkanie) - zostaje tysiąc pięćset do przeputania. Czarna torba od Beene'a! Pantofle Waltera Steigera! A może kryształowy zegarek na łańcuszku, który widziała na Dwudziestej Piątej Ulicy i nie mogła przestać o nim myśleć - coś koło 1910 roku, piętnaście klejnocików i niklowana obwódka! Oczywiście musi poczekać na zrealizowanie czeku, ale to i tak niespotykany uśmiech losu. Mały uśmieszek. Ale wystarczający, żeby Iris poczuła się zagubiona, skazana, dziwnie słaba, nie mocniejsza.

I utrata Merlina też była dziwna. Kiedy kupiła zegarek

- z białą tarczą jak twarz ducha prześwitującą przez kryształową kopułę z jednej strony i malutką nakręcaną nieskończonością srebrnych kółeczek i złotych ząbków zamkniętych i tykających pod kryształową kopułą z tyłu - myślała, że już zawsze będzie jej przypominał ten cień, który za niego zapłacił. Ale nie. Przypominał jej ojca. Ze-

garek należał do rzeczy, które ojciec kochał. Do takich, które lubił jej kupować.

Aurorę rozpoczęła w pierwszej połowie grudnia. Kilka dni po ubraniu choinki, po tym wieczorze, kiedy popłakała się tuż pod sufitem, utrudniając sobie zejście na dół (i czym się tu przejmować? Czy komukolwiek zależało na tym, żeby w ogóle kiedykolwiek zeszła?). Nigdy wcześniej nie przeżyła tak świąt i nie pocieszała jej nawet choinka, choć była naprawdę piękna - właściwie ledwie ją tolerowała. Ale stała tam przecież: osiem stóp wysokości, poruszające się szklane ptaszki, wypełniała pokój ciszą bez dna. Aurora, abażur wywołujący Śpiącą Królową - miała być czarodziejską mgiełką z winorośli i bzu - padła ofiarą falstartu, winorośle jakieś marne, kształt fałszywy, ładny beżowy jedwab, mdło ładny... brzydki, fiołkoworóżowy i paniusiowaty, ani odrobinę wiosny, Iris była przerażona, wrzuciła wszystko do śmieci. Zresztą i tak nie lubiła wiosny - mokre światło, pękający lód, brudne, wzbierające rzeki - nigdy jej nie lubiła, a teraz po prostu ją znienawidziła. Choinka, niemy świadek całego tego wydarzenia, także ją potępiała. Po co miałybyś robić coś wiosennego, krzyczała samą swoją obecnością, w środku zimy? Iris wyciągnęła torbę z grubymi, kolczastymi pnączami, które nie przydały się w tworzeniu Rapunzel. Zaczęła kręcić i machać, jakby pnącza wzięły ją pod swoje panowanie - albo same siebie - raniąc jej palce kolcami i stając się - zajęło to całe dwa dni - gęstym, pełnym żyłek kłębkim, zwariowanym węzłem, który nie potrzebował się prostować, który mógł tak trwać cały wiek. Zdała sobie sprawę, że zrobiła coś na kształt gniazda. Tyle że bez dna. Nazwała to Jeżyną. Pod niebieskozielonymi gałązkami swojej chłodnej choinki Iris zaczęła gorączkowo tworzyć gniazdko. Pod koniec lutego, w poniedziałek rano odebrała telefon.

- Tu Emily Edwards. Poszukuję pani Iris Biddle.
 - Przy telefonie.
 - Pani Biddle, jestem właścicielką **flow** gallery. W sobotę wieczorem byłam u Joela Skelly'ego i widziałam pani abażur. Z gałązek dębu. Chciałabym się dowiedzieć, czy ma pani tego więcej?
 - Oj, pani Edwards, bardzo mi przykro. Nie mogę przyjąć żadnego nowego zamówienia aż do czerwca. Ale jeśli...
 - Bardzo przepraszam - przerwał jej głos. - Chyba źle się wyraziłam. Nie chcę kupować pani lamp. Chcę je sprzedawać. To, co widziałam u Joela, było zachwycające pod względem technicznym. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. To była - efektownie zawiesiła głos - istota myśląca.
 - Ach - powiedziała Iris, co chyba zabrzmiało, jakby nie była wystarczająco zdziwiona. Wiedziała przecież, że Merlin jest magiczny.
 - Pani lampy ucieleśniają wszystko to, na czym zależy mojej galerii. Ten moment, gdy rzemiosło transcenduje w sztukę. Wciąż mówię o „iskrze”, a tu, w pani pracy jest literalna iskra.
- Emily Edwards przeszła do opowieści o tym, co pokazuje jej **flow** gallery, wspaniałe nagłośnienie i sprzedaż, rozwój artystów i skończyła poważniejszym tonem:
- Będę zaszczycona, jeśli pozwoli mi pani zobaczyć pozostałe prace? Jak Iris mogłaby odmówić? Umówiły się na pierwszy piątek marca - prawie rok, odkąd zaczęła zajmować się gałęziami! Kiedy Emily Edwards przekroczyła jej próg, była jak wycięta z magazynu dla kobiet, w cieniutkim kakaowym kaszmirze, z połyskującym kokiem i kakaowymi, zamszowymi blahnikami ostrymi jak noski pudli (Iris zawsze lubiła pudle, ale nie brązowe). Uścisnęły sobie

dłonie i Iris zaprowadziła Emily, kobietę, która z pewnością nie przekroczyła jeszcze trzydziestki, do salonu, gdzie wcześniej przygotowała małą drabinkę i przedłużacz.

- Każdy abażur będę przed panią trzymała w powietrzu

- powiedziała Iris - bo trzeba je pokazywać wiszące. Jak żyrandole.

Przynosiła po jednej lampce, w takiej kolejności, w jakiej powstawały, i wymieniała tylko ich imię z drabiny, potem włączała światło.

- Wszystkie abażury mają podwójne życie - wytłumaczyła. - Jedno w świetle i jedno bez światła.

Emily milczała. Kiedy Iris przyniosła Jeżynę, Emily otworzyła usta ze zdumienia.

- Przełom - szepnęła jakby do siebie. Widzi to, pomyślała Iris.

Kiedy nadeszła kolej gniazd - szepczących jeżyn bez dna, histerycznych koronek, gąszczy króciutkich patyczków upstrzonych granatami i jagodami; potem były gniazdka z przepiórczymi jajkami, jajkami drozda koloru zblakłego turkus, wydmuszki ułożone na tych kłębkach, zawieszane, uwięzione w ściankach gniazd z gałęzi i pnączy; a potem gniazdka z małymi piórkami perliczek, z pierzem gołębia, którego Iris znalazła na spacerze martwego, piórka pozostawione na gałęziach jak odciski, jak cienie

- Emily zamarła zupełnie, usta zaciśnięte na dłoniach o połyskujących paznokciach.

- Są bez litości - powiedziała w końcu. - Prawda? Iris przytaknęła.

- To pułapki, zamknięte w sobie, skupione i skupiające na sobie.

Narodziny, kopulacja i śmierć, wszystko uchwycone i - nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa - i skompresowane. Mają nazwy?

Iris zaprzeczyła ruchem głowy.

- Oczywiście. Są jak wiersze Emily Dickinson, gdyby używała patyków zamiast słów.

Emily Edwards wstała.

- A więc - powiedziała - i my musimy być bez litości. Przyszłam tu z zamiarem zrobienia wystawy Merlinów, ale te gniazda wszystko zmieniają. Wczesne abażury są „o” sztuce. Są dekoracyjne. A gniazda to po prostu życie i śmierć. Mogłabym dać obydwie do galerii, ale kontrast wprawi ludzi w zakłopotanie. Więc tylko gniazda. I Jeżyna -już widzę, jak wisi w samym środku, rozświetlona, reszta krąży wokół niej. -

Zamyśliła się. - Jeśli chodzi o tamte abażury, sfotografujemy je, żeby pokazać pani wcześniejsze prace. Sprzedadzą się jak ciepłe bułeczki - kupią je ludzie, którzy baliby się gniazd, ale chcieliby mieć coś pani. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Kontrakt podpisany, Iris bez końca skrobała ołówkiem na spotkaniach z grupą projektantów, rozmawiała z facetem od public relations, wozila się taksówkami na zachód, ledwie utrzymywała kontakt ze swoim jedwabnym interesem. Emily chciała, żeby Iris napisała dokładny życiorys i CV, nic na-odwal-się, jeśli kiedyś takie robiła.

Emily chciała, żeby Iris zrobiła jeszcze jednego Merlina, na wypadek gdyby nie udało się wyciągnąć Merlina od Skelly'ego, jeszcze jednego, żeby zawisł na wystawie.

- Ależ wydawało mi się, że nie chcesz tych dekoracyjnych abażurów - próbowała protestować Iris, przypominając sobie, jak trudno było zrobić Merlina.

- Wiem, że tak mówiłam, ale Merlin jest wyjątkowy. Chcę go tuż przy wejściu, jako przykład twojej wcześniejszej twórczości, żeby pokazać, z czego ewoluowały gniazda.

- Przecież nie mogę zrobić drugiego Merlina. On jest tylko jeden.

Emily spojrzała na nią znacząco.

- Czy Mondrian zrobił tylko jedną kratkę? Czy Monet zrobił jedną lilię?

A po chwili dodała uspokajająco:

- Nazwiemy go Merlinem Drugim. Pomyśl o tym jak

O czarnoksiężniku odradzającym się w swoim uczniu.

Z Emily trudno było przebywać. Nie tylko wciąż miała wszystko pod kontrolą (a Iris niechętnie oddawała się w jej ręce), ale miała też instynkt wyczulony na wrażliwość, dłoń zawsze na pulsie, co było właściwie irytujące. Więc znowu Iris i Deena w Central Parku.

Potem Emily poprosiła Iris o zrobienie listy wszystkich jej znajomych w kręgach towarzyskich, artystycznych

i medialnych - telefon na każdej zakładce. To była okropna propozycja.

I o siódmej wieczorem w poniedziałek, gdy Iris wychodziła do opery,

Emily chciała, żeby Iris koniecznie rzuciła okiem na fax, który właśnie przyszedł, żeby mogły już ostatecznie ustalić tytuł wystawy: **(f)light** czy **f(light)**? To wtedy Iris, bez cienia wdzięczności, zaczęła myśleć o Emily D. o G. (Dziewczę od Galerii w pudlowatych butach).

- Nie rozumiem, czemu f miałoby być w nawiasie - powiedziała Iris. - Po co podkreślać f?

- Tom - to zgryźliwy kierownik projektu D. o G. - Tom upiera się, że to żarówka wokół drucika.

- Czy to nie naciągane? - powątpiewała Iris. - Wolę tę drugą wersję. Jeśli nawias to żarówka, to w środku powinno być światło, czyli „light”. Poza tym „light” jest w słowie „flight”, jest w locie. To logiczniejsze.

Chociaż, gdy to powiedziała, nie zabrzmiało jej to zbyt logicznie.

- Tom jest bardzo do tego przekonany, a ja zgadzam się z nim. Pierwsza wersja jest bardziej kinetyczna, trochę

jak drzenie światła: *ffff-light*. Tom uważa, że ta wersja ma w sobie to coś. Iris nienawidzi się spóźniać do Met. Nienawidzi siedzenia w tym okropnym pomieszczeniu, przypominającym dworcową poczekalnię, gdzie spóźnialscy muszą czekać na pierwszy antrakt. Z każdą chwilą czuła w sobie coraz wyraźniej „to coś”.

- Emily, naprawdę muszę już iść. Przede wszystkim nigdy nie wydawało mi się, żeby tu w ogóle był potrzebny nawias. Ale jeśli mam wybierać, wolę tę drugą wersję. Powiedz Tomowi, że go doceniam, ale *ffff-light* to raczej on niż ja. A w końcu to moja wystawa, prawda?

Wystawa była zapowiedziana na jesień, otwarcie we wrześniu i Iris była zdziwiona, jak bardzo się tym przejmowała. Czy jej gniazdko naprawdę pójdą po takich cenach? A czy ludzie je rozumieją? A może uznają ją za kolejną wariatkę?

Merlina Drugiego skończyła pod koniec kwietnia. Tym razem dokładnie wiedziała, co robi, więc poszło szybciej i sprawniej. Był lepszy pod względem technicznym niż pierwszy Merlin, trochę wyższy, a dębowe konary lepiej do siebie pasowały. Był to jednak młodszy Merlin, nie tamten stary, oczekujący. Nie można powtarzać zaklęć. Kiedy dostarczyła Merlina Drugiego w pierwszych dniach maja, Emily - za swoim czarnym, lakierowanym biurkiem wyglądała jak mała imperatorowa z kości słoniowej - poinformowała ją, że zarówno „Town & Country” jak i „Vanity Fair” piszą o niej artykułiki, więc w ciągu najbliższych tygodni czekają ją wywiady i dwie sesje zdjęciowe.

- Rzuci się na ciebie rój stylistek - ostrzegła Emily - ale to nawet przyjemne mieć te wszystkie dłonie latające wokół ciebie.

A potem dodała:

- Ubierz się jesiennie. Bez jasnych kolorów. Gładko, poważnie, nowocześnie. Pewnie będą chcieli wyeksponować nazwisko Biddle'ów. Postaram się tam być. Ale jeśli nie dam rady, żadnego balu kostiumowego. Żadnych pereł i białych rękawiczek. Iris podobał się właściwie pomysł z białymi rękawiczkami, ale rozumiała, o co chodzi Emily.
- Ale nie pozwól tym stylistkom zapakować się zbyt trendy. Żadnego Prądy. Ani niczego japońskiego. No, może Yojhi. Ale bez dziwactw Rei! Dobra, dobra, myślała Iris, która doskonale wiedziała, jak się zaprezentować - „Dziękuję bardzo”.
- Ten wisiołek-zegarek Iris wisiał na srebrnym łańcuszku, nie tak długim, jak się teraz nosiło takie zegarki, ale krótszym, powyżej serca. - To takie surrealistyczne. Magritte.
- Tak - zgodziła się Iris, spuszczać swój długi, zgrabny nos w dół, żeby spojrzeć na wisiołek. - Czy nie jest cudny?
- Może dobrze wyjść na zdjęciu - powiedziała Emily. - Jeśli będzie zbliżenie. „Town & Country” robi zbliżenia. Będzie w stylu Horsta. Ucieszywszy się na samą myśl, Emily wstała i pochyliła się nad biurkiem, żeby się lepiej przyjrzeć.
- Jest taki oryginalny. Skąd go masz? Iris spojrzała jeszcze raz na zegarek.
- To prezent - powiedziała, odwracając go, żeby pokazać wewnętrzny mechanizm widoczny z tyłu - od ojca.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Godzina twojego czasu

Kiedy Lana dostała to zlecenie, zadzwoniła do Deeny. Wydało jej się to takie zabawne. Nie rozmawiały od stu lat, może tylko ze dwa razy, odkąd Deena pomogła znaleźć Lanie i Samowi mieszkanie na rogu Piątej Alei i Jedenastej. Deena zaangażowała się w terapie reinkarnacyjne, mistyczne i patetyczne leczenie odbywające się zwykle w innym wymiarze, więc rozmowy z nią wciąż schodziły na odległe ery (tu i teraz było zupełnie nudne). Ale to był dobry powód, żeby zadzwonić. To pozwoli Deenie dać Lanie radę, co przecież każdy lubi, a poza tym Lana naprawdę potrzebowała rady. Wybrała numer.

- Sto lat - przywitała ją Deena z lekkim wyrzutem.

- Wiem, wiem - ukorzyła się Lana. - Jestem okropna. Ale zupełnie jakoś straciłam ze wszystkimi kontakt. To trochę przez tę przeprowadzkę z Samem - wciąż jeszcze nie umiem odzyskać równowagi. Wybaczysz mi? Lana próbowała pozbyć się tego swojego „przepraszam”, które tak często powtarzała niemal automatycznie, że już właściwie utraciło swoje znaczenie. Już prawie nie słyszy się dzisiaj, żeby ktoś prosił cię o wybaczenie. W czasach, gdy nikt nie chce przyznawać, że się pomylił, brzmi to zbyt pokornie. Ale jednak było lepsze.

- No dooobra - południowy akcent Deeny ocieplił się.
- Co tam u was? Jak mieszkanko?
- Mieszkanie jest wspaniałe. Uwielbiamy je. Ale... pamiętasz, jak zawsze chciałaś, żebyśmy się spotkały z Iris Biddle?
- No. Czemuśmy tego jeszcze nie zrobiły? Wychowywałyście się właściwie drzwi w drzwi.
- Deena, z Evanston do Barrinton jest co najmniej godzina. Mniejsza z tym, zgadnij, z kim mam przeprowadzić mój pierwszy wywiad dla „Vanity Fair”?
- No, wreszcie - skomentowała Deena. - Wreszcie jakiś prawdziwy magazyn.

To było jedno z tych babskich zagrań - poklepać po plecach tak, żeby trochę zabolalo. Lana puściła to mimo uszu.

- No, ale zgadnij z kim?
- Z kim?

Lana już się nieco zirytowała:

- Z Iris Biddle! Jej debiut we **flow** gallery. Deena krzyknęła i zatrajkotała:
- Czy mogę być podczas wywiadu? Będę waszą kelnerką. Zajmę się herbatą.

Lana zaczęła się już zastanawiać, jak jej odmówić w miły sposób.

- Żartuję - powiedziała Deena. - A swoją drogą to pomagałam jej.
- Tak? - spytała Lana podejrzliwie.
- No, zbierałam te gałązki, co nie jest takie proste, jak się może wydawać.
- Więc powiedz mi, jaka jest Iris. Jak mam się do niej zwrócić? Daj mi jakieś wskazówki.

Jeśli uda ci się zmusić Deenę, żeby się przyłożyła

- w końcu - jest bardzo pomocna. Uważała, że Iris będzie absolutnie urocza. - Ale są dwie rzeczy. Po pierwsze bierz,

cokolwiek ci zaproponuje - herbata, drink. Ma świra na punkcie ludzi, którzy wpadają i chcą tylko wodę. (No, pomyślała Lana, że mną też przećwiczyłaś ten twój numer z wodą, Deena). Po drugie jest przewrażliwiona na punkcie swojego rozwodu. Jej mąż uciekł do Afryki - po prostu ją zostawił - żeby grzebać się w szmaragdach czy czymś tam - dasz wiarę? Zdaje mi się, że teraz jest w Korpusie Pokoju Stanów Zjednoczonych. Iris ma bzika na punkcie całej tej sprawy z Biddle'em. Niby się już z tego śmieje, ale nie z niego. Najlepiej w ogóle nie poruszaj tego tematu.

Lana musiała go poruszyć. Jej redaktorka powiedziała wyraźnie: - Chcemy wiedzieć wszystko o życiu z Biddle'em, o rodzinie, o małżeństwie, czy poznała Mayflower Madam etc. - Stojąc pod drzwiami budynku na Dziewiętnastej Wschodniej Ulicy, Lana chciała mieć już to wszystko za sobą. Nie lubiła wywiadów - wymuszona uprzejmość, wyduszone odpowiedzi i niekończąca się niepewność co do dyktafonu, czy aby nie włączyła przypadkiem pauzy. Lana wcisnęła dzwonek i natychmiast ją wpuszczono. Wyciągnęła notes, napisała „punktualnie na miejscu” i wspięła się po schodach na trzecie piętro.

Drzwi otworzyły się, olbrzymie uśmiechy i niepewne powitania, Lana uścisnęła dłoń Iris, niepewna, jak dobrze się znają - każda dowiadywała się o drugiej od Deeny (czasem zbyt wiele) kawałeczki zbierane przez lata, jak ten, że kupienie lustra do łazienki zajęło Iris całe wieki. - Taki staroć z odłóżającym srebrem - opowiadała Deena - a ja jej mówię: „Iris, to lustro”, a ona „Chcę lustro, w którym mogłabym się schować”, to trochę dziwne, no nie? - Albo o tym, jak sąsiedzi z góry zawsze proszą ją, żeby popilnowała kota, dopiero wtedy, gdy już jadą na lotnisko, co irytowało Iris,

ale bawiło Deenę, która przedrzeźniała ją: - A co, gdybym to ja gdzieś jechała? Co by wtedy zrobili? A prawda jest taka - kończyła Deena - że Iris nigdzie nie jeździ. Ona jest zaślubiona z tymi abażurami.

Zabawne, że wszystko to znika bez śladu, gdy stajemy twarzą w twarz. Lana wyobrażała sobie Iris jako panią na włościach, posępną i wysoką, może przez tych Barringtonów i Biddle'ow i dlatego, że Deena mówiła o niej, że jest apodyktyczna. Tymczasem kobieta, która otworzyła drzwi, była zadbaną czterdziestojednolatką (życiorys nie podawał wieku, ale podawała go Deena) o takiej postawie, że zdawała się wysoka (Lana natychmiast się wyprostowała) i o piwnych oczach, które cię zupełnie pochłaniały. Miała w sobie jakąś wyższość, tak, trochę w stylu Baby Paley, w szczególności ten nos, i aura... powściągliwości? Nie. Skrytości? Nie. Opanowania! Miała na sobie luźną białą bluzkę z wywiniętym kołnierzem, uszytą z dziwnego sztywnego, cienkiego jedwabiu (gazar - powiedziała jej później Iris) i na nogach - zgrabne czarne cygaretki. Na stopach - rodzaj wsuwanych pantofli, brązowych, przetykanych złotymi nitkami (genialny Vivier - wytłumaczyła później Iris). Lana zaczęła mówić.

- Tak się cieszę, że zaproponowała pani to miejsce na przeprowadzenie wywiadu. Nie da się opowiedzieć, jak okropnie jest w restauracjach. Nawet te ciche są głośne: brzękające szkło, zakłócenia. Tak będzie o wiele lepiej. - Rozejrzała się po salonie. - I tak pięknie.

Był to przestronny pokój - sufit na wysokości dziesięciu stóp, trzy duże okna - a wydawał się jeszcze większy dzięki zasłonom ze starego jedwabiu ożywionego arabeskami i motylami ciągnącym się po obu stronach kominka od sufitu do podłogi. Srebrne nitki na tle koloru nieba, złote nitki na seledynie, a wszystko to na ścianie o odcieniu wierzbowej zieleni.

- Ach! - powiedziała Lana, myśląc „dumna z domu”. Iris ruszyła w stronę sofy i fotela typu *wing chair* pod

oknem w rogu. Czekwała na nie błyszcząca tacka z przezroczystego akrylu w stylu art deco, nakryta do herbaty dla dwóch osób, i koreczki.

- Skąd pani to wzięła? - wybuchła Lana, wiedząc, że to wszystko jest zupełnie niezwykle, i przypominając sobie z przykrością, że jej własne mieszkanie jest wciąż w nieładzie, sypialnie wciąż w kartonach. Będą się musieli zabrać do tego z Samem.

- Zaprojektowałam to - powiedziała Iris - i zrobiono to dla mnie. To jedna z zadziwiających rzeczy w Nowym Jorku. Zawsze można znaleźć kogoś, kto coś dla ciebie zrobi.

Usiadły.

Lana zaczęła walczyć z dyktafonem - „próba, próba” - potem siadła z boku z notesem i zapisała: „B. Paley/ piwne oczy/ wyszywane zakrętasy”.

Iris przyniosła wrzątek na herbatę.

- Może być earl gray, czarna porzeczką albo rumianek.

- Czarna porzeczką - powiedziała Lana. - Żeby pasowało do pani gałązek.

Lana przeskoczyła przez lata kształtowania osobowości (- dzieciństwo jest nudne - mówi Sam, a on czyta dużo biografii). Nauczyła się już zadawać krótkie pytania.

- Jakie to uczucie: nagle zostać „Artystą”?

Iris sączyła drugą filiżankę herbaty z precyzją Edith Wharton. Wciąż patrząc, notując na ślepo „herbata E. Wharton/Ellen Olenska??”. Lana zauważyła na dłoniach Iris malutkie, koralowe rany, jak ułamki szkła.

Krótkie paznokcie, wypolerowane, ale niepomalowane. Iris przyłapała

Lanę na tym przyglądaniu się jej dłoniom i wyciągnęła jedną między siebie a Lanę, jak robi chirurg, żeby włożyć rękawiczkę.

- To nacięcia po kolcach. - Pozwoliła dłoni opaść. - Zdaje ci się, że jesteś taka uważna, a potem chwyta cię kolec, którego nawet nie zauważyłaś. I nie jest przecież tak, że nie jestem do tego jeszcze przyzwyczajona. Przy jedwabnych abażurach łapią cię szpilki i igły. Próbowałam nosić rękawiczki, ale to nie działa, nic się wtedy nie czuje. Plus jest taki, że na gałęziach nie widać krwi.

Tędy droga, pomyślała Lana.

- Ale żeby odpowiedzieć na twoje pytanie, to miłe uczucie. Chyba wszyscy lubimy zwracać na siebie uwagę. Choć zawsze myślałam, że moje jedwabne abażury to była sztuka. Mimo że większość ludzi nazwałaby je rzemiosłem.

- To ta niejasna granica między rzemiosłem a sztuką. Ale ty rzeczywiście zrobiłaś w pewnym momencie skok.

- Przeskoczyłam na nowy materiał. Ale czy nie zawsze jest właśnie tak? Pozwalasz przemówić tym materiałom... Czytałam o Mozarcie (mam tylko CD z *Così fan tutte*), że znalazł sopran, który osiągał naprawdę niskie tony, więc pisał bardzo niskie arie, czego wcześniej nie robił.

Lana przytaknęła:

- To wspaniała opera.

- Tak - powiedziała Iris. - Właśnie ją oglądałam w Met w ostatnim sezonie. Nigdy przedtem jej nie widziałam.

- A w Chicago? Nie chodziłaś do Lyric?

- Nie na opery. Rodzice zabierali nas tam, gdy przyjeżdżał balet, a potem już przestał przyjeżdżać. Pamiętam, jak tato zawiózł nas do Milwaukee, żebyśmy zobaczyli American Ballet Theatre. Gnał strasznie na tej długiej autostradzie. - Bawiły ją te wspomnienia. - Miał wtedy mercedesa i kochał ten samochód. Mówił, że musi go trochę wypróbować. Byliśmy przerażeni. Myślę, że przekroczył 105 mil. Ale dostał bilety. I byliśmy tacy szczęśliwi.

- A wracając do tego skoku. Jak wpadłaś na taki pomysł?

- Kupię album Josefa Sudeka, który jest pełen drzew i gałęzi. Mogę ci pokazać.

Wstała i znikła w korytarzu, by zaraz wrócić z książką. Położyła ją Lanie na kolanach.

- Otwórz gdziekolwiek - powiedziała. - Najbardziej Kocham w tym wrażenie, że rzeczy na nas czekają. Świat, który jest uśpiony.

Uśpiony, pomyślała Lana, jakie to piękne. Otworzyła na fotografii zatytułowanej *Katedra Świętego Wita, 1924-1928* i przyjrzała jej się. Kamień, cisza, trzy majaczące w głębi łuki, a przez każdy - słoneczne promienie rzucane z wysoka. Światło sztywne jak ślubny welon, tak kobiece i tak silne.

- I pewnego dnia, była wtedy zima, zapatrzyłam się na czubki drzew i pomyślałam „czemu nie użyć gałęzi?”. I postanowiłam spróbować.

Lana nie przestawała przeglądać albumu i znajdowała kolejne zdjęcia drzew. Wydawało się, że mają jakiś sekret, jakąś mądrość.

- Więc Sudek był kamieniem probierczym?

- Hmm, to było raczej jak powtarzający się motyw. Odkąd pamiętam, i podejrzewam, że wielu ludzi czuje podobnie, nagie konary czyniły mnie taką... samotną. Chciałam spróbować to wykorzystać.

Lanie podobał się sposób, w jaki krótkie, ciemne włosy Iris zaczesane były do tyłu w falach, jakby wyszła prosto od fryzjera.

- A gniazda? Skąd ta obsesja?

- Nie postrzegam siebie jako kogoś, kto ma na tym punkcie obsesję. To tylko rozwój. Dla mnie abażur wokół żarówki jest swego rodzaju gniazdem z jajkiem.

- Więc nigdy nie interesowałaś się ptasimi gniazdami - Lana nie chciała zamęczyć jej tym tematem, ale w czasie wywiadu im więcej odpowiedzi uzyskasz, tym lepiej, więc

nigdy nie zawadzi zadać tego samego pytania na dwa, trzy sposoby.

- Nie. I nie zaglądałam do żadnych przyrodniczych książek, bo nie chciałam takich wpływów. Chodzi mi o to, że nie chciałam okradać natury. Chciałam zrobić coś innego. Ducha, zaklęcie tkwiące w tych gałęziach.

- Patrzę na te gniazda - spróbowała Lana - i wydaje mi się, że mówią, w abstrakcyjny sposób, że gałąź, gniazdo i pióro są tym samym.

- Tak. Ptak i gałąź stanowią jedność.

- Czy nie tęsknisz za jedwabiem?

- Wciąż zajmuję się jedwabnymi abażurami, trochę taki powrót do źródeł. Więc nie, nie tęsknię. Ale muszę ci przyznać, że praca z pnączami i gałęziami daje niesamowite poczucie wolności. To jak ucieczka.

Wzięła kolejny koreczek, trzeci. Lana zjadła już pięć.

- A jednak Emily Edwards nazywa je pułapkami - powiedziała Lana.

- Nie mogę ich tłumaczyć. A za dużo gadania zabija, prawda? Choć rzeczywiście, kiedy je robię, jestem ich niewolnicą.

To zdanie z „zabijaniem” było dobre. Lana rzuciła okiem na dyktafon, żeby się upewnić, że działa. Znowu spojrzała na Iris, która właśnie brała łyk herbaty.

- A teraz - powiedziała Lana z nutką żalu, mając nadzieję, że zdystansuje się wobec następnego pytania. - Mam kilka rzeczy, o które muszę cię spytać, których chce mój magazyn.

Iris patrzyła na nią.

- Możesz zawsze powiedzieć „bez komentarza”. Iris patrzyła.

- Czy to prawda, że twój były mąż Erich Biddle rzucił naukę i założył kopalnię szmaragdów i że to był skandal?

- Nie. Nie było skandalu. Ale tak, pojechał szukać szmaragdów.

- Dlaczego szmaragdów? - Lana była zaintrygowana.
- To wszystkich zaskoczyło - powiedziała Iris. - Brzmiało tak... głupio. Lana milczała. Czekala. Taktyka wyczekiwania.
- Erich miał doktorat z neurofarmakologii - Iris wkroczyła w ciszę. - Więc nie można mu było powiedzieć niczego o mózgu. A już z pewnością ja nie mogłam mu nic powiedzieć, choć dziś widzę wyraźnie, że on... się sypał. W każdym razie, ostatnio trafiłam przypadkiem na artykuł o kamieniach szlachetnych i było tam napisane, że w czasach starożytnych szmaragdy miały koić duszę, nawet leczyć szaleństwo. Nie wiedziałam o tym. I nie sądzę, żeby Erich o tym wiedział. Mimo całej tej rodzinnej historii z klejnotami, wiesz: firma Bailey Banks and Biddle. Oczywiście, ten wielki sklep jubilerski, Lana była zafascynowana.
- To chyba ma jakiś sens, poetycki przynajmniej. To do niego pasuje. Chciał się uratować. Nigdy nie był taki jak inni. - Tu Iris przerwała, zaniepokojona. - Nie umieścisz tego w artykule?
- Nie - zaprzeczyła Lana, podnosząc dyktafon. - To wycinamy. - Wyprostowała się. - Ale teraz nagrywamy, czy masz z nim jakiś kontakt?
- Tak.
- Naprawdę?
- Przysłała mi zabawne pocztówki z Afryki. Dobry dziennikarz spytałby, czy przysłał kiedyś szmaragd, ale jakie to właściwie miało znaczenie? Iris była wspaniała. Po co ryzykować? Jeszcze ją zasmuci.
- Deena mówiła, że jest teraz w Korpusie Pokoju.
- Był tam przez jakiś czas. Jest w terenie, ale ma wysoką rangę.

Lana usłyszała w tym zdaniu dumę. Zastanowiła się - czy Iris wciąż kocha tego człowieka? Czy nie powinna była wyjść powtórnie za mąż? Na pierwszy rzut oka nie wyglądała Lanie na wariatkę, jakich pełno w Nowym Jorku, w każdym razie na pierwszy rzut oka. Co było nie tak? Lana nie lubiła myśli, że ludzie, z którymi wszystko jest zupełnie w porządku, mogą skończyć samotni. Przeszła do ostatniego bezwartościowego pytania.

- Czy znałaś, znasz Mayflower Madam?

- *Życie sławnych i bogatych* - roześmiała się Iris, oczy jej rozbłysły, stały się prawie zielone. - Nigdy jej nie spotkałam i nie spotkałabym. To była zupełnie inna gałąź rodziny. A my z Erichem mieliśmy własne życie, na kampusie. Ale wygląda na to, że stare rody mają duże zasoby głupoty. Na pewno więcej tu błyskotek niż prawdziwych czynów. Czy taka odpowiedź wystarczy?

Lana przytaknęła.

- Dzięki.

Odłożyła notes. A potem siadła wygodniej, szczęśliwa, że ma to już za sobą.

- Masz ostatnio kontakt z Deeną? - spytała Lana.

- Tak, rozmawiałyśmy wczoraj, chciałam się czegoś o tobie dowiedzieć.

- A!

- Powiedziała, że jesteś bardzo poważna. - Iris zsunęła ostatni koreczek na talerz Lany. - I że wspaniale piszesz.

- Oj, to takie miłe. Myślę, że jestem czasem zbyt ostra dla Deeny.

- Potrafi być męcząca. Ale ona naprawdę się stara.

- Ale co myślisz o tej jej chorobie? - spróbowała Lana, nie będąc pewna, jak daleko posunie się Iris, jak bardzo zechce chronić przyjaciółkę.

- To bardzo tajemnicze - odpowiedziała Iris. - Jak dla mnie to ona zawsze wygląda zupełnie zdrowo. Chodzi mi o tę energię, z jaką lata po mieście.

- Powiedziała mi, że upuszczono ją na głowę, gdy była mała.

- Neeee - krzyknęła Iris i uśmiechnęła się zadziwiająco szeroko.

- Ależ tak - zaćwierkała Lana. - I stąd to samopoczucie, jej *chakra* się zachwiała.

- Nigdy mi tego nie mówiła - śmiała się Iris. - Pewnie się nie odważyła. W końcu jestem córką lekarza i wie, że nie ufam specjalnie tym jej terapiom. Raz nazwałam jej lekarza szarlatanem, tak mi się wymasknęło, i Deena mało nie rzuciła słuchawką.

- Opowieść jest taka - Lanę pochłonęła ta zabawa w plotki - że pojechała do domu na święta... to było w zeszłym roku... cała najeżona. Wściekła się na matkę. Jestem pewna, że jej matka była w zupełnym szoku. W każdym razie mama absolutnie wszystkiemu zaprzeczyła. Nastąpiły płacze i wyrzuty. To był totalny niewypał. No

I Deena nie może już teraz mówić z taką pewnością, że upadła na głowę.

- Ta rozmowa wymaga martini - zdecydowała Iris, zatopiona w swoim fotelu z białego jedwabiu - tyle że jest nieco wcześniej. Przecież to się zdarza, że dziecko wypadnie albo się uderzy. I jakoś nic się nie dzieje. Moja własna siostra wpadła w panikę, gdy jej synek stanął na wysokim krześle i spadł prosto na główkę - zatoczyła palcem łuk w powietrzu - jak kiepska rakietka.

Roześmiały się.

- Ale rzecz w tym - mówiła Iris, śmiejąc się - że Deena ma idealnie okrągłą głowę. - Jej śmiech był niemal dziewczęcy. - Żadnych śladów.

- Dobra - przerwała jej Lana, myśląc jednocześnie, że martini byłoby rzeczywiście świetne. - Mniejsza o głowę. Nie wkurza cię to, że nie wiesz, czy ona jest naprawdę chora?

- Tak, kiedyś mnie to trochę zbijało z tropu - przyznała Iris. - Ale teraz widzę, że to swoisty mechanizm obronny. Nie jest łatwo być samotną kobietą, tutaj, o czym pewnie się zdążyłaś przekonać. I kiedy robisz się już nieco starsza, ludzie zaczynają się zastanawiać, dlaczego nie wyszłaś za mąż, co jest z tobą nie tak.

Lana mrugnęła w poczuciu winy.

- Myślę, że Deena kryje się w tej chorobie - ciągnęła Iris

- żeby przed tym wszystkim uciec. Dopóki od niej zależy, czy wyzdrowieje, wszystko to staje się mało ważne. I oczekiwania innych przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie.

- A ty - Lana nie mogła się powstrzymać - masz taki mechanizm obronny?

- Tb łatwe i zabawne analizować swoich przyjaciół, prawda? Chyba też opieram się na przeszłości. Miałam naprawdę szczęśliwe dzieciństwo.

Ale takie szczęście może uczynić cię, cóż, bierną na resztę życia. Tak jakby wszystko złe, co ci się potem przydarzy, i tak ci się należało, żeby było sprawiedliwie, więc to akceptujesz. Mówisz sobie wtedy: „Ale za to miałam takie cudowne dzieciństwo” ... Ale - widać było, że Iris długo nad tym myślała

- może to nienajlepszy pomysł.

W pokoju było zimno. Choć na dworze było tak słonecznie, do środka wpadało tylko skąpe północne światło.

- A ty, Lano?

Dziwnie przyjemnie jest słyszeć, że ktoś nowy wypowiada twoje imię.

- Nie wiem. Po prostu jakoś to idzie. - Rzecz w tym, że Lana nie myślała już o sobie jako o kimś samotnym.

- Co do Deeny - podsumowała Iris, wstając, gdy Lana szykowała się już do wyjścia. - Nawet gdybyśmy wiedziały, co jej jest, czy to by jej pomogło?

W tym nastroju radosnego porozumienia stanęły w drzwiach i jeszcze raz uściśniły sobie dłonie. Potem Lana spytała, jak zawsze:

- Gdybym miała jeszcze jakieś pytania, czy mogę do ciebie zadzwonić?

- Oczywiście. Do zobaczenia na otwarciu wystawy.

Lana zbiegła po schodach. Dziesięć po trzeciej. Bez względu na to, jak dobrze poszedł wywiad, czuła się, jakby uciekła z jakiegoś więzienia, uciekła do swojego własnego życia. Niestety umówiła się u Dwighta na czwartą - około sześć przecznic na zachód, na Osiemnastej Ulicy. Nie lubiła zapychać sobie tak soboty, wolała całą przeznaczyć dla siebie, ale kiedy powiedziała „pierwsza”, Dwight powiedział „czwarta” i na tym stanęło, a teraz musi jakoś zapełnić całą godzinę. Zastanawiała się nawet, czy nie pobiec z powrotem do domu na Jedenastej Ulicy, ale po co biec przez piętnaście minut tylko po to, żeby od razu pędzić z powrotem? Można niby poszperać w ABC, ale jaka to radość, jeśli ciągle trzeba patrzeć na zegarek? Tak naprawdę miała ochotę na filiżankę kawy (przyjemne jest „przyrządzanie herbaty”, ale sama herbata jest nijaka). Gdy dotarła na Piątą Aleję, weszła do pierwszej kawiarni i siadła przy barze.

Czuła się, jakby włożyła stare buty. Chicago, Nowy Jork -wszystkie kawiarnie były podobne, od ciast o sztucznym wyglądzie w szklanych pudełeczkach po lekkie ciastka duńskie pod obdrapanymi plastikowymi pokrywkami. Potrzeba jej jeszcze tylko „Kenyon”, „Hudson” albo „Partisan Review”, dziesięć funtów więcej, koszulki Brooks Bro-

thers, która była za ciasna w biuście, i będzie znów w Chicago, po college'u, przed wszystkim. Ile godzin nad kawą extra-light? Ile sałatek szefa na owalnych talerzykach? Ostatnia książka Saula Bellowa podpierająca talerz, strony paprające się w sosie. Nie ma już jej ulubionej kawiarni Carnegie Deli w Drake Hotel. I Old Chicago, najcudowniejszy mały pokój ukryty przed zgiełkiem sklepów i restauracji na pierwszym piętrze. Jakbyś się schowała do tylnej kieszonki - czuło się olbrzymie jezioro Michigan, szorstka płyta nieba i wody tak niedaleko, że zdawało się, że podchodzi pod ściany. A przed tobą najbardziej puszysta, pożywna sałatka z kurczaka i czekoladowy shake, zimny i gęsty, pełen kryształków lodu. Wszystko minęło.

Tyle lat i nagle znów była w takiej samej starej kawiarni, przed nią taka sama wyblakła zastawa. Właśnie zrobiła wywiad dla „Vanity Fair”, najwspanialszego magazynu Ameryki, a teraz siedziała, siorbiąc kawę, na tym oto taborecie. To jednak było bardzo miłe, że do niej zadzwonili, sama nigdy by się nie odważyła. Nawet jej się to nie śniło. Ale jeden z redaktorów przeczytał jej tekst dla „Atlantic” i uznał, że ma klasę („Z takim okiem możesz pisać o wszystkim”). Tekst Lany o Iris ma mieć tylko 350 słów, ale robi z tego perełkę. Zagra na staroświeckiej dbałości o szczegóły przy pracy nad gniazdami. W Iris było coś baśniowego, jak kobieta tkająca sobie własną wieżę z małych patyczków. Rapunzel i kolce. Udałoby się może zagrać na jej zielonych oczach i szmaragdach. A może nie. Tu był cień. Może dlatego była sama. Mąż zniknął i wszystkie te nacięcia, ukłucia i szpilki. Wydają się symboliczne. Święta rana. Takich ran nie da się szybko wyleczyć. Ale Lana nie pociągnie tej myśli dalej. Będzie się trzymać cytatów i gniazd, co w zupełności wystarczy. Wspaniale będzie o tym pisać.

A co pomyśli Fernanda, gdy to zobaczy? Jeśli to zobaczy. Minęło pięć miesięcy od ich kłótni w styczniu, ale na samą myśl Lanie wciąż robiło się słabo. Przynajmniej przestała już się zastanawiać, co może o niej opowiadać Fernanda. Ale były też plusy - zniknął przymus dzwonienia, zgadywania, cackania się i wybiegów. Nowy Jork to dziwne miasto. W ciągu półtora roku Lana straciła dwie przyjaciółki - obie wierzyły, że to ona je zdradziła. Czy tak naprawdę było? Mała Lana z Evanston w stanie Illinois? Rozumiała, jak męczące musi być przebywanie z młodszą koleżanką, która się z tobą nie zgadza, dogania cię lub nawet cię prześciga. Rozumiała, że gdy zamieszkała z Samem, Fernanda poczuła się odrzucona. Właściwie nawet Sam powiedział jej: - Ukradłaś Fernandezie coś - samą siebie. - Lana udawała, że przeprowadzka niczego nie zmieniła, udawała, że nie ma dość niekończących się telefonów Fernandy i ciągłych potrzeb. Ale czy i to nie było okłamywaniem Fernandy? Kłamstwem, które Fernanda przejrzała i, będąc córeczką tatusia, odrzuciła. Lana żałowała, że nazwała Fernandę „małą”. Wierzyła w te słowa, gdy je wypowiadała, ale to nie była prawda. A może prawda tylko o tyle, że Fernanda była jak małe dziecko, z dziecinną potrzebą próbowania i odrzucania, kontrolowania przez próbę i odrzucenie. Lana chciałaby to cofnąć. Jednak ataki Fernandy, jej porywczosć... Lana nigdy tego nie zapomni - odległość, na jaką można odejść, żeby cię nie zostawiono. Miała nadzieję, że nigdy nie będzie się musiała tak czuć. Lana pokrótce przedstawiła Livii całą sytuację, ale ostatnio zadzwoniła w niedzielę, gdy był tam też Tom, który podrzucił jakieś rodzinne zdjęcia. - Tu jest jakaś ukryta zasada - skarżyła się Lana. - Jest we mnie coś, co wkurza te kobiety. A ja tak się staram ich nie denerwować.

- Po pierwsze one jakoś zawsze są od ciebie starsze
- uspokajała ją Livia. - Mam rację? Czyli ty jesteś ich podwładną. Po drugie, może się mylę, ale to diwy. A ty nie jesteś diwą. Nie masz wystarczająco dużo bagażu.

Livia sama była diwą w domu Burtonów, ale nikt nie miał serca jej tego powiedzieć.

- A wszyscy wiemy, co się dzieje, jeśli masz mały bagaż

- darł się Tom. Potem Lana usłyszała zamieszanie i jego potężny głos już był w słuchawce: - Kończysz, niosąc te ich bagaże.

- On ma rację - krzychała Livia z tyłu.

- Dobra, mała - Tom lubił rozwiązywać problemy. - Musisz sama siebie zapytać, czy ta inwestycja się zwraca.

- Tom był optymistyczny, jakby stanął przed kolejnym problemem w swojej firmie maklerskiej: „Da się zrobić”.

- Pamiętasz ten projekt naukowy w szkole? Posadziłaś wtedy dwie rozsady tej samej roślinki, jedną w słońcu, drugą w cieniu. Pamiętasz, że utożsamiałaś się z tą marnotą rosnącą w cieniu?

- Tom, ten kwiatek umarł.

- I w tym rzecz. Nie jesteś tego rodzaju kwiatkiem. Ty lubisz cień.

Pamiętasz, jak w przedszkolu siedziałaś pod stołem w czasie własnego recitalu - słynna rodzinna anegdotka - pozwalając błyszczeć innym?

Zrobiłaś tak, bo to było odpowiednie światło dla fotosyntezy właściwej Lanie Burton.

- Mówisz tak, jakbym wykorzystywała ludzi.

- Nieprawda. To symbioza. Ale widocznie już nie. Widocznie już jesteś gotowa na trochę słońca. A przy okazji przestań szufladkować się jako krytyk, mała, ludzie nie cierpią krytyków. Zrób sobie tę przysługę i mów o sobie: pisarka.

- Tom?

- Co?

- Kto tam u was tak posapuje?

- Ta, zmieniaj sobie temat. To nasze nowe szczenię, Dickens, buldog francuski. Beka, pierdzi i charczy. Dzieciaki go uwielbiają. A teraz muszę go już zabrać do domu. Więc masz Livię...

Nastąpiły niekończące się teorie i w pewnym sensie niekończące się prawdy. Tworzysz je, przyglądasz się im i idziesz dalej. Lana nie mogła zapomnieć, co powiedziała jej Fernanda podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej, kiedy podziękowała jej za przeprosiny, ale nie była pewna, czy „to wystarczy”. Lanie wydało się, że to jest sedno każdego oskarżenia i rozłąki, każdego napadu wściekłości i bólu - pytanie o to, co wystarczy, a co nie. Czy są na świecie dwie osoby, które by to mierzyły tak samo? Wystarczająco?

Rzuciła okiem na zegarek. Wyjdzie za dziesięć minut. Trudno powiedzieć, ile posiedzi u Dwighta, ale jeśli wyjdzie wystarczająco wcześniej, pójdzie jeszcze do Bed Bath & Beyond. Lana i Sam desperacko potrzebowali nowych ręczników. Kiedy się wprowadzili, on przyniósł swój żeglarski w niebiesko-czerwone paseczki - ahój, żeglarze! - a ona swoje żółte, niegdyś frotte, teraz wystrzępione od używania. Mieszkanie Iris Biddle, te spokojne kolory i połyskujące jedwabie, sprawiły, że Lana zapragnęła luksusu. Zacznie od wielkich, białych, mięciutkich ręczników. Zapłaci za nie ich nową wspólną kartą kredytową, a niebieskie i żółte wyrzuci do kosza.

Lana wzięła dokładkę. Dodała śmietanki i wypila gorącą, słabą, bladą i słodką kawę. Dwight powiedział jej wreszcie o pozytywnym wyniku testu, co od dawna podejrzewała, widząc jego wahania wagi. W dzisiejszych czasach, z całym tym HART-em*, naprawdę nie wiesz, kto

*Wysoce aktywne leczenie antyretrowirusowe.

jest chory, a kto nie. Ludzie wyglądają kwitnąco, a ponura chmura krążąca nad nimi - chmura, która rzuca cień na życie każdego nowojorczyka, bez względu na to, czy dba

O to czy nie, uprawia seks czy nie - odpływa. Strona z nekrologami w „Timesie”, która przez dobre dziesięć lat była rodzajem niekończącej się ballady o tym, jak umierają młodzi i piękni, znów stała się prowincją starych. Ale co innego jest podejrzewać, a co innego usłyszeć Dwighta. Lana nie sprostowała tej chwili - nagle otworzył się mroczny tunel łączący ją z nim przez telefon. Co wtedy powiedziała? Aż przykro było o tym myśleć:

- Och.

Ona, która na co dzień pracowała ze słowami. Czekał po drugiej stronie linii, gdy ona przyzwyczajając wzrok do podziemi.

- Ale będzie dobrze - powiedziała. - To nie to, co kiedyś. Na co on odpowiedział:

- Wiem'.

A potem mówili o tym, przyzwyczajając się powoli do nowej terminologii - lekarze, leki, efekty uboczne. Dwight był twardy, co do tego nie ma wątpliwości, już sobie z tego żartował. Na końcu rozmowy, mimo że nigdy nie byli zbyt wylewni, Lana wydukała:

- Dwight... my... ja... kocham cię.

- Wiem.

Dwight dobrze znosił kurację, ale zniósłby ją lepiej, gdyby zaczął wcześniej. Uparty, skryty i taki samotny pod koniec każdego dnia udawał, że nie widzi symptomów,

i odkładał wizytę u lekarza. Tak więc było źle, teraz lepiej, dzięki Bogu, był coraz silniejszy. Dobra wiadomość była taka, że dostał zamówienie na książkę - i imponującą sześciocyfrową zaliczkę na krytyczną biografię Barysznikowa. Był trochę przeziębiony, gdy opowiadał o tym Lanie, ale

myśl o zazdrości Cassettes kazała mu chichotać między napadami kaszlu. Lana szła dziś do niego na lampkę szampana, żeby to uczcić (Dwight musi się teraz obyć bez burbonu) i żeby wysłuchać, jak nadaje o książce. Chciał też wysłuchać jej relacji. Uwielbiał wewnętrzne szlaki. Uwielbiał *glitz*. I był szczęśliwy, szczęśliwy, że „nasi” są o stopień wyżej. Jeśli o niego chodzi, dlaczego nie mieliby teraz oni sięgnąć po władzę? Lana cieszyła się, że zobaczy Dwighta, ale czuła też to przyjemne przyciąganie, tę niecierpliwość, żeby być już w domu z Samem. Postanowiła, że nie skoczy po ręczniki, zrobi to jutro. Może nawet weźmie ze sobą Sama, nic mu się nie stanie, o ile tylko wejdą i wyjdą, bo wtedy nie zdąży się poczuć zbyt udomowiony. Nie należał do mężczyzn, którzy lubiliby łażenie po sklepach. Ale podobało mu się mieszkanie razem, Lana to czuła. A kiedy wreszcie porozmawiali o tamtych dwóch miesiącach, potwornym czerwcu i lipcu, był bardzo zakłopotany. Lana siedziała mu na kolanach, patrząc w oczy, a Sam tłumaczył:

- Miałem nadzieję, że wszystko się rozwieje.
 - Rozwieje? Wiedziałeś, że czekam.
 - No, to tak jak z pójściem do lekarza, odkładasz to wciąż na później, aż zabraknie ci wymówek.
 - A kiedy popłakałam się wtedy na ulicy? Co wtedy myślałeś?
 - Ajajaj, koniec tych żartów.
- Roześmiali się. Chwyliła go za włosy na karku.
- Ale czy nie jesteś teraz szczęśliwy? - spytała, trzęsąc ręką, tak że trzęsła się też jego głowa.
 - No, chyba tak.
 - Nie brzmi to zbyt radośnie.
 - Nie chcę, żebyś myślała, że jesteś górą, mimo że jesteś. Lana chciała więcej.

- Czy nie widziałeś, jak ja się wtedy zamartwiałam?

- Nie myślałem, że to chodzi o nas. - Przyciągnął ją do siebie. - Jakbym mógł cię w ogóle tak zostawić...

A potem zdjął ją z kolan, bo nie mógł jej dźwigać dłużej niż pięć minut. Za trzy miesiące minie rok, odkąd mieszkają razem. Może wtedy poruszy sprawę słowa na Ś, we wrześniu, mogliby zareczyć się przed świętami, a ślub na wiosnę, albo latem. Ale rok - to brzmiało mało romantycznie. A Sam już zmiękł. Szacunek, jaki okazała jego powolności, to, że dała mu więcej czasu, niż oczekiwał, owocowało z nawiązką. Wyluzował i pozwolił jej się prowadzić. Może następny krok zaimprovizuje, zagra to ze słuchu, wsłucha się w odpowiedni moment. Ich mieszkanie (w kamienicy pełnej rodzin) wystarczy im na trzy, cztery lata. Ma osobną spiżarnię (z oknem), która jest wystarczająco duża, by urządzić w niej mały gabinet. Można ją przerobić (Lana nie widziała tu żadnych przeszkód), jeśli Sam uprze się dalej studiować. Potrzebuje trochę kawalerskiej przestrzeni, nawet jeśli to tylko iluzja.

Lana wypła kawe do dna. Wreszcie wszystko jest, jak trzeba. Wszystkie moje kaczuszki stoją w rzędki. I ponieważ była sama przy barze, zaczęła nucić piosenkę, której kiedyś słuchały z Livią na okrągło w ciemnościach, obie uwielbiały jej szalone zakończenie z tą aluzją do tytułu, wszystko zmieniające się w „róże i żonkile”, wszystko...

Co? Nie mogła sobie przypomnieć. Oszołomiona jeszcze raz powtórzyła w myślach całą piosenkę, ale wciąż nie mogła sobie przypomnieć tego wersu. Położyła dwa dolary obok filiżanki z kawą i pomachała na do widzenia facetowi za barem. Gdy pchnęła szklane drzwi, zadzwonił dzwoneczek. „Słońce i Święty Mikołaj!”.

I oto jest - wszystko przed nią.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Spójrz jeszcze raz

Iris nie chciało się wychodzić z samochodu. Lubiła ciszę prześlizgującą się przez Manhattan o wschodzie, szarość uciekającą jak duch pod nocne granatowe niebo, wciąż zbyt ciemne, żeby zobaczyć, jaki będzie dzień. Intrygowały ją małe ceglane kamienice, które mijała w tej części Queens, w której nigdy przedtem nie była. Czy była właściwie kiedykolwiek w Queens, nie licząc jazdy na lotnisko? Kierowca jechał w stronę Far Rockaway, zaraz przy Lotnisku Kennedy'ego, do miejsca zwanego Jamaica Bay.

- To kwestia promocji, impromptu - powiedziała wielka znawczyni sztuki i jej współlokatorka z akademika Victoria Pines, gdy zadzwoniła dwa tygodnie temu. Vicki wciągnięto w to z powodu jej dawnych audycji o zwierzakach, a teraz ona wciągała Iris.

- Chcą zbudować ścieżki rowerowe w Jamaica Bay, w tym rezerwacie przyrody, o którym większość nowojorczyków nie ma zielonego pojęcia. Jakby to miasto potrzebowało jeszcze choćby cała asfaltu więcej! Grupa miłośników ptaków i ich znajomych próbuje zdusić pomysł w zarodku. Spotykamy się tam czternastego października, to sobota i potrzeba nam więcej ludzi, jakichś osobistości. Będę miała kamerę, zrobię kilka wywiadów, a potem skoczmy pogapić się na te ptaki czy co tam. Będziemy w do-

mu jeszcze przed południem. Musisz być. To się klei, te twoje gniazdko i w ogóle.

Iris nie mogła odmówić. Vicki zrobiła taką ładną, nieco napuszoną, trzyminutową relację z występu Iris we **flow** gallery („To nie abażury twojej mamy”, „Zdjęto białe rękawiczki” i „Gdyby Sylvia Plath używała patyczków zamiast słów” i tak dalej, na co Iris mogła tylko pomyśleć „aj”).

- Poza tym - nawijała Vicki - będzie co najmniej dwóch wolnych i przystojnych. Jeff Henderson, dziennikarz z Chicago, wciąż blond bóg, chwilowo nieżonaty! I Chip Parks, rodzina z Wall Street. Może nieco pucołowaty, ale uroczy - uroczy charakter.

Podwójne „aj”. Od otwarcia wystawy we wrześniu, od pięciu cali zakłopotanego entuzjazmu w „Timesie”, małego, dziesięciozdaniowego zachwyty w „The New Yorker”, oszalamiającego portretu w „Town & Country”, lirycznego spojrzenia Lany Burton w „Vanity Fair” i okrutnej kpiny w „The Voice” („Gratuluję - cieszyła się Emily Edwards - masz wrogów!”) Vicki dzwoniła bez przerwy. Tak jakby uznała nagle, że nie doceniła Iris, jakby zobaczyła ją w nowym świetle („kumpelka-gwiazda”) i postanowiła zająć się nią jak zbłąkanym zwierzątkiem (jak dziewczynką, którą poprowadzi przez Szóstą Stronę aż do pałacu księcia). Vicki nie mieściło się to po prostu w głowie, że można być samą. Ale taka poranna jazda samochodem, ulice uśpione jeszcze w cieniach i świetle lamp - ten niepokój, uczucie bycia pomiędzy - przypomniały Iris wyjazdy na polowania. Wstawała przed świtem, cichy pośpiech w lodowatej stajni, nagie żarówki świecące w zimnych poświatach i konie z przyciętym i splecionym włosiem, czekające w wełnianych derkach, duże ciężarówki zaparkowane tuż obok, także czekające. I Iris. Jako piętnastolatka nie była jeszcze ładna, ale w czarnej dżokejce i białym krawacie długi nos

nad jej małymi ustami wydawał się odpowiedni. I długie, chude nogi, źródło niekończącego się spłoszenia w spódnicy, a tymczasem w czarnych skórzanych butach i czarnych czapsach - godna pozazdroszczenia elegancja.

Samochód wtoczył się na parking zapchany innymi miejskimi pojazdami, bmw i jakieś sportowe wehikuly. Iris miała nadzieję, że jej strój będzie w porządku. Zbliżając się do centrum dla zwiedzających, zobaczyła swoje odbicie w lustrzanych drzwiach: buty Timberlanda, sztruksy zawinięte nad kostką, gruby, popielaty golf i piękna stara kurtka myśliwska ojca. Wzięła ją w tych pierwszych, zimnych dniach po jego śmierci, wyciągnęła z jego szafy, gdzie ubrania przestały oddychać, żeby matka nie wysłała ich bez chwili namysłu do wujka albo nie oddała biednym. Była karmelowa, tweedowa i dość duża, rozmiar czterdzieści dwa, więc Iris przewiązała ją mocno w pasie jak żona Hemingwaya. Weszła do pustego centrum i zobaczyła ludzi zebranych pod drugim wejściem, drugimi szklanymi drzwiami, na dworze, po przeciwnej stronie budynku. Mieli na sobie czarne mikrowłókna, polary, goreteksy. Iris westchnęła. Jakimś sposobem zawsze trochę odstają. Rzuciły się w oczy dwie dwudziestoparoletnie dziewczyny z East Side ze swoimi błyszczącymi włosami, nieprawdopodobnie obcisłymi spodniami z Bóg-wie-jakiego włókna, zakładki opadające na kowbojskie buty. A gdzie krowy? - pomyślała Iris, patrząc na ich bezczelne spojrzenia „skąd myśmy się tu wzięły?”. Więcej ptaszków, pomyślała, dla Hendersona i Parksa. Iris stała tam i patrzyła przez szybę. Nie jestem tutaj, żeby być duszą towarzystwa. Jestem tu, żeby zrobić przysługę Vicki, mojemu skaraniu boskiemu. Wschodziło już słońce. Dzień będzie wspaniały. Vicki zauważyła Iris i już była przy niej.

- Biddle. Jesteś tu!

- No, oczywiście że jestem - odpowiedziała Iris, myśląc: przyjechałam taksówką, którą po mnie przysłałaś. Vicki miała pełny, barwny makijaż, blond włosy zaczesane do tyłu w stylu safari. Faceta od kamery jakoś nie było widać, pewnie zaciągał się papierosem za jakimś drzewem.

- Zrobiłam już dwa szybkie wywiadziki, zostają jeszcze dwa. Ale czekaj, przedstawię cię. Nie chcę, żebyś tu stała sama. - Szybko zlustrowała ją od stóp do głów. - Jesteś taka staroświecka. Ale urocza - dodała pośpiesznie. Ciągnięta za łokieć, wepchnięta pod sam piękny nos Jeffa Hendersona i jego świdrujące błękitne oczy, Iris zmusiła się do pogaduszek z uroczym Chipem i dała z siebie wszystko, by być towarzyską, mówiąc „tak, ależ cudownie jest mieć wystawę” i „nie, mimo że moje abażury są w kształcie gniazd, nigdy nie zajmowałam się obserwowaniem ptaków, ale to wspaniale być na dworze dzisiejszego poranka”. Kiedy wreszcie uwolniła się z uścisku Vicki, podeszła do notatek na surowym, drewnianym podium. Była tam lista ostatnich odkryć:

100 łysek czubatych

1 północny błotniak stawowy

17 ślepowronów

1 siewka złota!!!

Tuż obok przystojny młody mężczyzna, który wyglądał na przewodnika, ustawiał spotter, mocując nóżki statywu i rozmawiał z dwoma starszymi panami wprost z L.L. Bean (bardziej w jej stylu). Iris nie miała nic przeciwko hollywoodzkiemu wyglądowi Jeffa Hendersona i jego ach-jak-że-świdrującym oczom (chyba nic na to nie mógł poradzić).

Niewątpliwie był dla kogoś niezłą partią, złoty chłopiec kilka lat później, skończony mężczyzna. Tyle tylko, że

wszystkie kobiety, z którymi się dotąd żenił, były bogate. A kobiety, z którymi się spotykał, jeśli nie były bogate, miały bogatych facetów. Iris wydało się to niesmaczne, to przywiązanie do pieniędzy. A Chip. Iris nie przeszkadzała jego pucołowatość (choć Erich był chudy jak szczapa), ale on wyglądał bardzo młodo (- Trzydzieści osiem - upierała się Vicki - to nie znaczy, że jest za młody). A nawet jeśli założyć, że był wystarczająco stary, był tylko tym, czym był - „Top-Siders” latem, „Belgian Shoes” zimą, rodzice na Piątej Ulicy, jacht w Maine, spinki do mankietów od Schlumbergera, jagnięcina u Lobelsa. Został wychowany do życia w ciasno zdefiniowanym luksusie. Potrzebował kobiety, która byłaby tak samo wychowana - żony, która mogłaby kupić Iris Originals, ale na pewno nie gniazdo.

Iris wiedziała, że nie podpadała pod żadną kategorię. Jednocześnie obyta towarzysko i samotna. Elegancja, która musi przemyśleć każdy czek (choć pod tym względem było lepiej od czasu wystawy). A teraz - była kobietą od abazurów czy artystką? Mężczyźni nie mogli się połapać. Sprzedać kobietę po czterdziestce w ogóle nie jest łatwo, ale przynajmniej można zadbać o dobry marketing. Była zbyt skryta, zbyt zamknięta w sobie i oczekiwała zbyt dużo. Cóż, kurtuazja, której oczekiwała, to nie było za dużo w latach osiemdziesiątych, gdy miała dwadzieścia parę lat, ale dziś mężczyźni już się tak nie zachowywali. Co gorsza jej zaufanie i dziewczęcość pojawiały się nieproszone, jak roślina, która odrobinę światła bierze za słońce - mimo że to było tak niewłaściwe dla dzisiejszych mężczyzn i dla jej wieku. Próbowwała zdusić, uspokoić to wewnętrzne poruszenie, ale tkwiło zbyt głęboko w niej. Po prostu taka była.

Gdy Iris przyglądała się liście, dobiegły ją głosy trzech mężczyzn: Co jest na East Pond? Szablodziób już zniknął. Ja też nie mogłem go znaleźć. Ale jest jeszcze zawsze

szlamnik i dwie sieweczki. A łyski, są tam jeszcze? Z pięćdziesiąt. I młody sokół wędrowny. A potem co? Szukamy sokołów? To potem. Północnowschodni wiatr. Będzie wspaniale. Wczoraj trafiły im się dwie sieweczki. Szkoda, że mnie nie było.

Macie siewkę złotą tuż pod nosem, pomyślała Iris, ale nic nie powiedziała. Zanurkowała w kieszeń po lornetkę, no, tak naprawdę to lornetka teatralna. Ale bardzo dobra. Leica. Kupiła ją w zeszłym roku po kolejnym bólu głowy od tej pradawnej lornetki z masy perłowej. W czasie kiedy grupa w oczekiwaniu na Vicki, która już kończyła swoje wywiady, rozlazła się i plotkowała, zastanawiając się, co można by zaplanować po spacerze, Iris skierowała swoją lornetkę na gałęzie nad jej głową - jawor - mrużąc prawe oko. Zauważyła jakiś ruch na gałęzi i wycelowała tam lornetkę, ale wszystko było zamazane. Lornetka dobra do opery, tu była po prostu śmieszna, taka malutka. Ale z niej amatorka. Nie ma nic gorszego w lesie, jak zły sprzęt. Poczula, że ktoś dotyka jej ramienia, i odwróciła się.

- Myślę, że powinna pani spróbować tego - powiedział jeden z trzech ptasich facetów, podając jej lornetkę Zeissa.

- Te śliczne małe leiki - kiwnął w stronę jej lornetki - nadają się raczej na Wagnera.

- Ależ nie mogę panu zabrać lornetki - zaprotestowała Iris, jednocześnie rejestrując, że ma na szyi drugiego zeissa i niebieskozielone oczy. Było w nim coś, coś znajomego.

- To zapasowa - powiedział. - Po prostu proszę ją założyć na szyję.

Iris posłuchała rady.

- Zobaczysz pani rzeczy, których nigdy pani nie widziała.

- A potem pociągnął ją za tweedowy rękaw kurtki i odwrócił się, mówiąc:

- Ale strzelanie jest surowo zabronione

- i odszedł.

Miał spokojny, płynny krok mężczyzny, który często bywa sam na powietrzu.

Spojrzała na zeissa dyndającego na jej piersi. Wzięła lornetkę do ręki i skierowała na krzaki. Ależ to nowy wspaniały świat, jak wszystko widać! Widziała wyschnięte żyłki na martwym liściu, mogła policzyć igły na szczycie sosny, a kiedy trafiła na wróbla drepczącego po ziemi, spojrzała na niego natychmiast. Miał różowe nóżki.

Grupa zaczęła się zbierać. Przewodnik mówił swoje. Pierwotnie mieli zrobić pętlę, czyli prawie milę pieszo, przejść wzdłuż zatoki, wokół jeziora. Ale jako że zaczęli z opóźnieniem, a wielu z nich wybiera się jeszcze potem na wycieczkę, przejdą tylko do Terrapin Trail i z powrotem. Opowiedział im o okolicy i o tym, dlaczego ścieżki rowerowe są zagrożeniem (gnieźdzą się tu turkawki, a cement nagrzewa się znacznie mocniej niż piasek). Rozdał lornetki tym, którzy ich potrzebowali, i doradził używanie spotterów. Gdy tylko wyruszyli (razem grupa około dwudziestu osób), dwie dziewczyny skierowały się w stronę Hendersona. Rozmawiał z dziennikarzem z „Timesa”, który niósł spotter pod pachą - ich głowy pochylone pod tym samym kątem. Chip Parker wyglądał niezwykle radośnie, czasami szeptał coś do rozlazłej brunetki z małą torebką od Louisa Vuittona. Vicki miała aż trzech facetów - klienci jej męża, wszyscy bardzo podnieceni. Śmiała się i pochylała w stronę jednego z nich - bardzo przystojnego - a on jej na to pozwalał.

Poranek był cudowny, razem ze słońcem wylaniała się uderzająca po oczach jasność, powietrze było zimne, ale niezbyt. O tej porze na polowaniu, około wpół do dziewiątej, byłiby już na miejscu spotkania, siodłaliby konie na łące, na trawie skrzypiącej od mrozu, zrzucaliby narzutki i wślizgiwali w czarne myśliwskie kurtki; ostatnie przetarcie lśniących butów, podeksycytowani, Boże, jakże podeks-

cytowani, wsiadaliby już na konie i stawali się wielcy i potężni, zjednoczeni w tej historii polowania, krew wrzała już w tym krwawym sporcie. Iris podniosła brodę w stronę wiatru. Grupa (pstrokata mieszanka kilku postaci) przeszukiwała sitowie na jeziorze. Trudno uznać podglądanie ptaków za typowo męskie zajęcie.

Ale ta cisza, cisza nad zaroślami, psy szukające tropu, była właśnie taka. Oczekiwanie, uszy i oczy czujne, odległe zbliża się. Dalekie odgłosy rogu, jak gdakanie kaczek i kroki konia pod tobą. Czarne krakanie wron ponad drzewami, szamotanie się cugli, gdy konie potrzęsają łbami, zniecierpliwione warkoczykami zaplecionymi poprzedniego dnia. Etykieta polowań to cisza. W takiej ciszy zaczynasz słyszeć dosłownie wszystko.

- I-ris - krzyknęła Vicki, przerywając zakłęcie i zwracając ku sobie wszystkie twarze. Iris uparcie patrzyła w zarośla, ale aż za dobrze słyszała chrzęst żwiru, po którym zbliżała się Vicki. Iris wymamrotała, jak tylko mogła najmilej:

- Tak?

- Czemu tu tkwisz? - czepiała się Vicki ostrym tonem, ale przynajmniej po cichu. - Chcę, żebyś była blisko mnie, żebym mogła cię wprowadzić w odpowiednie sytuacje. - Złapała Iris za pasek. - Chcę, żebyś porozmawiała z Jef-fem Hendersonem.

- Już z nim rozmawiałam - odszepnęła jej Iris. - A teraz szukam ptaszków. To brzmiało zabawnie. Iris nie miała pojęcia, jak się szuka ptaków (zdecydowanie lepiej jej to wychodziło z gałęziami), ale wpatrywała się z natężeniem i śledziła wszystko, co się ruszyło. Przewodnik mówił coś o kaczkach, co trochę ją zdziwiło. Czy kaczki mogą być w ogóle interesujące? Kobieta z torbą od Louisa Vuittona spojrzała przez spotter i wyprostowała się, mówiąc: - Ależ ja nie widzę

kaczki à l'orange. - Rozległ się śmiech, a przewodnik pokiwał głową cierpiętniczo.

- Kto to? - szepnęła Iris.

- Jest zaangażowana w *The Birds*, eksperyment artystyczny, nawet nie pytaj.

W tym samym czasie dwóch starszych mężczyzn, którzy wysunęli się trochę do przodu, jakby znudzeni tymi bezsensownymi pogaduszkami, pochylało się nad spotterami.

- Masz coś? - krzyknął przewodnik.

- Kaptownika.

Grupa podjęła swój nieśpieszny spacer. Iris wiedziała, że Vicki stara się jej pomóc. Ale trochę przesadzała.

- Vicki, jesteś wspaniałą swatką, ale to nie miejsce, nie czas.

A poza tym Iris chciała zobaczyć tę nurogęś. Zbliżyła się do spottera mężczyzny, który pożyczył jej lornetkę. Natychmiast do niej podszedł.

- Tu reguluje się ostrość. - Wskazał jej obręcz w połowie teleskopu.

Pokręciła. Zamazany obraz zniknął, ukazując wszystko z szaloną dokładnością, zatkało ją i wydusiła tylko „och, och”.

Miała musztardowe, nie, orzechowe ciało z białą-czarną piersią - królewskie kolory! - i ozdobny biały pióropusz. Iris patrzyła, jak pióropusz otwiera się jak wachlarz, od dwunastej do trzeciej.

- Czy to białe to czub?

- Tak - przytaknął mężczyzna. - To opierzenie godowe. To grzebień.

Iris nie mogła się napatrzeć na tę ślicznotkę, paseczki przy ogonie, cieniutki dzióbek, drobny grzebień majestatyczny jak skoczek w szachach, ale nagle zdała sobie spra-

wę z tego, że może zbyt długo pochyła się nad spotterem, a ten mężczyzna ją obserwuje. Odsunęła się, żeby pozwolić komuś innemu popatrzeć, ale grupa skupiła się przy pozostałych teleskopach i zostali sami. Mężczyzna przestawił spotter.

- A tu samiczka. Nie tak piękna jak tamten dandys. Iris spojrzęła na czerwonawobrazową kreaturę, próbując docenić różnicę, ale tak naprawdę chciała jeszcze raz zobaczyć samca.

- Czy możemy spojrzeć jeszcze na samca?

- Spodobał ci się - stwierdzenie, które prawie zabrzmiało jak pytanie. Dostosował spotter.

Iris znów się pochyliła i gdy ustawiała ostrość, zażartowała:

- Jesteś krótko- czy dalekowiedzem?

- Hej - zaśmiał się. Ale kiedy przyłożył oko do teleskopu, przyznał się: - Krótkowiedzem, ale nie aż takim.

Przyglądał się bardzo powoli. Gdy patrzył, Iris obserwowała jego profil, ostre, intrygujące zmarszczki przy oczach. Gdzie i kiedy? Przeszukała w myślach Nowy Jork. Nie, jeszcze wcześniej, Erich, nauka, campus uniwersytecki w Penn - jak szukanie czegoś w kieszeni starego płaszcza, jak mrużenie oczu w ciemnościach, zbliżanie się...

Wtedy. Tam. Iris wiedziała, gdy tylko odwrócił głowę i złapał jej spojrzenie.

Zaczerwieniła się. Gorąco zalewające twarz, nawet uszy. Jego uśmiech pogłębił zmarszczki.

- Iris Biddle - powiedział. - Spotkaliśmy się już. Ale ty pewnie nie pamiętasz.

Iris pozwoliła mu mówić.

- To było w Penn. 1989. Obiad dla Brianskiego.

- I ta olbrzymia dotacja - przypomniała sobie Iris. Jedenaście lat temu.

- Tak. Dotacja mojej firmy. Byłaś tam z mężem. Erich zachował się okropnie tej nocy. Żadnych scen, ale zaczynała się gorycz, jego upór i złośliwość, odsuwanie się. Ned Briansky był wesołym, gładkim i bardzo bystrym naukowcem, no i doktorantem, czyli mógł wykonywać pracę kliniczną - większa nadzieja na gotówkę. Erich nie potrzebował tej dotacji dla siebie, ale irytowało go to, że doktorant dostaje pieniądze na wtórny projekt (ciężką pracę - kpił sarkastycznie), gdy tymczasem doktorowie musieli ciulać, żeby się wybić. W każdym razie, Iris nie będzie słuchać, jeśli zechce krytykować Ericha.

- Czyli ty jesteś Bill Warren - powiedziała. Główny wróg Ericha. Założył Z-Tech Pharmaceuticals. Dzięki trzem patentom mała firma stała się nagle wielka. Tak było w latach osiemdziesiątych. Miał teraz mniej włosów, krótsze, srebrne, trochę przytył. Stare ubranie khaki dopełniało kamuflażu. A tamtej nocy był dobroczyńcą, opinający, ciemnoniebieski garnitur i koszula wazniaka, pięć stóp i osiem cali, zdawkowy uśmiech, twarde spojrzenie i oczy, przed którymi nic się nie ukryje. Pamięta, jak zostali sobie przedstawieni, chłód między nim a Erichem, kiedy uścisnęli sobie dłonie, ich krótka, zaczepna rozmowa, a potem te oczy utkwione w niej tak, że wyprostowała się dumnie. Zauważyła ten kontrast - Erich taki rozczochrany, chudy i wysoki, rozpięta, powiewająca marynarka i uważała oczywiście, że to Erich ma więcej wdzięku. Bo on był jej. Jednak wigor Warrena tryskającego energią był niezaprzeczalny - jego sukces, nie miał jeszcze czterdziestu pięciu lat, wzbudzał szacunek - a przecież Erich tak wiele o nim mówił, narzekał i teraz spotykała go wreszcie, i był to jeden z tych momentów, które zna każda żona, gdy widzi to, czego nienawidzi jej mąż, i czuje w sobie jakiś bunt, łapie się na myśli „mógłbyś być taki”.

- Erich był wtedy wspaniały - powiedział Bill. - Z taką opiekuńczą żoną. Wciąż pamiętam to mrozące spojrzenie, które mi posłałaś tamtej nocy. W tej niebieskiej sukni.

Iris była oszołomiona. Ta niebieska suknia, prawie lawendowa, ciąg jedwabnego aksamitu bez rękawów - ten mężczyzna pamiętał.

- Nie byłam sprawiedliwa tamtej nocy - powiedziała.

- Żona nie musi być sprawiedliwa.

- Zabawne, że ludzie myśleli, że Ericha mało to wszystko obchodzi.

Tymczasem bardzo źle to zniósł.

- Wtedy badania były walką rozzdzierającą serca. Trzeba było zdobywać dane i iść dalej, szybko i bezczelnie. Wiem, że taki byłem. Twój mąż też. Dziś jest jeszcze gorzej. A w taki czy inny sposób płaci się za bezczelność.

- Jest teraz w Korpusie Pokoju. Sprawdza leki w terenie. Jest szczęśliwy. Zdała sobie sprawę, że zostali daleko za grupą, i poczuła się niepewnie. Nie widziała obrączki na jego palcu, ale też ostatnio mówiło się, że jego małżeństwo nie układa się najlepiej.

- Ale nasze drogi spotkały się jeszcze kiedyś - ciągnął.

- Tak?

- Iris Originals. Wiem, teraz zajmujesz się czymś innym. Ale był moment, kiedy moja żona - moja druga żona - musiała mieć taki abażur i nie mogła. Umieściłaś ją na liście oczekujących. - Był rozbawiony. - Czekanie to nie była specjalność Jennifer. Chciała ten cholerny abażur. Jakby się płyta zacięła. A ja myślałem sobie: Niebieska Suknia znów atakuje.

Iris była zachwycona, bardziej niż miała prawo, i próbowała tego nie okazać.

- Ludzie bardzo nie lubią czekać - zgodziła się, starając się nie okazać złośliwej radości, a potem oboje utonęli

w tajemniczym gdakaniu napływającym z oddali, które szybko przestało być tajemnicze i leciało prosto na nich - klucz gęsi zniżający się do lądowania, tak nisko nad nimi, że aż poczuli głośny, nieprzyjemny szum. Pokiwał głową nad tą głupotą - ale Iris nie wiedziała, czy to komentarz do Jennifer, do abażurów, czy do gęsi, a może wszystko naraz. Śmiała się. - A gdzie teraz jest Jennifer? - spytała. Nie mogła się powstrzymać i dlaczego właściwie nie miałyby spytać.

- Doszły mnie słuchy - zarzucił spotter na ramię - że zamierza za kogoś wyjść. Kimkolwiek on jest, życzę mu szczęścia. - Podniósł brwi. - Będzie go potrzebował.

- Bill.

- Wiem. Nie powinienem był tego powiedzieć. Chodź. Przeszli koło dwudziestu jardów, ale coś kazało mu się zatrzymać. Postawił spotter i wyostrzył. Stała cichutko, obserwując stado gęsi, które właśnie sadowiło się na jeziorze, a po chwili poczuła jego palce zaciskające się na jej ramieniu, silne nawet przez kurtkę i sweter, przyciągające ją do siebie, do teleskopu, potem jego dłoń na jej plecach, na sekundkę. Pochyliwszy się, ledwie oddychając, z prawym okiem utkwionym w soczewce, Iris zobaczyła grubego, szarego ptaka z czarną główką, długim dziobem i przygarbioną sylwetką. Miał wielkie, czerwone oczy.

- Co to? - spytała, podekscytowana jego bliskością.

- Ślepowron, dorosły.

- Zakochałam się - zachwyciła się Iris, wciąż przy teleskopie - wygląda jak tłusty bankier w perłowszarym porannym garniturze. Chodź, teraz ty spójrz jeszcze raz.

Chciała, żeby Bill spojrział i zobaczył, że ona ma rację, ale zamiast tego on patrzył na nią z tą zabójczą czułością, którą nie wiadomo skąd biorą mężczyźni. Kiedy powiesz coś, co poruszy strunę, a może chodzi o sposób, w jaki

to powiesz, albo że to jest coś, czego nigdy wcześniej nie słyszeli. Nie wiadomo, bo oni nigdy nie mówią. Serce zabiło jej mocniej i cofnęła się. Zbliżył się do spottera i spojrział.

- Czy jesteś tu, bo znasz Vicki? - spytała.

- Nie. Nie znam Pani Hałaśliwej. Choć gdybym wiedział, że się przyjaźnicie...

- Jest moją współlokatorką z akademika - uściśliła Iris, kiedy się wyprostowała - a to zupełnie co innego. Ale coś mówiłeś.

- Kumpel zadzwonił wczoraj wieczorem. Wiedział, że wybieram się dzisiaj do May Cope, i spytał, czy nie zatrzymałbym się tutaj. Sprzedałem swoje udziały cztery lata temu. Teraz spędzam większość czasu w rezerwatach podmokłych terenów, zdobywając więcej ziemi do ochrony. Jestem tu bardzo często.

- To musi być wspaniała praca!

- Jest. I frustrująca. - Rzucił okiem ponad jej głowę. - Szybko. - Odwrócił ją i zobaczyli przelatującą brązową kulę. - Merlin - powiedział.

To było szybkie. To było ekscytujące.

- To sokół. Niesamowicie lata. Jak jastrząb, tylko mniejszy.

- Merlin - powtórzyła Iris. Próbowwała złapać go przez lornetkę, uchwyciła na sekundę i zniknął. Kiedy znów się wyłonił, patrzyli na niego gołym okiem, patrzyli, jak pikuje i wlatuje, szybuje i znów pikuje. Po chwili już go nie było.

Nie było też grupy.

- Są na Terrapin Trail - powiedział Bill. - Chcemy do nich dołączyć?

- Nie.

- To chodźmy z powrotem.

Cicha ścieżka tonała w słońcu, gdy szli ramię przy ramieniu w ten chłodny, wietrzny dzień. Iris nie wiedziała,

gdzie podziąć oczy. Czy wciąż szukali ptaków? Spojrzała na niego, ale patrzył pod nogi. Był... starszy. To ty jesteś mężczyzną, z którym powinnam być, pomyślała, taki, jaki jesteś teraz. Ty jesteś tym właściwym.

- Jak dużo czasu zajmuje nauczenie się dobrego szukania ptaków? - spytała.

Odpowiedział powoli, z namysłem.

- Najpierw mijają miesiące, zanim nauczysz się patrzeć. Potem lata, zanim będziesz wiedziała, czego szukasz, i nie skłamię, jeśli powiem, że uczysz się tego wciąż na nowo. Ale za każdym razem wiesz już coś więcej. Potem, pewnego dnia - zatrzymał się i spojrzał jej prosto w twarz

- Iris, to zajmuje całe życie.

Dotknęła lornetki wiszącej na jej piersi.

- Dzięki za pożyczkę.

Zsunął spotter z ramion. Co on robi, jest tak blisko, czy znowu jej dotknie? Wziął jej dłoń. Przytrzymał ją.

- Wrócę w czwartek i ... jeśli jeszcze nie jesteś zajęta. Czy mógłbym zaprosić cię na kolację na piątek wieczór? Taka piątkowa randka.

Czy życie może to zrobić - podarować jej szczęście? Po prostu podać ci poranek, ścieżkę, mężczyznę? Oczywiście nie wiesz, co się stanie, co będzie albo nie będzie potem. Ale Iris wiedziała. Wiedziała. Bo to było w jego niebiesko-zielonych oczach, które próbowały nie patrzeć na nią za bardzo, ale patrzyły teraz i w jego dłoniach, które nie chciały jej puścić. Co będzie dalej? Iris po prostu musiała, po prostu nie mogła przestać się uśmiechać.

- Będzie mi bardzo - Boże! Będzie to wszystko zawdzięczać Vicki - jak w niebie.

Podziękowania

Autorka pragnie podziękować swojej agentce Alice Martell, która z wielką pasją walczyła o tę książkę i jej bohaterów; swojemu wydawcy Pamela Dorman za natchnione i inspirujące wskazówki; redaktorom z „Vanity Fair”, Graydonowi Carter i Aimée Bell, za wszystko, czego ją nauczyli; a przede wszystkim swojemu mężowi, Jamesowi Wolcott, który przeczytał pierwsze strony czegoś, co stało się niniejszą książką i powiedział: „Tak trzymaj”.